

*Betina*

*Krahn  
fatum*

# Wstęp

Cyganie mają własną, tajemną wiedzę. Znają magiczną *siłę piątku* i siódemki i zdają sobie *sprawę ze szczęściodajnej* mocy nowiu księżyca. Wiedzą również, że czerwone przedmioty skutecznie chronią przed urokiem, stare buty mogą przynieść więcej szczęścia niż nowe. Doświadczenie nauczyło ich, że zabicie pająka może ściągnąć nieszczęście w postaci biedy i chorób. Wiedzą, że zawieszony na szyi dziecka woreczek z kawałkiem żelaza i suszonymi ziołami zapewni mu zdrowie i siłę.

Wieki wędrówek po najodleglejszych zakątkach ziemi nauczyły ich rozpoznawania znaków zarówno zwiastujących pomyślność, jak i złowróźbnych.

Przy dymiących ogniskach obozowiska, pod rozgwieżdzonym niebem, przekazują tę tajemną wiedzę swoim dzieciom. Odczynianie uroków, magiczna moc zaklęć, amulety, zabiegi dla pozyskania szczęścia, nauka o zwierzętach, które są przychylne Cyganom, i o zwierzętach, które przynoszą nieszczęście, wróżenie z ręki... jest niewątpliwie wiele do przekazania. Trzeba siedzieć przez wiele lat przy obozowym ognisku, żeby nauczyć się tego wszystkiego, co każdy Cygan wiedzieć powinien.

A na koniec, każdy Cygan musi się nauczyć jeszcze jednego - szczęście, a więc to, co najcenniejsze, nie jest wartością bezwzględną. Ludzie mogą wyłudzić, wypożyczyć sobie szczęście lub go nadużyć, ale ma ono swoją własną, nieprzekraczalną granicę. Tylko miłość nie ma granic.

# 1

## *Hrabstwo Devon, Anglia 1810 rok*

Padał deszcz. To była prawdziwa katastrofa. Ten koszmarny dzień niósł ze sobą dodatkowe utrapienia. Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej - w tym powiedzeniu jest dużo prawdy, pomyślała z rozpaczą Charity Standing.

W jej pięknych oczach koloru bursztynu zaszklily się łzy, kiedy usłyszała szum deszczu. Uniosła welon, przytknęła chusteczkę do oczu i wyprostowała się w twardej kościelnej ławce, żeby nie poddać się nowej fali rozpacz.

Rozejrzała się po niewielkim kościółku, szukając pociechy w dobrze znanym widoku jego szarych ścian, wąskich okien i kamiennych łuków. Przodkowie Charity wybudowali tę kaplicę przed wieloma wiekami i niegdyś służyła całej okolicy. Teraz kamienne ściany przesiąknięte były wilgocią, dębowe ławki nosiły ślady zniszczenia. Wszystko przemija i ulega zapomnieniu. Na tę myśl jej oczy znowu wezbrały łzami. W tym świecie daremnie szukałaby pociechy. Czy gdziekolwiek potrafi ją znaleźć?

Nabożeństwo żałobne dobiegało końca. Właśnie wtedy deszcz przeszedł w gwałtowną ulewę. Zaniepokojeni żałobnicy zaczęli wymieniać szeptem uwagi. W tych okolicach ludzie wierzyli, że oberwanie chmury podczas pogrzebu przynosi

nieszczęście. Obrzucali się niespokojnym wzrokiem, jednak *głównym obiektem zainteresowania była Charity Standing*. Jedni patrzyli na nią ze współczuciem, inni z nieukrywaną ciekawością.

Chociaż pogrzeb wielmożnego Uptona Standinga miał skromną oprawę, jego śmierć wzbudziła ogólny żal. Prawie wszyscy obecni w kaplicy byli jego sąsiadami. Niektórzy z nich byli drobnymi właścicielami ziemskimi lub dzierżawcami, mieszkającymi w skromnych chatach na ziemi dziedzica, a jeszcze inni kupcami z pobliskiego miasteczka, z którymi niegdyś prowadził interesy. Wszyscy dobrze znali wielmożnego Uptona Standinga i darzyli go szacunkiem. Jednak tłumna obecność w kaplicy miała jeszcze inną przyczynę - każdy chciał się *przyjrzeć pięknej córce dziedzica i jego ekscentrycznej teściowej*, lady Margaret Villiers. Przez ostatnie dziesięć lat pan Standing izolował swoją rodzinę od otoczenia, co wzbudzało wiele różnych domysłów.

Pastor spojrzął w zalane deszczem okno, odchrząknął i powrócił za pulpit.

- Teraz oddamy się cichej modlitwie i uczcimy zmarłego chwilą zadumy.

W kościele rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi. - Tą decyzją pastor uchronił żałobników przed całkowitym przemoczeniem. Ale dla Charity zwłoka oznaczała tylko pełne udreki oczekiwanie na to, co przecież musiało w końcu nastąpić - jej ukochany ojciec zostanie złożony do grobu.

Stłumiła szloch, czując rękę babki na swojej dłoni. Podniosła głowę i przez ciemną siatkę welonu dostrzegła pełną współczucia twarz lady Margaret. Po chwili wzrok Charity zatrzymał się na trumnie ojca i nie mogła już powstrzymać łez. Kiedy się trochę uspokoiła, rzuciła okiem na przeciwległy rząd ławek i ogarnęło ją przemożne uczucie przygnębienia.

Siedział tam Sullivan Pinnow, baron Pinnow z Morteheo,

pobliskiego miasteczka. Wysoki, chudy i kanciasty, ale bardzo wytwornie ubrany. Charity czuła na sobie jego wzrok, wyrażający nieco przesadne współczucie i jakby... oczekiwanie.

Tak, pomyślała, zawsze może być gorzej.

Wreszcie przestało padać. Pastor skinął na mężczyzn, wyznaczonych do niesienia trumny. Zbliżyło się sześciu sąsiadów, którzy przechodząc koło Charity i jej babki, skłaniali z szacunkiem głowy. Dwóch z nich Charity obdarzyła pełnym wdzięczności uśmiechem. Nierozłączni Gar Davis i Percy Hall, towarzysze polowań jej ojca, mimo skromnego pochodzenia uważani byli za bliskich przyjaciół rodziny. Odwzajemnili uśmiech, a ich przekrwione oczy świadczyły o tym, że przez całą noc wznosili toasty, żeby uczcić pamięć swojego nieodżałowanego dziedzica i przyjaciela.

Sześciu mężczyzn podniosło trumnę i ruszyło do wyjścia. Idący przodem pastor zatrzymał się przy ławce Charity i lady Margaret.

- Ja się zajmę paniami - oświadczył, pojawiając się przy nich, Sullivan Pinnow.

Pastor skinął głową i pospieszył za trumną, zostawiając Charity i lady Margaret z niezwykle usłużnym baronem.

Zerwał się wiatr, rozpędzając chmury i po chwili zabłysło słońce. Kondukt żałobny kroczył wśród świeżej, soczystej zieleni pól i łąk - ta ponura procesja sprawiała przygnębiające wrażenie na tle sielankowego krajobrazu. Chowano ostatniego męskiego potomka rodu Standingów, rodu, którego początek sięgał czasów najazdu Normanów.

Kondukt posuwał się wyboistą, błotnistą drogą, prowadzącą do cmentarza, znajdującego się w niewielkiej odległości od Standwell, siedziby rodu, którą zbudowano nad urwistym wybrzeżem Devonu.

Charity Standing, lady Margaret Villiers i tyczkowaty baron szli z przodu, a reszta żałobników trzymała się w pewnej

odległości. Wszyscy patrzyli z ciekawością na Charity i jej babkę, wymieniając szeptem uwagi. Obie kobiety miały na sobie czarne jedwabne suknie, z wysoko zaznaczonym stanem. Charity nosiła na głowie toczek, z upiętym na nim welonem, lady Margaret nie zasłoniła twarzy, na jej ramiona spływała tylko czarna mantylka.

Porywisty wiatr szarpał welonem Charity, odsłaniając jej długie, jasne włosy. Przebłyski złotych włosów i pełne gracji ruchy Charity przyciągały oczy sąsiadów. Ten widok pobudzał mężczyzn do niestosownych w tej sytuacji myśli.

Towarzyszący paniom Pinnow mógł się jej napatrzeć do woli. Nie zważając na błotnistą drogę, nie odrywał oczu od wdzięcznej postaci Charity. Ale ona pogrążona w smutku nie zauważała bezczelnych spojrzeń barona, nie czuła też dotyku podtrzymującej ją dłoni, której palce ocierały się lekko o jej pierś. Nie słyszała pomrukiwań babki ani głosu pastora, intonującego psalm.

Kondukt żałobny zbliżył się wreszcie do cmentarza, wszyscy przyspieszyli kroku. Kiedy niosący trumnę dotarli do świeżo wykopanego grobu i postawili ją na gliniastej ziemi, zaczęli się naradzać, gwałtownie przy tym gestykulując. Zaskoczona ich zachowaniem Charity odtrąciła opiekuńczą dłoń barona i szybko podeszła do grobu.

Po niedawnej ulewie w dole zebrało się prawie pół metra wody. Charity zeszywniała na ten widok, a lady Margaret opuściła nisko głowę. Kiedy pozostali żałobnicy poznali przyczynę zamieszania, szybko odsunęli się na bok. W innej sytuacji stojąca w grobie woda nie wywołałaby specjalnego wrażenia, ale dziedzic poniósł śmierć przez utopienie. To przerażające, niesamowite, szeptali między sobą, czeka go kolejna wodna mogiła.

- Dalej, chłopcy! - odezwał się Percy Hall.

Jego spokojny głos rozładował napięcie, mężczyźni skinęli

głowami i zabrali się do pracy. Rozwinęli przyniesione przez siebie liny i wsunęli je pod trumnę. Unieśli ją do góry i czekali, aż pastor skończy czytać modlitwy. Rzucali mu jednak ukradkowe spojrzenia, jakby przynaglając do szybszego zakończenia rytuału. Duchowny jednak, zgodnie z powagą chwili, czytał powolnym, modulowanym głosem.

- Albowiem to, co skażone, musi przyoblec się w to, co nieskażone, a to, co śmiertelne, musi przyoblec się w nieśmiertelność.

Rozległ się nagle jakiś szurgot - jedna z lin wyslizgnęła się spod trumny, która się przechyliła na bok. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, stoczyła się do dołu, rozchlapując błotnistą wodę i utknęła, zaczepiona o ścianę wykopu.

Zaszokowanym żałobnikom wyrwał się okrzyk grozy, a stojący przy grobie mężczyźni patrzyli na przechyloną trumnę, nie ruszając się z miejsca.

- Proszę was! - Pastor uniósł drżące dłonie, domagając się ciszy. - Zachowujmy się godnie... ze względu na powagę sytuacji i szacunek dla zmarłego.

Charity, tłumiąc łkanie, odwróciła się do babki, szukając pociechy w jej ramionach, trafiła jednak w objęcia usłużnego barona. Jak to się stało, jęknęła w duchu. A wszyscy dokoła, zamiast coś zrobić, tylko bezradnie patrzą.

- Och, proszę... niech pan nie pozwoli, żeby mój ojciec... - Ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się w objęciach barona.

- Na litość boską! - wykrzyknął Sullivan Pinnow, napawając się jednocześnie bliskością jej ciała. - Czyście postradali rozum? - Skinął na Gara Davisa. - Natychmiast popraw trumnę!

Drobny, szczupły Gar z trudem przełknął ślinę i obrzucił swojego przyjaciela pytającym spojrzeniem. Percy Hall skinął głową. Gar podszedł do krawędzi grobu, a jego piwne oczy były rozszerzone ze strachu. Ukucnął, usiłując wyciągnąć



nogą popchnąć trumnę na właściwe miejsce. Nie zdołał jej jednak dosięgnąć, zachwiał się, z trudem odzyskując równowagę.

- Dalej... - rozkazał baron, dodając po cichu „do cholery”.

Gar ukląkł na błotnistej krawędzi grobu, pochylił się i wyciągnął rękę. Zdołał tylko musnąć dębowe wieko końcami palców i zachwiał się znowu. Żałobnicy odetchnęli z ulgą, kiedy trumna trochę się osunęła. Nadal jednak była przechylona. Gar westchnął ciężko, patrząc na barona i Percy'ego Halla błagalnym wzrokiem, ale nie zdołał wzbudzić w nich współczucia.

Pochylił się znowu, jeszcze niżej, a po chwili, prawie zawieszony w powietrzu, walczył o utrzymanie równowagi.

- Aaach! - rozległ się okrzyk.

Gar jeszcze raz rozpaczliwie zamachał rękami i... osunął się do dołu. Jednocześnie usłyszano głuchy odgłos - to trumna opadła na dno mogiły. Baron przyciągnął Charity jeszcze bliżej do siebie, jakby chcąc oszczędzić jej tego widoku. Pastor zdołał tylko wyjąkać kilka słów, a reszta zebranych oniemiała z wrażenia. Po chwili wybuchła nieopisana wrzawa. Niziutki Gar Davis stanął na trumnie, chwytając się śliskiej krawędzi wykopu. Był śmiertelnie blady, a jego oczy wyrażały obłądny strach.

- Pomóż mi, Perc... - wykrztusił, usiłując podciągnąć się wyżej. - Ja... ja nie mogę się stąd wydostać.

- Oczywiście, że możesz.

Pogodny z natury Percy Hall poszarzał nagle na twarzy i odsunął się od grobu.

- Proszę cię, Perc! - Gar był już teraz w panice. Podciągnął się trochę i znowu osunął w dół. - Po...pomóż mi! Musisz mi pomóc, Perc!

- Do licha, człowieku - wykrzyknął nagle baron - podaj mu rękę!

Percy stał bez ruchu, ze ściągniętą twarzą. Wreszcie zbliżył

się niechętnie do grobu, chwycił Gara za nadgarstki i pociągnął w górę. Kiedy oblepione gliną buty nieszczęśnika dosięgły krawędzi wykopu, Percy natychmiast odciągnął go dalej. Sąsiedzi i znajomi patrzyli na Gara z mieszaniną litości i trwogi. Dopiero kiedy ten rzucił okiem na mogiłę, w której się jeszcze przed chwilą znajdował, uświadomił sobie, jakie następstwa może za sobą pociągnąć jego upadek. Drżącymi rękami chwycił Percy'ego za klapę kurtki.

- Perc, ja... ja tam wpadłem! - Poblady Gar spoglądał na przyjaciela rozszerzonymi oczami. - Jeśli ktoś wpadnie do świeżo wykopanego grobu... to znaczy... że jest następny w kolejce. Tak jest, prawda? - Percy nie odezwał się, więc Gar zaczął szarpać go za kurtkę. - Prawda?

Percy zacisnął wargi i odwrócił głowę. Był załamany. Gar puścił go, żeby szukać pociechy u innych.

- Prawda? - pytał stojących obok.

Nikt nie zaprzeczył. Potrząsali tylko głowami, unikając jego wzroku. Zrozpaczony, zwrócił się do lady Margaret.

- Ja umrę. - Zachwiał się i oparł na Percym. Odwrócił się szybko i ponownie złapał przyjaciela za kłapy. - Ja umrę, Perc! Wpadłem do grobu i teraz ja też umrę!

- Och, nie... - jęknęła Charity, kryjąc twarz w dłoniach. Czy wszystko się sprzysięgło przeciwko niej? Właśnie teraz?

Tych przeciwności losu było już zbyt wiele - woda w grobie, ześlizgująca się lina, upadek Gara Davisa... Katastrofa następowała po katastrofie. Wydawało się jej teraz, że wszystkie oczy są zwrócone na nią, że żałobnicy obrzucają ją podejrzliwymi, wręcz niezyczliwymi spojrzeniami. Ciężar tych spojrzeń i panika na twarzy Gara, przechyliły szalę. Z jej ust wydarł się przejmujący jęk.

- Nie... nie... nieeeee!

Wyrwała się z objęć zaskoczonego barona i pobiegła przez pole, byle dalej od tych spojrzeń, dalej od grobu, od opus-

toszałego dworu, od zdradzieckiego morza, od tego wszystkiego, co przypominało jej, że już nie ma ojca. Biegła oślepią łzami, nie powstrzymując łkania, potykała się, a przemoczona deszczem spódnica krępowała jej ruchy. Uniosła ją i pobiegła szybciej.

- Panno Charity! - zawołał baron. - Proszę się zatrzymać! Dokąd pani biegnie?

Ale ona nie zwracała na niego uwagi. Czarny welon wydymał się na wietrze, powiewały długie jasne włosy. Widząc, że nie ma zamiaru się zatrzymać, baron ruszył za nią. Próbował poruszać się z wdziękiem, co osłabiało tempo pościgu. Jego ruchy krępowały również zbyt obcisłe spodnie, zbyt wysoki i zbyt mocno wykrochmalony kołnierz koszuli, według najnowszej mody ciasno przewiązany chustką. Sztwywny, z uniesioną głową, niezdarnie przebierając chudymi nogami, wyglądał jak żuraw w tańcu godowym. Przez cały czas patrzył na pończoszki Charity, przebłykujące spod uniesionej spódnicy, zapominając, że powinien uważać, gdzie biegnie. Odległość pomiędzy nimi już zaczynała się zmniejszać, kiedy jedna noga barona ugrzęzła w błotnistej kałuży, a druga poślizgnęła się na mokrej trawie. W następnej chwili, leżał na plecach na ziemi.

Poczuł przejmujący ból. Wydawało mu się, że przez prawą nogę i kręgosłup przepływają fale piekącego żaru, który dociera aż do mózgu.

- Ooo...och Boże - wykrzyknął. Usiadł i chwycił się za kolano, jęcząc z bólu. Charity zniknęła mu już z oczu za niewielkim wzniesieniem.

Biegła w stronę porośniętej lasem doliny. Serce jej waliło, nie mogła złapać tchu. Odrzuciła do tyłu welon, mrugając rozpaczliwie powiekami, żeby pozbyć się łez, które odbierały jej zdolność widzenia. Pogrzeb ojca przekształcił się w żenujące widowisko. Nie mogła nawet godnie go pożegnać. Jego przed-

wczesna, nagła śmierć pozostawiła ją z uczuciem pustki i bezgranicznej rozpacz.

Biegła przez pola i łąki, sama nie wiedząc dokąd, gnana wyłącznie chęcią ucieczki... nieświadoma, że biegnie na spotkanie swojego losu.

Czarny odkryty powóz, na wysokich kołach, ciągniony przez dwa ogniste kare konie, pędził londyńskim gościńcem. Taki widok zwróciłby uwagę wszędzie, nawet w zblazowanym Londynie. Tutaj, na prowincji, gdzie każdy pojazd wzbudzał ciekawość, ten stanowił prawdziwą sensację. Przechodnie zatrzymywali się, odprowadzając go wzrokiem i wyrażając zachwyt zarówno dla zaprzęgu, jak i dla powożącego.

Lejce dźrzył w dłoniach dżentelmen, ubrany w szary strój, począwszy od kapelusza, a skończywszy na eleganckich butach ze srebrnymi sprzączkami. Jego kruczoczarne włosy opadały na nieskazitelnie biały, wysoki kołnierz koszuli, przewiązany granatową chustką. Był bardzo opalony, a jego twarz odznaczała się wyrazistymi rysami i kwadratową szczęką. Tylko jasnoszare oczy harmonizowały ze spokojnym ubiorem, chociaż ich wyraz wcale nie był spokojny - pały wręcz złością.

Rane Austen, wicehrabia Oxley, zerknął na pognieciony egzemplarz „Timesa”, który leżał obok niego na skórzanym siedzeniu. Oczy mu się zwężyły, zacisnął szczęki.

- Zaręczona! - mruknął z wściekłością, spoglądając na anons w gazecie.

Wiedział, że przy powtórny czytaniu jego treść nie ulegnie zmianie, przebiegł jednak ponownie wzrokiem tych kilka linijek. Zaręczeni: Sutterfield - Harrowford. Rzeczywiście treść pozostała taka sama, jak przy pierwszym czytaniu - panna Gloria Sutterfield miała poślubić... tego niedołęgę Ar-

chiego Lattimera, który dopiero niedawno został wicehrabią Harrowford!

- I bardzo dobrze. Niech ta głupia gęś za niego wyjdzie. Dostanie to, na co zasługuje... zwiotczały patyk w zimnym łóżku. Niech się przez całe życie zastanawia, jak by to było z prawdziwym mężczyzną!

Panna Sutterfield nie tylko szczyliła się nieposzlakowanym rodowodem, ale była również niezwykle dekoracyjna. Mimo to, jej utrata nie doprowadziłaby Rane'a Austena do wściekłości, w końcu wszystkie debiutantki były do siebie podobne. Problem polegał na tym, że nie po raz pierwszy usiłnie emablował młodą panienkę z takim skutkiem, że zawsze zabierał mu ją inny mężczyzna... nawet nie po raz drugi! To był już trzeci raz, do jasnej cholery! Już trzeci raz przegrał z jakimś nudnym, beznadziejnym łamagą z „nieskazitelny” tytułem, „szacowną” rodziną i „właściwym” trybem życia. Tak więc w tym roku znów został upokorzony na oczach wszechwładnego londyńskiego towarzystwa!

Oczami wyobraźni widział już te z trudem powściągane złośliwe uśmiešky, które go nie ominą po powrocie do Londynu. Przez ostatnie sześć lat towarzystwo londyńskie nie kryło się z opinią, że jego tytuł i pieniądze nie wystarczą, by mogli go zaakceptować.

Wiedział, że ze względu na swój wygląd będzie zawsze traktowany jak osoba spoza ich sfery - dawali mu to zresztą jasno do zrozumienia. Na nic modna fryzura - jego włosy były zbyt czarne, a co więcej jego skóra miała brązowy odcień - efekt tropikalnego słońca Barbadosu, gdzie się wychowywał. Wydawać się mogło, że ten egzotyczny wygląd przekreślał jego dobre brytyjskie pochodzenie i spędzone w Sussex dzieciństwo.

Trzeba jednak przyznać, że elita nie akceptowała Rane'a Austena nie tylko z tego powodu. Uważano, że jest niestosownie

wysoki, ma nieprzyzwoicie szerokie ramiona - jak zwykły robotnik - jego sposób poruszania się jest zbyt żywiołowy, a język zanadto obcesowy. Zbyt przypominał swojego ojca i dziadka. Obaj cieszyli się złą sławą i w towarzystwie również na nich spoglądano krzywym okiem.

Powóz podskoczył nagle, kiedy koło wpadło w głęboką wyrwę. Rane przerwał swoje rozważania i powstrzymał rozpędzony zaprzęg. Szkoda było nowego powozu i tych wspaniałych koni na fatalne, prowincjonalne drogi.

Zaczął rozglądać się po okolicy, szacując z nawyku możliwości zysku, jaki można by osiągnąć z tej ziemi. Spoglądał na zielone pola, rozrzucone kępy drzew, schludne chatki i strumyki. Bardzo malowniczy krajobraz. Natychmiast przyszło mu do głowy, że słowo „malowniczy” jest teraz bardzo modne w Londynie. Rozzłościło go, że o tym myśli.

Ostatnio robił wszystko, żeby się przypodobać londyńskiemu towarzystwu. Teraz jednak miał inne sprawy na głowie. Nie bez powodu zdecydował się na nagły przyjazd do Devonu. Zaczął się zastanawiać, czy jego człowiek, Stephenson, trafi do karczmy, w której się mieli zatrzymać, i jak pertraktować z tymi, z którymi przyjechał się spotkać.

Po chwili jego myśli powróciły znowu do eleganckiego stołecznego towarzystwa. Zaczął robić przegląd niezareczonych jeszcze debiutantek bieżącego sezonu, biorąc pod uwagę wszystkie ich walory. Sezon towarzyski potrwa jeszcze kilka tygodni i jeśli zdoła szybko załatwić interesy, zdąży być na kilku balach i przyjęciach... pod warunkiem, że uda mu się otrzymać zaproszenia.

Przypomniał sobie swoje ostatnie spotkanie z panną Głorią Sutterfield, na balu u państwa Mountjoy. Podczas dwóch tańców, na które zezwalały dobre maniery, patrzyła na niego zalotnie swoimi wielkimi niebieskimi oczami, jakby poza nim nikt dla niej nie istniał. Następnego dnia Rane wysłał do jej

ojca posłańca z prośbą o spotkanie, ale ten powrócił z wiadomością, że sir Horace Sutterfield wyjechał na kilka dni. Po „kilku dniach” okazało się, że jeszcze nie wrócił. A po dwóch tygodniach zostały publicznie ogłoszone zaręczyny Glorii z tym wymoczkiem Harrowfordem. Dlaczego, u diabła, on nie mógł mieć tego, co na West Endzie miał byle łamaga albo jakiś kretyn z czerwoną gębą?... Żony!

Zajęty własnymi myślami, Rane Austen pędził wyboistą drogą, nie zwracając teraz uwagi ani na krajobraz, ani na trzymane w dłoniach lejce. Nie zauważył czarnego punkcika, który ukazał się na wzgórzu. Był on coraz większy i poruszał się ścieżką, która przecinała drogę. Wkrótce nabrał ludzkich kształtów, a po chwili można było już rozpoznać ubraną na czarno kobietę, z powiewającym na wietrze welonem.

Droga stawała się coraz bardziej wyboista, powóz zaczął gwałtownie podskakiwać, co zmusiło Austena do powstrzymania koni i skierowania ich na twardszy grunt po lewej stronie drogi.

Nagle, zza drzew, coś wyskoczyło przed powóz. Zaczął z całej siły ściągać konie. Nie miał wielkiego wyboru - nie mógł jechać naprzód, a prawa strona drogi była w okropnym stanie, pełna kamieni, kolein i wypełnionych wodą dziur. Mimo to starał się zmusić konie, żeby skęciły na prawo, a wtedy kobieta - zdołał zauważyć, że to była kobieta - przebiegła na drugą stronę drogi.

Powiew wiatru unióś w powietrze jakiś ciemny obłok, który spadł wprost na łby koni w chwili, kiedy znalazły się w śliskim błocie na środku drogi. Zaczęły się cofać, a kiedy dotknęły kopytami twardszego gruntu, wyrwały się w obłąkańczej panice do przodu, wlokąc za sobą rozkołysany powóz.

W tej sytuacji nikt nie byłby w stanie zapanować nad końmi. Rozchybotany powóz rzucał Austenem na wszystkie strony, lejce wymknęły mu się z rąk, mógł tylko pokrzykiwać na

oszalałe konie. Powóz zatrząsł się gwałtownie, kiedy jedno z kół trafiło na kamień i odpadło, tuż przed zakrętem. A następne potężne szarpnięcie wyrzuciło Rane'a Austena na trawiaste pobocze drogi.

Konie ciągnęły powóz dalej, dopóki nie rozbił się o stojące przy drodze drzewo, a wtedy pognały na przełaj przez pole.

Uderzył głową o kamień, leżał więc nieprzytomny na mokrej trawie, nie wiedząc o stracie kosztownego powozu i nie zdając sobie sprawy, że ten wypadek pokrzyżuje wszystkie jego życiowe plany. Drogę przecięła mu Charity Standing, wciągając go w wir tajemniczych wydarzeń.



## 2

Charity zatrzymała się wreszcie i całkowicie wyczerpana, osunęła na ziemię. Brakowało jej tchu, krew uderzała do głowy, nie potrafiła zebrać myśli. Dopiero po dłuższej chwili okropne wspomnienia z pogrzebu ojca powróciły do niej z całą siłą.

Obrządek, który powinien był hołdem dla jego pamięci, zamienił się w pasmo niefortunnych wydarzeń. Co prawda, powinna już się do tego przyzwyczaić - wokół niej zawsze działo się coś dziwnego, począwszy od drobnych, czasem zabawnych incydentów, do prawdziwych katastrof. Jednak tak się dziwnie składało, że ona sama nigdy nie padała ich ofiarą. Jej ojciec zawsze twierdził, że została obdarzona niezwykle przychylnością losu i to oddala od niej wszystkie katastrofy, a ona mu wierzyła.

Ale jeśli nawet na nią samą nie spadały żadne nieszczęścia, to jej otoczenie było nimi w dwójnasób obdarzane. Cudze niepowodzenia przejmowały ją tak dojmującym smutkiem, że czuła się zobowiązana do pomocy wszystkim cierpiącym. Od najmłodszych lat opiekowała się chorymi i bezpańskimi zwierzętami, przyprowadzała do domu włóczęgów, żeby ich nakarmić i dać choć tymczasowe schronienie, leczyła chorych dzierzawców.

Jednak jej pełne współczucia serce i finansowe możliwości Standingów nie były w stanie temu wszystkiemu sprostać i ojciec zaczął powoli wycofywać się z towarzystwa, izolując ją od świata. Uznał, że będzie dla niej lepiej, jeśli przestanie się angażować w cudze tragedie. Dopiero w zeszłym roku, po ukończeniu osiemnastu lat, Charity zdała sobie w pełni sprawę z tego faktu. Standingowie nigdy nie prowadzili ożywionego życia towarzyskiego, ale przez ostatnie lata żyli w niemal całkowitym odosobnieniu. Widywali jedynie kupców, dzierżawców i dwóch przyjaciół ojca, Percy'ego Halla i Gara Davisa.

Przez jej umysł zaczęły przesuwać się wspomnienia - ojciec uczy ją jeździć konno, stoi nad jej łóżeczkiem, uśmiechając się tkliwie, przerażony spogląda na kolejnego, uratowanego przed utopieniem szczeniaka...

Co ją teraz czeka? Już w ostatnich latach dom, Standwell Hall, zaczął odczuwać pewne braki - mniej służby, mniej zakupów, skromniejsze jedzenie, a teraz będzie wszystkiego jeszcze mniej. Pewnego dnia wiekowa lady Margaret spocznie na cmentarnym wzgórzu obok Uptona Standinga i ukochanej matki Charity, a ona zostanie sama.

Uniosła głowę, żeby stwierdzić, że znajduje się wśród pustych pól. Zorientowała się po chwili, że ten teren należy do George'a Burforda i jest oddalony o przeszło dziesięć kilometrów od jej domu. Skąd się tu wzięła? Nie potrafiła odtworzyć żadnych szczegółów swojej szalonej ucieczki. Wzdrygnęła się na wspomnienie pędzącego powozu i ogromnych karych koni, ale uznała to za wytwór swojej wyobraźni.

Podniosła się z trudem na nogi, powróciła na drogę i ruszyła przed siebie. Doszła do zakrętu i zatrzymała się jak rażona piorunem. Na środku drogi leżało koło z połamanymi sprynchami, a obok drzewa szczątki rozbitego powozu. Przyspieszyła kroku.

Przy drodze leżał człowiek. Podbiegła do niego. To był

*mężczyzna*, dżentelmen, sądząc po ubiorze i szczątkach po-  
wozu. Leżał twarzą do ziemi, z rozpostartymi ramionami.  
Ukłęka przy nim i potrząsnęła go za ramię.

- Sir? Jest pan ranny? Może się pan ruszać? - Nie otrzymała  
odpowiedzi. - Słyszysz mnie pan? - Serce podeszło jej do gardła.  
Widok bezwładnego ciała znów przypomniał jej śmierć ojca.

- Błagam - szepnęła - niech pan da jakiś znak życia. To  
niemożliwe, żeby pan też był martwy.

Przyłożyła ucho do jego pleców, z nadzieją, że usłyszycie bicie  
serca. Wyprostowała się i przesunęła wzrokiem po całej postaci.  
Przygryzła wargę, nie wiedząc, co robić. Mógł mieć połamane  
kości lub jakieś wewnętrzne obrażenia. Jej babka zawsze  
stawiała obowiązek niesienia pomocy na pierwszym miejscu  
przed wymogami przyzwoitości. Charity nauczyła się, że  
ludzkie odruchy są ważniejsze niż konwenanse. Ukłęka przy  
mężczyźnie, przesuwając dłońmi po jego rękach i nogach,  
szukając złamań, tak jak to zwykle robiła babka.

Miał ciepłą skórę, co napawało ją otuchą, i niezwykle twarde  
mięśnie, co było deprymujące. Nigdy przedtem nie dotykała  
w ten sposób żadnego mężczyzny i nie wyobrażała sobie  
nawet, że może mieć tak muskularne ciało.

Chyba wszystko było w porządku, odważyła się więc prze-  
wrócić go delikatnie na plecy. Miał paskudny siniec na skroni,  
mimo to wydał się jej niezwykle przystojny. Wpatrywała się  
w jego opaloną twarz, wydatne kości policzkowe, wysokie  
czoło i kwadratową szczękę. Miał prosty nos, pięknie zaryso-  
wane brwi i długie, czarne rzęsy. Zafascynował ją kształt jego  
ust, które wydawały się bardzo miękkie.

- Sir? - Charity dotknęła końcami palców policzka mę-  
czyzny. - Proszę się zbudzić. Nie mogę pana zostawić w takim  
stanie...

Usiłował otworzyć powieki i unieść się na rękach, ale znowu  
opadł bezsilnie na trawę.

- Miał pan okropny wypadek, ma pan rozbitą głowę. Proszę otworzyć oczy. Widzi mnie pan? - dopytywała się Charity, podtrzymując mu głowę.

Rane Austen powoli otworzył oczy. Dostrzegł pochyloną nad nim twarz uroczej kobiety, jej długie blond włosy opadały mu na pierś, a dłonie podtrzymywały mu głowę. Półprzytomny, oszołomiony upadkiem, usiłował zebrać myśli. Piękna blondynka... to był temat jego rozważań, zanim stracił przytomność. Rozmyślał wtedy o oświadczeniach.

- Zostań m...m...moją Ż...Ż...żoną...

Język mu się plątał, ale musiał jej to powiedzieć. Poczował, że odsuwa się od niego, i zrobił wysiłek, żeby się trochę podnieść. Skręcał się z bólu, ale udało mu się usiąść - to przecież była sprawa najwyższej wagi. Mrugał powiekami, usiłując ją dojrzeć.

Charity zorientowała się, że nie odzyskał jeszcze całkowitej przytomności.

- Powinien pan pozostać na miejscu. - Dziewczyna była speszona. Kiedy usiadł, widać było, że to mężczyzna potężnej postury. - Niech pan nie próbuje wstawać. Sprowadzę pomoc.

- N...n...nieee. - Złapał ją za rękę. - Nie odchodź. Zostań m...m...moją ż...ż...żoną.

- Proszę mnie puścić, sir. Muszę sprowadzić pomoc. - Usiłowała się wyswobodzić z jego uścisku, nie rozumiała jego mamrotania.

- Nie, proszę. - Chwycił ją za drugą rękę, zrobił wysiłek, żeby się skoncentrować. - Z...z...zostań moją żoną. P...proszę. Zostań moją żoną - powiedział już całkiem wyraźnie.

- Co? - Charity patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Z...z...zostań moją żoną.

- Och, sir... - Zacerwieniła się nagle i serce jej dziwnie zatrzępotało. Zdawała sobie sprawę, że nie doszedł jeszcze do przytomności, że po prostu majaczy. Wprawiło ją w niepokój

napięcie widoczne na jego przystojnej twarzy i siła drzemiąca w jego potężnej postaci. Jeśli miał poważny uraz czaszki, to wszystkiego można się było po nim spodziewać. Wyrwała mu rękę i odsunęła się dalej.

- N...n...nie! - Z wysiłkiem podniósł się na nogi.-  
Z...z...zostań moją żoną. Ja muszę...

Charity widziała, że się zachwiał, więc podbiegła, żeby go podtrzymać. Niespodziewanie chwycił ją w ramiona i przywarł wargami do jej ust. Pierwszą myślą dziewczyny było, że jego usta są rzeczywiście miękkie, a drugą, że to jest fascynujące, a jednocześnie przerażające uczucie.

Nagle zbladł i znowu zachwiał się na nogach. Charity starała się go podtrzymać, ale kiedy zaczął osuwać się na nią, odepchnęła go lekko. Mężczyzna przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą.

Kompletnie oszołomiona, leżała na nim przez dłuższą chwilę. Trudno jej było wyzwolić się z opasujących ją ramion obcego mężczyzny, wreszcie jednak jakoś się wyślizgnęła.

- Przykro mi - powiedziała. - Mówiłam, że nie powinien się pan podnosić. Nic panu nie jest?

Nachyliła się nad nim, żeby stwierdzić z przerażeniem, że jego twarz jest upiornie blada pod opalenizną, a kiedy dotknęła jego dłoni, przekonała się, że jest lodowato zimna. Jak gdyby...

- Co ja zrobiłam? - wykrzyknęła w rozpacz. - Dobry Boże, czy zabiłam pana? Proszę, błagam, niech pan nie umiera.

Przyłożyła ucho do jego piersi, ale usłyszała jedynie oszalały łomot własnego serca. Zerwała się na nogi i położyła mu rękę na czole. Było bardzo zimne. To niemożliwe, pocieszała się w duchu. On jest przecież taki młody i taki silny.

I taki zimny. Jak jej ojciec.

Zimny jak morze. Zimny jak stojąca w grobie woda.

Przejął ją dreszcz. On chyba umiera. A może nawet już umarł.

- Nie! Nieeee!

Zerwała się i zaczęła biec. Byle dalej.

Standwell Hall był nieregularną budowlą z szarego kamienia, zbudowaną wokół wieży, która od przeszło czterystu lat strzegła wybrzeża Devonu. W wieży, która była jednocześnie fortecą obronną, mieszkali przodkowie hrabiego Standier. Wraz z upływem lat z wieży zniknęły działa i powstał budynek pełniący funkcję ziemiańskiego dworu.

Teraz kamienne ściany były w wielu miejscach wyszczerbione, na dachu brakowało dachówek, drzwi się nie domykały, a okna nie chciały otwierać. Meble były zniszczone, serwisy niekompletne, dywany wytarte, a po skrzypieniu podłogi można było śledzić ruchy domowników.

Jak za dawnych czasów, lady Margaret Villiers trzymała straż na murach obronnych starej wieży, rozglądając się bacznie po okolicy.

- Przekłete drzewa - złościła się, wyglądając zza wysokiego zwieńczenia. - Upton powinien być mnie posłuchać i już dawno kazać wyrąbać to diabelstwo. Zasłaniają cały cholerny widok. - Rzuciła okiem na siedzącego u szczytu schodów wielkiego psa, krzyżówki mastiffa z wilczarzem, jakby szukając u niego aprobaty. Wspinając się na palce, przepatrywała okoliczne pola. - Gdzie, u czorta, ona może być? - Potrząsnęła głową, zniecierpliwiona.

Otuliła się szczelniej szalem, przesuwając się do następnego wycięcia w murze, skąd miała szerszy widok. Zamiast czarnej mantylki miała teraz na głowie niebieski jedwabny szal, który zamotała na kształt turbanu, a zamiast sukni żałobnej - podniszczoną, niebieską suknię bawełnianą z żółtym wzorkiem. Na suknię narzuciła długi fartuch przypominający tunikę,

ozdobiony indyjskim ornamentem z wydłużonych palmet, które wyglądały jak zagięte w górze krople deszczu. W uszach miała ogromne złota koła, a na jej szyi wisały amulety - z kości, kamyków i metalu. Czarny szal był jedyną widomą oznaką żałoby po zmarłym zięciu.

- Żebyś tylko miała ten wzrok co kiedyś - mruknęła. Pies ziewnął i dziwnie zaskowyczał, co zabrzmiało jak śmiech. Popatrzyła na niego ze złością. - A ty też się pięknie nie prezentujesz! - Pies nie miał jednego ucha, wyleniała sierść i rozerwaną wargę, co sprawiało wrażenie, jakby stale warczał. - Gdybyś był coś wart, to szukałbyś jej teraz z Garem i Percym, a nie siedział tu, wyglądając jak strach na wróble.

Pies odwrócił głowę, udając obrażonego. Lady Margaret przesunęła się do kolejnego punktu obserwacyjnego, żeby rozejrzeć się po opadających w stronę wybrzeża łąkach.

- Nic. A była w okropnym stanie - westchnęła.

Zawahała się przez chwilę, obracając w palcach amulet w kształcie półksiężyca, i zaraz ruszyła w stronę schodów. Jak na swój wiek poruszała się wyjątkowo energicznie. Ogromny pies poszedł za nią. Zeszli po skrzypiących drewnianych schodach do dużej sali, dalej schody były już z kamienia. Kiedy lady Margaret wyszła z wieży, zatrzymała się na chwilę, zastanawiając się, czy nie powinna ponownie zajrzeć do pokoju Charity.

Nagle usłyszała jakieś głosy. Skierowała się pospiesznie do sieni. Stali tam dwaj mężczyźni, krępy Percy Hall i niewysoki, smuklejszy Gar Davis. Dyszeli ciężko, a ich buty były oblepione błotem. Na widok lady Margaret ściągnęli z głów włóczkowe czapki.

- Nic a nic - oświadczył ochrypłym głosem Percy.

- Żadnego śladu? - Lady Margaret zmarszczyła czoło, a w jej piwnych oczach widać było głęboką troskę.

- Szukaliśmy wszędzie, pytaliśmy ludzi - dodał Gar. -

Wróciliśmy nawet na cmentarz i poszliśmy jej śladami przez pole.

- Ona musi być gdzieś blisko. Czuję to w kościach - stwierdziła lady Margaret, dotykając swojego amuletu w kształcie księżycy, otoczonego siedmioma srebrnymi gwiazdami.

Gar i Percy wymienili spojrzenia i skinęli głowami. Wiedzieli, że kiedy lady Margaret „czuje coś w kościach”, to nie należy tego lekceważyć.

Po chwili do sieni wpadł podekscytowany pies i rzucił się do drzwi. Cała sień huczała od ogłuszającego szczekania.

- Na litość boską! - krzyknęła lady Margaret, zatykając sobie uszy rękami. - Wypuście tego cholernego bydlaka!

Percy odjął dłonie od uszu i zaczął otwierać ciężkie drzwi. Pies przecisnął się przez szparę i wybiegł na dwór, nie przestając szczekać. Percy szybko zamknął drzwi.

- Okropna bestia - mruknęła lady Margaret.

Odwróciła się i skierowała do salonu, dając znak, że Gar i Percy mają iść za nią. Przeszli przez szerokie, łukowato sklepione drzwi, na których wisiało siedem podków.

Obecny salon był dawniej przestronną sienią, z ogromnym marmurowym kominkiem. Wielkie, zajmujące prawie całą ścianę okna, wychodziły na południe. Oprawne w ołów szyby w miły sposób oddawały ciepło słoneczne w zimie, a w bardzo niemiły w lecie. Obicia mebli spłowiejały od słońca. Cały dwór był umeblowany ciężkimi sprzętami w dawnym stylu, ale salon mógł się poszczycić nowszym kompletem mebli, które obecnie należałoby również zaliczyć do antyków. Choć dawno minęły czasy jego świetności, salon był najbardziej eleganckim miejscem, w jakim kiedykolwiek znaleźli się Gar i Percy. Przejęci nabożnym podziwem, stąpali na palcach.

- Ona to wszystko strasznie przeżywa. Zaglądałiście do kaplicy? - spytała lady Margaret, wskazując im krzesła. -



Usiądźcie, wyglądacie jakbyście za chwilę mieli upaść. A do kościoła w miasteczku?

Lady Margaret przechyliła nagle głowę na bok, nadsłuchując. Gar i Percy spojrzeli po sobie - słyhać było wyraźnie szczekanie psa, ale tym razem miało ono zupełnie inne brzmienie. Takie ujadanie oznaczało, że pies natrafił na trop lub osaczył zdobycz.

- Panna Charity... - szepnął Gar.

Wszyscy rzucili się do drzwi. Wybiegli na zewnątrz, rozglądając się niespokojnie. Na środku drogi, w niewielkiej odległości od domu, klęczała Charity, opierając się o psa, który szczekaniem wzywał pomocy. Kiedy do niej podbiegli, chwyciła Gara za rękaw, a babkę za spódnicę, ale nie miała siły wstać. Oddychała z trudem, usiłując coś powiedzieć.

- Nieżywy... On może... być... nieżywy - wyjąkała, patrząc na nich nieprzytomnym wzrokiem.

Gar przygryzł wargę, Percy odwrócił wzrok, a lady Margaret uczyniła znak krzyża i dotknęła amuletu. Wszyscy potrzęsali głowami ze smutkiem - to rozpacz po śmierci ojca doprowadziła Charity do takiego stanu. Jej suknia była przemoczona i brudna, długie blond włosy zwisały w strąkach, na twarzy widoczne były ślady łez.

- Przestańcie się gapić. Zanieście ją do domu! - rozkazała lady Margaret.

Gar i Percy wahali się przez chwilę, ale widząc wyraz twarzy starszej damy, szybko skrzyżowali ręce, robiąc krzeselko, podnieśli Charity i zanieśli ją do frontowych drzwi, na których również wisiało siedem podków.

- A... jeżeli on żyje... - Charity chwyciła babkę za rękaw. - Musicie mu pomóc.

Lady Margaret poklepała ją uspokajająco po ręce, po czym pospiesznie weszła do domu, wskazując mężczyznom niosącym wnuczkę drogę do jej pokoju. Kazała im położyć ją na łóżku,

ale Charity broniła się przed tym zawzięcie. Próbowwała usiąść, wpijając palce w rękaw Percy'ego i kurczowo ściskając dłoń babki.

- Nie... on może jeszcze żyje... Proszę was, musimy mu pomóc... Ja muszę pomóc,

- On nie żyje, moje dziecko. - Lady Margaret delikatnie popchnęła Charity na łóżko. - Musisz się z tym pogodzić. Nie żyje, a my nie możemy już mu w niczym pomóc.

- Nie! - wykrzyknęła Charity. - Ten wypadek. On jest ranny... może zginął.

- On nie żyje - stwierdziła babka stanowczym tonem.

- Ale ja go widziałam!

- Cicho, cicho. Miałś straszne przeżycia, dziecino, ale teraz już wszystko będzie dobrze. - Lady Margaret popatrzyła na Gara i Percy'ego, w jej piwnych oczach widać było trwogę. - Ona jest nieprzytomna z rozpacz. Zostańcie z nią, a ja pójde przygotować zioła.

Starsza kobieta szybkim krokiem wyszła z pokoju, a Gara i Percy głaskali Charity po rękach i uspokajali, jak umieli, wymieniając niespokojne spojrzenia, kiedy mówiła o wypadku, śmierci i prosiła ich o pomoc.

Kłopoty panny Charity były im dobrze znane - wokół niej stale coś się wydarzało, począwszy od drobnych wypadków, a skończywszy na większych katastrofach. Wielokrotnie doświadczali tego na własnej skórze, od czasu kiedy była małą dziewczynką. Mała Charity miała buzię aniołka i anielski charakter, więc Gara i Percy doszli do wniosku, że „aniołowie są o nią zazdrośni”. Jedyne to mogłoby tłumaczyć, dlaczego tak dobra, wspaniałomyślna istota sieje niepokój i zamęt.

Po kilku minutach lady Margaret powróciła do pokoju z filiżanką swojej ziołowej mikstury. Mężczyźni podtrzymali Charity, kiedy piła, i obiecali jej, że poszukają „go” „gdzieś” na drodze. Wtedy uspokoiła się, a lady Margaret odprawiła ich

gestem, który wyraźnie zwalniał ich z obietnicy, że „się tym zajmą”.

- Dlaczego, babciu? - spytała Charity przez łzy. - Dlaczego zawsze musi się zdarzyć jakieś nieszczęście? Wszędzie pełno kłopotów.

- Cicho, dziecko. Nie wolno ci tak mówić. - Lady Margaret szybko dotknęła amuletu. - Nie należy mówić o szczęściu i nieszczęściu. To zła wróżba.

- Ja sama nigdy nie mam kłopotów. Tato zawsze mówił, że mam dużo szczęścia. Ale dokoła mnie jest pełno nieszczęść. Och, babciu, ja go chyba zabiłam.

- Bzdura! Nikogo nie zabiłaś! - Zakłopotana lady Margaret sięgnęła do kieszeni, wyjęła szczyptę soli i przerzuciła ją przez ramię.

- Ale... ale on był taki przystojny... i taki zimny. On też nie żyje. Och, babciu, dlaczego on musiał umrzeć?

- Wszyscy musimy umrzeć, moje dziecko... prędzej czy później.

- Dlaczego tak się dzieje? - Wydawało się, że Charity nie słyszy słów babki. - Może ja mam zbyt wiele szczęścia?

Charity przymknęła oczy. Lady Margaret stwierdziła z ulgą, że wnuczka wreszcie zasnęła. Ona miałaby mieć zbyt wiele szczęścia? - zadała sobie w duchu pytanie. Podniosła się, zdjęła Charity buciki i pogłaskała ją po policzku. Z głębokim współczuciem popatrzyła na jej śliczną twarzyczkę.

Przez całe życie starali się ją osłaniać przed tym, co Upton Standing nazywał taktownie jej „problemem”. Zabezpieczyli dom przed wszelkimi niefortunnymi przypadkami, wycofali się ze swojego i tak skromnego życia towarzyskiego i zawsze potrafili znaleźć wyjaśnienie pechowych wydarzeń, którym nie udało się zapobiec. Stojąc przy łóżku wnuczki, lady Margaret czuła, że w obecnej sytuacji, bez Uptona i bez pieniędzy, nie

uda się już chronić Charity, która stała się młodą, zwracającą ogólną uwagę kobietą.

Lady Margaret westchnęła, odgarnęła włosy z twarzy dziewczyny - jej wnuczka była bardzo podobna do swojej matki, śliczna, zgrabna i dobra. Zdjęła z szyi amulet z półksiężycem, założyła go Charity i usiadła na krześle, żeby przy niej czuwać.

Piękna i urocza, obdarzona niezwykłą dobrocią, Charity Standing mogła być najbardziej pożądaną partią w hrabstwie Devon, a może nawet na całym południu Anglii. Jednak złe fatum, obdarzając ją nieodpartym wdziękiem, uczyniło z niego pułapkę. Gdziekolwiek się znalazła, szerzyła niepokój i zamęt. Gar Davis i Percy Hall tłumaczyli to „zazdrością aniołów”, ale babka miała inne wyjaśnienie. Los obdarzył jej wnuczkę fatalną aurą.

### 3

Rane Austen ocknął się na trawiastym poboczu drogi, czując ból w całym ciele. Otworzył oczy i zobaczył jakieś ruchome białe-niebieskie plamy, ale od tego widoku zaczęło mu się kręcić w głowie. Dopiero po chwili zorientował się, że patrzy w niebo. Przypomniał też sobie, że była przy nim jakaś kobieta.

Poderwał się gwałtownie, ale przeszył go tak silny ból, że myśl o kobiecie natychmiast wywietrzała mu z głowy. Zaczął rozglądać się po okolicy, w jakiej się znajdował.

W głowie mu huczało, obolałe żebra utrudniały oddychanie. Jednak największe cierpienie sprawił mu widok rozbitego powozu.

- Cholera! - mruknął. - Do jasnej cholery! - ryknął na całe gardło, co przypłacił gwałtownym atakiem bólu. - Tylko nie to... mój nowy powóz i moje...

Rozejrzał się dokoła, ale po jego wspaniałych karych koniach nie było śladu. Udało im się uciec. Ale dokąd?

Przymknął oczy, usiłując sobie cokolwiek przypomnieć. Zbliżał się już do Mortehoe... droga była w fatalnym stanie... coś spłoszyło konie. Nic więcej nie pamiętał. Dotknął głowy i stwierdził, że ma paskudnego guza na skroni, a drugiego

z tyłu. Jak mu się udało rozbić głowę po obu stronach i to za jednym zamachem?

- Pewnie pobiłem jakiś sakramencki rekord - rzucił z wściekłością. Rane „Buldog” Austen znany był z tego, że niczego nie robił połowicznie.

Już w najmłodszych latach, w tropikalnym upale na Barbadosie, Rane Austen otrzymał surową lekcję życia i umiał sobie dobrze radzić, nawet niczego nie posiadając. Po powrocie do Anglii, dziewiętnastoletni wicehrabia dowiedział się, że znowu niczego nie posiada, i postanowił coś z tym zrobić. Zajął się przede wszystkim gromadzeniem kapitału, a przyjemności życia towarzyskiego miały przyjść dopiero w drugiej kolejności. Dążył uporczywie do wytkniętego celu, co zresztą było cechą całej rodziny Austenów, i nie był zbyt wybredny, kiedy chodziło o sposób zdobywania pieniędzy.

Teraz, po ośmiu latach, osiągnął już znaczącą pozycję handlową i zdobył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mieć wielki dom w eleganckiej dzielnicy Londynu oraz wytworny zaprzęg. Zdobył również przezwisko „Buldog”, dzięki uporowi, z jakim zawsze dążył do celu. Nie zdobył tylko jednego - akceptacji elity towarzyskiej, do której, z racji swojego tytułu i wykształcenia, powinien należeć. A właśnie na tym najbardziej mu zależało.

Wiedział, że zostanie zaakceptowany i przyjmą go do swojego grona, jeśli przyjmą go do rodziny, w dosłownym sensie tego słowa, to znaczy dając mu za żonę jedną ze swoich eleganckich, dobrze urodzonych córek. Pragnął, żeby jego żona była damą, i poprzysiągł sobie, że zdobędzie ją przed końcem sezonu towarzyskiego.

Zbliżył się do szczytków powozu. Zauważył, że jego niewielki kufer podróżny nadal jest na swoim miejscu. Oglądając resztki kosztownego pojazdu uświadomił sobie, że transakcja,

którą miał przeprowadzić w Mortehoe, ledwie pokryje ponie-  
sione straty.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, kiedy ruszył w drogę, z każdym krokiem odczuwając coraz większy ból. Gdy zobaczył swojego człowieka, Stephensona, który gnał mu na pomoc, Austen był już bardzo cierpiący i bardzo zirytowany.

- Milordzie! - Mężczyzna potężnej postury ściągnął wodze i zeskoczył z konia. Zdumiał go widok zakrzepłej strużki krwi na twarzy pracodawcy. - Nic panu nie jest?

- Oczywiście, że nic. Umrę cholernie zdrowy.

- Konie same przyszyły do miasteczka. Ktoś je złapał i dał znać do gospody. Kiedy je zobaczyłem, wiedziałem już, że coś się stało.

- Jesteś sakramencko sprytny. - Austen czuł, że znowu huczy mu w głowie. - Udało ci się znaleźć jakieś miejsce...

- Zaraz, milordzie. - Stephenson złapał go w samą porę, żeby uchronić przed upadkiem. - Niech pan wsiądzie na konia, a ja go poprowadzę.

Z pomocą służącego, Austen wdrapał się na siodło i ruszyli w stronę miasta.

- Milordzie?

- Co znowu?

- Nie mają tu żadnych świeżych owoców. Nigdy nawet nie słyszeli o bananach.

- Niech to szlag!

Kiedy dotarli do gospody, Austen znowu stracił przytomność.

Po trzech dniach i dwóch wizytach miejscowego konowala Rane Austen był już na nogach, chociaż nadal bolała go głowa i urażona duma. Ten wypadek kosztował go zbyt wiele czasu

i pieniędzy. A on nie miał czasu do stracenia. Zbliżał się koniec sezonu towarzyskiego, musiał więc jak najszybciej wracać do Londynu, żeby znaleźć żonę.

Stephenson przekazał informację dla człowieka, z którym mieli się spotkać w Devon, i Austin spędził całą noc w lesie, czekając na tego bezczelnego łajdaka, który się w ogóle nie pokazał. Następnego dnia wysłali kolejną wiadomość wraz z wyraźnym ostrzeżeniem, co go czeka, jeśli znowu nie przyjdzie. Tym razem mieli się spotkać w pustej stajni, w pobliżu małego kamiennego kościółka.

O dziesiątej wieczorem Austen, ubrany w czarną kurtkę, wyślizgnął się z gospody. Stephenson już czekał z końmi. Wyprowadzili je poza obręb zabudowań i dopiero wtedy ich dosiedli. Nie ujechali daleko, ponieważ wierzchowiec Austena nagle okulał.

- Co się, u diabła, stało? - zaklął, zsiadając z konia, żeby obejrzeć mu nogę. - Jest tak ciemno, że nic nie widzę. - Ogarnęła go wściekłość. - Niech to jasny szlag trafi! Nie będę czekać do następnej nocy. Daj mi swojego konia, a tego odprowadź.

- Ale... przecież...

- Nie mam zamiaru słuchać twoich kretyńskich jęków. Dziś w nocy kończę ten cholerny interes. Muszę wracać do Londynu.

Stephenson zbyt dobrze znał swojego pracodawcę, żeby czuć się urażonym tym gwałtownym wystąpieniem. Kiedy Austen był zdenerwowany, często używał języka, który Stephenson nazywał „dialektem z Barbados”.

- On może przyprować całą swoją szajkę i trzymać ich gdzieś w ukryciu. Może pan wpaść w pułapkę - ostrzegwał Stephenson.

Jego pracodawca tylko się uśmiechnął. Austen nie miał zwyczaju cofać się przed niebezpieczeństwem. Stephenson zsiadł z konia i podał mu wodze, wyrażając dezaprobatę tylko głośnym chrząknięciem.



Austen wskoczył na siodło i spojrzął na swojego towarzysza z łobuzerskim uśmiechem.

- Jeśli zauważę coś podejrzanego, to się im nie pokażę - zapewnił go. - Możesz zacząć mnie szukać, jeśli nie wrócę na śniadanie.

Niewielka kamienna kaplica była dobrze widoczna w świetle księżyca. Austen zatrzymał się na skraju lasu, obserwując uważnie wolną przestrzeń przed stajnią. Około północy na polu ukazały się dwie ciemne postacie.

Było ich tylko dwóch, szli pieszo. Austen jeszcze raz przeszukał wzrokiem całą okolicę, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Skierował konia na pole, trzymając rękę na pistolecie w kieszeni kurtki.

Na jego widok dwóch mężczyzn zatrzymało się przed wejściem do stajni.

- Miał przyjść tylko jeden - zgromił przybyszów.

- Wszystko się... skomplikowało - odezwał się wyższy, mocniej zbudowany mężczyzna. A drugi, niższy i szczuplejszy pokiwał energicznie głową. - Skomplikowało - powtórzył.

Austen otaksował ich spojrzeniem. Nie wyglądali na uzbrojonych, przyszli pieszo, nie spodziewał się ludzi tego typu. Chociaż nigdy nie widział człowieka, z którym przez ostatnie dwa lata prowadził interesy, sądząc po otrzymywanych od niego pisemnych instrukcjach mógł się spodziewać przemytnika dżentelmena. Jeszcze raz obrzucił ich czujnym spojrzeniem, zanim zdecydował się wejść do stajni.

Wewnątrz było mroczno. Austen przylgnął do ściany. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, zauważył latarnię, stojącą na beczce.

- Zapalcie latarnię - powiedział rozkazującym tonem.

Teraz mógł lepiej im się przyjrzeć. Jeden z nich miał

kwadratową twarz o wyrazistych rysach, a drugi pociągłą fizjonomię głodomora. Żaden z nich nie wyglądał na przedsiębiorcę ani na przywódcę gangu przemytników.

- Gdzie jest mój towar? - spytał Austen.

Facet z kwadratową twarzą przełknął ślinę i włożył palce za pasek. Przeszłując z nogi na nogę.

- Mówiliśmy, że wszystko się skomplikowało. Była katastrofa. Paskudna pogoda i ta krypa się rozbiła. - Wypowiedział te słowa zdławionym głosem i zamilkł.

- Jeden z naszych kumpli... zginął - dokończył jego kolega.

Austen był zdumiony, oni rzeczywiście wyglądali na przynębionych. Czyżby oczekiwali wyrazów współczucia? Udało im się zaskoczyć go, a on nie lubił być zaskakiwany.

- Bardzo mi przykro - powiedział nieoczekiwanie.

Zirytowany swoim zachowaniem, przybrał groźny wygląd.

- Posłuchajcie, mądrale. Zapłaciłem za dostawę koniaku, na którą czekają kupcy w Londynie. Oni oczekują towaru, a ja oczekuję go od was. - Koniaku, a nie wymówek.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Wycofujemy się z tego interesu - odezwał się wyższy. - Koniec z dostawami. Przestajemy szmuglować. To jest niebezpieczne - dodał z poważną miną.

Austen oniemiał. Czyżby chcieli go oszukać?

- Posłuchajcie, zapłaciłem żywą gotówką i albo dostanę towar, albo przekonacie się na własnej skórze, jak potrafię być niebezpieczny. Jeśli wycofujecie się z tego sakramenckiego interesu, to, do jasnej cholery, możecie to zrobić po dostarczeniu ostatniej partii towaru. Zrozumiano?

- Ale... my nie możemy! - Chudy mężczyzna zbłądł, patrzył na Austena ze strachem. - Nie mamy już kontaktów. Nie wiemy...

Umilkł, kiedy jego towarzysz szturchnął go łokciem.

- On chciał powiedzieć, że robi się gorąco i nasi dostawcy...

nie wiedzą, czy jeszcze będzie jakiś towar. Jest wojna z Francją, wie pan.

- Chyba szlag mnie trafi! - wybuchnął Austen. - Oczywiście, że jest ta cholerna wojna. Jak myślicie, dlaczego koniak francuski jest tak poszukiwany?

Zdesperowany Austen wyciągnął pistolet z kieszeni i wycełował w nich. Ich przerażenie sprawiło mu dużą satysfakcję, ale po chwili, kiedy przyłgnęli do siebie, skuleni ze strachu, zrobiło mu się głupio, że uciekł się do tak drastycznego środka. Musiał ich jednak przekonać, że nie mogą z nim igrać bezkarnie, bo inaczej nigdy nie zobaczy swojego koniaku.

- Powiedziałem, że chcę mieć tę dostawę, zanim wyjadę z Morteheo. Jeśli nie, to ani wy, ani wasza szajka nie wyjdziecie z tego cało.

- Ale... ale my go nie mamy. Mówię uczciwie. - Chudy mężczyzna wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć.

- Nie wierzę ci - warknął Austen. Czuł jednak, że oni mówią prawdę. O co tu chodzi?

- Niech pan posłucha, sir - wtrącił mężczyzna o kwadratowej twarzy. - Wydaliśmy już prawie wszystkie pana pieniądze, ale oddamy panu to, co zostało, a resztę odpracujemy. Przysięgam. - Patrzył na Austena błagalnym wzrokiem.

- Odpracujecie? Na pewno mi to odpracujecie!

Austen był wściekły, zarówno na nich, jak i na siebie. W czasie takich spotkań często padały groźby, sytuacja bywała niebezpieczna, ale ci dwaj... „Buldog” Austen po raz pierwszy w życiu nie wiedział, jak się ma zachować. Zbliżył się do nich.

- Skontaktujecie się ze swoim człowiekiem i natychmiast zorganizujecie nową dostawę albo... albo was odnajdę i powieszę za nogi! A moi ludzie potną was nożami. Będą grali w kółko i krzyżyk na waszych brzuchach! - W tych makabrycznych wizjach Austen odreagowywał swoją frustrację.

- Pan nas n...n...niee skrzywdzi, sir! - Wyższy z mężczyzn

usiłował udawać odważnego. - Mamy opiekuna, potężnego opiekuna!

- To prawda! - pisnął chudzielec, łapiąc towarzysza za ramię. - A on naprawdę potrafi zabrać człowiekowi szczęście. Bardzo mocno potrafi!

- Do stu tysięcy diabłów! - ryknął Austen, a mężczyźni cofnęli się o krok. - Nie wierzę w żadne szczęście, nie ma niczego takiego. Człowiekowi coś się udaje albo nie... i lepiej, żeby wam się udało, bo inaczej...

Coś mu mignęło przed oczami i beczka, na której stała latarnia, przewróciła się na bok. W stajni zapanowała ciemność, słychać było odgłosy jakiejś szamotaniny. Austen wychylił się do przodu i wyrznął głową w belkę.

Zwinał się z bólu i wypuścił pistolet z ręki. Zauważył nagle, że przez szparę w drzwiach wpada do stajni światło księżyca. Drzwi cicho skrzypnęły, a po chwili zamknęły się z hukiem. Uciekli mu!

- Niech was piekło pochłonie - mruknął, trzymając się za głowę. Odetchnął głęboko, wyprostował się i ponownie ogarnął go gniew.

Jak mógł pozwolić im się wymknąć? Przecież koniak był mu cholernie potrzebny. A w ogóle co to byli za przemytnicy? Robił interesy z przemytnikami na terenie całej Anglii, a żaden z nich nie tytułował go „sir”. Nie wyobrażał sobie również, żeby któryś z tych twardych, cynicznych facetów chciał odpracowywać dług jak jakiś niewydarzony robotnik rolny! Mógłby przysiąc, że ci dwaj nie byli zawodowymi szmuglerami. A jeśli to nie ci, z którymi się przedtem kontaktował, to kim, u diabła, oni byli?

- Perc - wydyszał Gar Davis, kiedy zatrzymali się pod osłoną drzew. - Perc, co my teraz zrobimy? Nie zdobędziemy nowej dostawy koniaku! Nie wiemy nawet, jak to się robi! - Jego ściągnięta strachem twarz wydawała się jeszcze bardziej

pociągła niż zwykle. - Perc, on nas zabije! - Percy nie odezwał się, a Gar obrzucił niespokojnym spojrzeniem stajnię i stojącego przed nią konia. - Zresztą ja umrę, tak czy inaczej.

- Nie umrzesz - rzucił niecierpliwie Percy, zajęty swoimi myślami.

- Na pewno umrę, przecież wpadłem do grobu, a facet, który wpadnie do dołu wykopanego dla kogoś innego, jest następny w kolejce. - Chwycił się za brzuch. - Nigdy nie myślałem, że zabiją mnie bandyci, którzy będą grali w kółko i krzyżyk na moim brzuchu.

- Nikt nie potnie ci brzucha, zakuta pało, mojego też nie. Potrafię się o to zatroszczyć. - Zirytowany Percy chwycił go za ramiona.

- Ale co my zrobimy, Perc? On na pewno ma swój gang... i broń. - Gar zadrżał, chwytając się znowu za brzuch. - I noże...

- Musimy go wystraszyć, niech myśli, że my też mamy swój gang. I broń. - Percy zerknął w kierunku stajni i stwierdził z zadowoleniem, że koń nadal czeka na swojego jeźdźca. - On będzie wracał do miasta przez las Rowden, a moja chata jest niedaleko. Chodź!

Nie minął kwadrans, a Percy i Gar już biegli przez las, w kierunku drogi. Kiedy dotarli do celu, Percy, ciężko dysząc, oparł się o drzewo. Trzymał w ręku starą fuzję. Po chwili dołączył do niego równie zmęczony Gar, niosący żołnierski chlebak z prochem i ołowianymi kulami.

- Tutaj... będzie... dobrze - wydyszał Percy, wskazując rosnące przy drodze krzaki. Po chwili, skuleni w zaroślach, ładowali starą fuzję.

- Może już przejechał? - szepnął Gar z nadzieją w głosie.

- Nie przejechał - stwierdził kategorycznie Percy.

- Ale, Perc... ja nigdy nikogo nie zastrzeliłem. A ty? - Gar aż zzieleniał ze strachu.

- My go nie zastrzelimy. - Percy był oburzony. - My tylko do niego strzelimy! Ale on pomyśli, że chcemy go zabić, więc zabierze resztę swoich pieniędzy i pojedzie sobie.

Gar poczuł się trochę lepiej, kiedy to usłyszał, a Percy przyłożył fuzję do ramienia.

- Na pewno będzie jechał szybko - zauważył Gar. - A z tego starego żelastwa nigdy nie trafiłeś nawet królika.

- Nie chodzi o to, żeby go trafić. Masz to sobie zapamiętać. - Percy był już mocno zirytowany. Nagle zgiał się w pół pod wpływem gwałtownego bólu. - Och, słodki Jezu, och!

- Co ci się stało, Perc?

- Mój żołądek. Ten zatracony wrzód żołądka. Ty będziesz musiał to zrobić. Ja nie mogę!

Wcisnął towarzyszowi fuzję do rąk i zanim ten zdążył zaprotestować, usłyszeli tętent konia.

- Może to nie on.

- To on! - Percy, wciąż trzymając się za brzuch, popchnął Gara do przodu. - Już! Zaraz tu będzie.

Jeździec był już widoczny na drodze. Gar podniósł drżącymi rękami fuzję do ramienia. Serce waliło mu młotem, nie mógł utrzymać broni w odpowiedniej pozycji, ćmiło mu się w oczach, widział tylko jakiś przerażający ciemny kształt, który zbliżał się coraz bardziej.

- Teraz, Gar! - wrzasnął mu do ucha Percy.

Gar zorientował się nagle, że jeździec już go mija, unosząc się lekko w strzemionach, i zdjęty paniką gwałtownie się odwrócił. Zaskoczony okrzykiem towarzysza zacisnął palce. Fuzja wystrzeliła.

Koń zarył się kopytami w ziemię, zrzucając jeźdźca na środek drogi i pogalopował przed siebie.

Gar i Percy początkowo nie ruszali się ze swojej kryjówki;

byli w szoku. Kiedy zobaczyli, że leżący na drodze dżentelmen nie ma zamiaru się poruszyć, Percy pierwszy wyszedł z krzaków, a za nim Gar, który natychmiast rzucił fuzję.

Percy potrząsnął leżącego za ramię i wsunął pod niego rękę, żeby go obrócić. Poczł, że jego ręce są mokre. Zakrwawione.

- Zastrzełiłeś go - wyjąkał.

- Ale... ja przecież nie chciałem! Fuzja sama wypaliła. Och, Perc, czy on nie żyje?

- Nie wiem. - Percy wyprostował się, patrząc z przerażeniem na swoje dłonie. - Dostał gdzieś nisko. A przecież miałeś go nie trafić!

- Nigdy jeszcze do niczego nie trafiłem, Perc. Przysięgam!

- No i wybrałeś dobry moment, żeby się wykazać - zdenerwował się Percy, wycierając zakrwawione dłonie o trawę.

- To nic innego jak niefart panny Charity. - Gar patrzył na swoją ofiarę ponurym wzrokiem. - Najpierw wpadłem do grobu, a teraz zabiłem faceta. On nie żyje, a mnie powieszają.

- Zamknij się, Gar. Nikt cię nie powiesi. Muszę się teraz namyślić.

Zanim jednak Percy zdołał cokolwiek wymyślić, usłyszeli stukot końskich kopyt.

- Ktoś jedzie! Co teraz zrobimy, Percy?

Percy popatrzył na zmartwiałą ze strachu twarz Gara, na nieruchomą postać na drodze i chwycił towarzysza za ramię.

- Zwiewamy stąd!

Na zalanej światłem księżycą drodze ukazał się baron Sullivan Pinnow i kilku jeźdźców królewskiej straży konnej. Obandażowana noga barona zwiwała obok strzemienia. Wracali do domu po nieudanych poszukiwaniach kłusowników w lasach sir Hugh Luddingtona. Jeśli chodzi o ścisłość, to ludzie barona

poszukiwali kłusowników, a on sam spędził wieczór w salonie sir Hugh, grając w karty i racząc się portem.

Posiadanie godności para bez żadnego zaplecza majątkowego miało swoje wady, jednak Pinnow przekonał się, że miało również wiele zalet. Posiadacz tytułu, jakiegokolwiek tytułu, choćby był bez grosza, ale potrafił zachowywać się jak dżentelmen, był mile widzianym gościem w każdym eleganckim towarzystwie.

Baron Pinnow potrafił wykorzystać te atuty, kiedy został sędzią pokoju w okręgu Mortehoe. Postarał się zaskarżyć sobie łaski miejscowych dziedziców i przekonać ich, że wyłącznie dzięki jego staraniom w okolicy panuje ład i porządek. Udało mu się zdobyć odpowiedni do stanowiska dom w mieście - zabrał go komuś za niezapłacone podatki - i dzięki kilku sprawnym machinacjom, dobrze go wyposażać. Czasem wygrywał jakieś sumy w karty, robiąc wrażenie dobrze ustawionego w życiu dżentelmena, i stale szukał okazji, by to wrażenie uczynić bardziej wiarygodnym.

- Coś leży na drodze, milordzie! - zawołał sierżant.

Kiedy się zbliżyli, to „coś” okazało się nieprzytomnym mężczyzną.

- On bardzo krwawi, milordzie - stwierdził sierżant, któremu Pinnow kazał obejrzeć leżącego. Baron lubił być nazywany milordem, chociaż w rzeczywistości ten tytuł mu nie przysługiwał. - Pewnie ktoś go postrzelił - ciągnął sierżant - ale jeszcze żyje. Jest ubrany jak dżentelmen.

Krwawiący dżentelmen był ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie Pinnow, który był śpiący i chciał jak najprędzej wrócić do miasta. A jednak... Dżentelmen może okazać wdzięczność.

- Ma jakieś papiery... albo pieniądze?

- Żadnych papierów, milordzie, ale sporo gotówki. - Sierżant podniósł do góry mały woreczek monet i plik banknotów.

Pinnow ożywił się nagle, przywołał gestem sierżanta i wyrwał mu pieniądze z ręki.



- Ja się tym zajmę, sierzancie... muszę zabezpieczyć dowody. - Zasobność sakiewki rannego spowodowała, że przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- Co z nim zrobimy, milordzie? On potrzebuje pomocy.

- Tak zamożny dżentelmen zasługuje na dobrą opiekę. Powinien jak najszybciej znaleźć się w łóżku, a najbliższe jest w Standwell. Trzeba go tam zawieźć, chociaż przykro mi będzie budzić o tej porze pannę Charity Standing... no i, oczywiście, lady Margaret. - Uśmiechnął się oblesnie i zawrócił konia.

- Zróbcie nosze ze swoich strzelb i kurtek. Pospieszcie się! - rozkazał.

## 4

Gwałtowne łomotanie do drzwi obudziło mieszkańców Standwell. Stary lokaj Melwin i jego żona Bernadette byli już w sieni, kiedy wpadła tam lady Margaret.

- Nie ważcie się otwierać. To zły duch dobija się do nas w nocy. - Jakby w odpowiedzi na jej obawy, załomotano w drzwi jeszcze silniej. - Słyszałam pohukiwanie sowy. - Melwin uniósł brwi, a lady Margaret spojrzała na niego z irytacją. - Przecież to wróży nieszczęście. - Dlaczego Melwin nie potrafi zapamiętać tak podstawowych rzeczy? - zadała sobie w duchu pytanie. - Gdzie moja sól?

Melwin mruknął coś niezrozumiale, podrapał się po siwej głowie, a potem ze stojącego w sieni stołu wyciągnął szufladę, w której lady Margaret przechowywała woreczek soli na wypadek niespodziewanych wydarzeń. Cyganka zawsze musi być przygotowana do odczyniania uroków. Pod tym względem lady Margaret Villiers była jeszcze bardziej przesadna niż większość Romów, których tabory krążyły po całej Anglii. Z upływem lat stawała się coraz bardziej „cygańska” i wykonywała coraz więcej magicznych zabiegów, mających sprawić, żeby dobry los sprzyjał domowi Standwell - i jej wnuczce.

Lady Margaret, młodsza córka księcia Clarendon, została

porwana przez Cyganów, kiedy była dzieckiem. Po trzech latach wróciła do rodziców zdrowa i cała. Miała wtedy dwanaście lat. Krążyło wiele plotek o jej życiu wśród Cyganów i o fatalnym wpływie, jakie ono na nią wywarło. Plotki te uniemożliwiały jej wyjście za mąż. Nikt nie chciał mieć synowej, która lubiła chodzić boso, lepiej umiała odczytywać znaki na niebie, niż śledzić bieżącą modę, i miała większą wprawę w przyrządzaniu kurczaków na ognisku niż w dysponowaniu siedmiodaniowych obiadów. Fakt, że nie była pożądanym towarem na towarzyskim rynku małżeńskim, dał jej możliwość stanowienia o własnej przyszłości. Wyszła za mąż z miłości, za Henri Villiersa, syna francuskiego hrabiego.

Jej mąż zmarł przed dwudziestu laty i lady Margaret zamieszkała ze swoją córką, Chanson, i zięciem Uptonem Standingiem. Kiedy jej ukochana córka umarła podczas epidemii, lady Margaret podjęła wysiłek, żeby ponownie zorganizować rozbite życie rodziny. Zaczęła się coraz częściej uciekać do swojego cygańskiego dziedzictwa, żeby poradzić sobie z rozpaczą... i „problemem” swojej małej wnuczki.

Już od chwili jej urodzenia lady Margaret wiedziała, że Charity przypadnie szczególny los. Wskazywało na to wiele różnych znaków. Jednak dopiero po przedwczesnej śmierci matki uwidoczniły się niezwykle predyspozycje Charity do przyciągania złego losu. Lady Margaret nie szczędziła zabiegów, żeby odpędzać nieszczęście i zapewnić pomyślność wnuczce.

- Sól na progu - skandowała lady Margaret, sypiąc sól z woreczka- sól przed drzwiami, ochroń nas przed złymi czarami.

- W zeszłym tygodniu sól była dla dobrych wróżek - mruknął stary Melwin, otwierając drzwi.

Przed domem stał oparty na lasce baron Pinnow, a przy nim kilku ludzi w mundurach straży królewskiej.

- B...baron! - wyjąkał zdumiony Melwin.

- Powiedz swojej pani... - zaczął władczy tonem Pinnow, wchodząc do sieni. - Och, lady Margaret, jest pani tutaj. Proszę mi wybaczyć to najście w środku nocy, ale moje obowiązki nie dają się naginać do wskazówek zegara. Przy-szedłem, żeby błagać o pomoc dla ciężko rannego dżentelmena, którego znalazłem na drodze. Został postrzelony i jego życiu zagraża niebezpieczeństwo. Obawiam się, że bez odpowiedniej opieki...

- Przekleństwo losu - mruknęła lady Margaret, odsuwając bezceremonialnie barona, żeby wyjść na zewnątrz. - Gdzie on jest?

Rzuciła okiem na leżącego na ziemi mężczyznę i poczuła mróz w kościach. Zerknęła w górę. Plejady, czyli po cygańsku „kura z kurczętami”, były wysoko na niebie, a to nie oznaczało nic dobrego. Westchnęła, a jej niepokój przerodził się w irytację na królewskich strażników.

- Co tak stoicie jak kołki w płocie? Wnieście go do domu, tylko ostrożnie!

Charity zbudziła się nagle na odgłos powarkiwania psa.

- Chcesz wyjść, Wolfie? - spytała.

Po chwili usłyszała dochodzące z sieni głosy. Co się tam działo? Wskoczyła z łóżka, zarzuciła szal i zaczęła nasłuchiwać. Tam byli jacyś mężczyźni. Otworzyła drzwi, pies natychmiast wybiegł na zewnątrz.

Charity wyszła za nim i zatrzymała się nagle, zdumiona widokiem czerwonych kurtek żołnierskich, babki w nocnym stroju i podpierającego się laską barona. Pies rzucił się na przybyszów, wytrącił baronowi laskę, tarasował drogę żołnierzom swoim masywnym ciałem, szczerkając i warcząc bez przerwy. Lady Margaret krzyczała na niego, jednak bez skutku.

- Wolfram, dość tego! Wolfram! - Charity wbiegła do sieni, a pies natychmiast zareagował na rozkaz. Uspokoił się, powarkując tylko z cicha.

- Dzięki Bogu - westchnęła lady Margaret. - Wnieście go szybko do pokoju gościnnego, zanim wykrwawi się na śmierć - zwróciła się do żołnierzy. - Pospiesz się, Charity. Baron znalazł rannego mężczyznę na drodze. Potrzebna mi będzie twoja pomoc. - Lady Margaret weszła do pokoju za niosącymi rannego strażnikami, a Charity poszła za nią.

- Mówiłaś, że ktoś został postrzelony? - spytała babkę.

- Na to wygląda - stwierdziła sucho lady Margaret, oglądając przesiąknięte krwią ubranie mężczyzny. - Potrzeba będzie więcej światła.

Charity szybko zapaliła wszystkie świece w świeczniku i postawiła go przy łóżku. Spojrzała na masywne ciało mężczyzny, leżącego twarzą w dół i serce w niej zamarło.

Szerokie ramiona tego człowieka tym razem nie były okryte szarym płaszczem, tylko czarną kurtką, poznała jednak te same ciemne, lekko kręcone włosy i podobny zarys policzka. Jego wysoka, muskularna postać była jej znana, widziała go przecież, kiedy leżał twarzą w trawie, a przez ostatnie trzy noce ten obraz pojawiał się w jej snach. To był ten sam mężczyzna, a wypadek na drodze nie był wytworem jej wyobraźni, jak wszyscy w nią wmawiali! On prześladował ją nie tylko we śnie. Leżąc w łóżku, przypominała sobie jego twarde mięśnie. Przesuwała przecież dłońmi po jego nogach i rękach, szukając złamań. Pamiętała jego spaloną na ciemny brąz, fascynującą twarz, dotyk jego warg na swoich ustach. Pamiętała wszystko jak przez mgłę, ale była pewna, że nie było to wytworem jej wyobraźni.

- Babciu, to on! Ten człowiek z wypadku. - Drżącą ręką odgarnęła mu włosy ze skroni, pokazując babce wielkiego guza. - Ten sam co wtedy, tylko teraz trochę lepiej wygląda. A tutaj... on znowu uderzył się w głowę, popatrz tylko!

- To ten człowiek, którego widziałas na drodze rannego? A ci ludzie właśnie przynieśli go z drogi... i też jest ranny.

A więc wypadek na drodze spotkał tego mężczyznę po raz drugi? - zadała sobie w duchu pytanie lady Margaret. I po raz drugi los postawił na jego drodze Charity?! Kości lady Margaret były pełne złych przeczuć. Szybko podbiegła do okna, otworzyła je, żeby sprawdzić położenie gwiazd.

- Babciu, on jest ranny. Musimy mu pomóc! — zawołała Charity.

Babka spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem i wybiegła z pokoju.

- Babciu?!

Charity patrzyła na leżącego na łóżku mężczyznę. Zawsze była wrażliwa na cudze cierpienie, ale teraz czuła coś więcej niż tylko współczucie. Nagle wszystko wróciło do niej z pełną jasnością: to cudowne uczucie, kiedy jego wargi błędziły po jej ustach, kiedy otaczały ją jego silne ramiona. On ją pocałował i oświadczył się jej! A teraz znajdował się pod jej dachem...

Miotają ją sprzeczne uczucia. Jej ukochany ojciec nagle stracił życie, a teraz los wyrównywał rachunki. Jedno życie zostało jej zabrane, drugie znalazło się w jej rękach. Otrzymała ponowną szansę, żeby pomóc temu mężczyźnie, i na pewno jej nie zmarnuje!

- Proszę to trzymać! - Charity wcisnęła świecznik do ręki najbliższej stojącego żołnierza. Poleciała drugiemu, żeby zdjął rannemu buty i odchyliła mu kurtkę. Oczom zgromadzonych ukazała się zakrwawiona koszula i dziura w bryczesach. Żołnierz, który trzymał światło, cicho gwizdnął.

- Postrzelili go w tyłek.

- Dobry Boże! - Sullivan Pinnow zbliżył się do łóżka. - Panno Charity, nie może pani opatrywać tak... intymnej rany. To wbrew dobrym obyczajom.

- Wbrew dobrym obyczajom jest pozwolić człowiekowi umrzeć tylko dlatego, że opatrywanie jego ran jest „nieprzy-

zwoite". Jeśli to pana satysfakcjonuje, baronie, to może pan tu zostać, ratując „dobre obyczaje” i pomóc mi.

Do pokoju wszedł Melwin, niosąc zioła, bandażę i wodę. Charity poprosiła barona, żeby przeciął zakrwawioną koszulę i bryczesy mężczyzny, ale ten zbladł i odsunął się od łóżka. Zrobił to za niego Melwin i po chwili dżentelmen był rozebrany i przykryty prześcieradłem, spod którego wystawał tylko zraniony pośladek.

Kiedy Charity zabrała się do wyjmowania ołowianej kuli, do pokoju wpadła lady Margaret. Na głowie miała turban, a na szyi wszystkie swoje amulety. Odepchnęła od łóżka ciekawskich żołnierzy i zajęła się rannym. Obie z Charity oczyściły, zaszyły i zabandażowały ranę. Mimo silnego krwawienia, rana nie była groźna.

- Jest młody, silny, za dwa tygodnie będzie zdrowy - stwierdziła lady Margaret.

- Miejmy nadzieję - zauważył Pinnow. - Zostawię tu jednego z moich ludzi, żeby go doglądał.

- To nie będzie konieczne, baronie - zaproponowała Charity. - Sama się nim zajmę.

- Ale... przecież to niemożliwe, lady Margaret. Muszę zaprotestować...

- Zaprotestować? Też coś! - prychnęła starsza dama.

Zobaczyła zdecydowany, uparty wyraz twarzy Charity i przeniosła wzrok na leżącego na łóżku mężczyznę, przypominając sobie układ gwiazd. Trzymanie ich z daleka od siebie i tak nic by nie dało.

- Moja wnuczka jest odpowiedzialną, skromną młodą kobietą, sir - zwróciła się do barona. - Mamy też służących, którzy zajmą się intymną pielęgnacją tego dżentelmena.

- Tak, naturalnie... Chciałem tylko powiedzieć... - Pinnow zmusił się do uśmiechu.

Żałował, że ma zwicniętą nogę, a nie postrzelony pośladek,

i że to nie on zostanie pod opieką powabnej Charity Standing co najmniej przez dwa tygodnie. Na tę myśl poczuł dreszcz podniecenia.

- Nie pozostawię pań bez pomocy w tej sytuacji - powiedział. - Będę często przyjeżdżał, żeby jak najszybciej uzyskać od niego niezbędne informacje. Ten zamach nie może ująć bezkarnie. - Skłonił się i wyszedł z pokoju.

- Nie lubię go. Sama nie wiem dlaczego. - Charity otuliła się szczelnie szalem.

Lady Margaret odetchnęła z ulgą. Dopóki Charity nie zdawała sobie sprawy, dlaczego nie lubi barona, nie było się czym martwić. Rozsypała sól na progu i na parapetach, żeby bronić złym mocom przystępu do pokoju. Przez ten czas Charity obmywała twarz nieznanego wilgotnym ręcznikiem.

Zafascynowana, dotykała końcami palców jego twarzy i odgarniała mu włosy z czoła. Miała zarumienione policzki i przygryzała wargę. Lady Margaret nachmurzyła się, widząc zainteresowanie wnuczki, ale jej niepokój wkrótce minął. Powolnym, obszernym ruchem zakreśliła nad łóżkiem nieznanego szczęśliwy znak. Teraz nie musiała się już martwić o obyczajność. Będą miały z Charity mnóstwo roboty, żeby utrzymać tego człowieka przy życiu!

Przez trzy dni i trzy noce Charity doglądała rannego, nie pozwalając się nikomu zastąpić. Mówiła, używając własnych słów lady Margaret, że jest „odpowiedzialną i skromną młodą kobietą”, kiedy babka protestowała z powodu wykonywania przez nią intymnych czynności przy rannym. On i tak jest nieprzytomny, tłumaczyła sobie lady Margaret i pozwoliła jej zostać w pokoju mężczyzny, którego Melwin i Bernadette zaczęli nazywać „nieznajomym panny Charity”.

„Nieznajomy” dostał gorączki. Lady Margaret zaczęła ob-



wieszać jego łożko amuletami własnej roboty, przyczepiając je do baldachimu. Kiedy to nie pomogło, zdjęła z szyi trzy własne amulety i dołączyła je do tamtych, mruczając swoje cygańskie zaklęcia. Czy to za sprawą amuletów, kompresów ziołowych czy dzięki obmywaniu chłodną wodą, gorączka wreszcie ustąpiła.

Podczas tych długich godzin czuwania przy rannym również Charity zaczęła o nim myśleć jak o „swoim nieznanym”. Wciąż wracała myślą do ich spotkania na drodze i do jego szokującej propozycji małżeńskiej, która przy ciągłym rozpamiętywaniu stawała się coraz mniej szokująca, a coraz bardziej intrygująca.

Przedtem nigdy nie zastanawiała się nad małżeństwem i nikt w rodzinie nie podnosił tego tematu. Teraz taka perspektywa stała się dziwnie pociągająca. Wyobrażała sobie wspianą dom, służbę, suknie balowe, swoją dłoń opartą na męskim ramieniu, Małżeństwo oznaczało obecność mężczyzny w życiu kobiety.

Ponownie skierowała wzrok na swojego pacjenta, na jego gęste, ciemne włosy, wydatne kości policzkowe i pełne usta. Zaczęła sobie wyobrażać jego uśmiech.

Otrząsnęła się z tych myśli i zmoczyła ręcznik, żeby go obmyć. „Jej nieznanym” był barczysty i muskularny, a jego ciało tak bardzo się różniło od jej ciała. Charity nie wiedziała, że mężczyzna może być tak odmienny. Co prawda, miała bardzo ograniczony kontakt z mężczyznami. Czasem widziała ojca bez kamizelki, czasem jakiegoś rolnika bez koszuli, daleko na polu.

Ale „jej nieznanym” nie był zwykłym mężczyzną. Pocałował ją i zaproponował małżeństwo, nawet jeśli nie był wtedy całkowicie przytomny. Był więc kimś szczególnym.

Stworzyła już w wyobraźni obraz jego charakteru i stylu życia. Był opanowanym, szlachetnym człowiekiem, bogatym

i hojnym, inteligentnym, wykształconym o nieskazitelnych manierach. Posiadał firmę w Londynie i duże majątki ziemskie, którymi zarządzał rozsądnie i sprawiedliwie. Oczywiście, nie był żonaty. Szukał żony...

Austen usłyszał głos, który dochodził do niego jak przez gęstą mgłę. Czy ktoś go wołał? Otworzył na chwilę oczy, ale zobaczył tylko białą pościel. Wiedział już, że leży w łóżku, na brzuchu. Poczował, że coś chłodnego prześlizguje mu się po szyi, plecach, potem po ręce i między palcami. To było miłe uczucie. Usłyszał kobiecy głos. Znowu otworzył oczy i dojrzał pasmo długich, jasnych włosów, a potem schyloną nad nim twarz. Delikatna cera, złotobrazowe oczy i piękne blond włosy. To na pewno anioł, zaświtało w jego skołatanej głowie. Poczował delikatny zapach róż i lawendy. To ziemski anioł, uświadomił sobie... już go kiedyś... gdzieś widział. Usiłował otrząsnąć się z resztek maligny i unieść na rękach.

Przeszył go potworny ból i padł z powrotem na łóżko. Jakies dłonie uniosły mu głowę i przysunęły filiżankę do ust. Pojono go czymś gorzkim, a następnie obmywano twarz. Nie zdołał więc otworzyć oczu, zapadł w ciemność.

Po pewnym czasie obudził się, już w pełni świadomy. Świadomy tego, że wszystko go boli, a coś w lewym pośladku piecze rozpalonym ogniem. Huczało mu w głowie i miał sucho w ustach. Uniósł się jednak, żeby wyrzeć zza zasłon okalających łożę. To miejsce niczego mu nie przypominało. Postanowił, nie zważając na ból, zbadać, co mu rzeczywiście dolega. Odetchnął głęboko i przewrócił się na prawy bok. Był zupełnie zesztywniały, jakby całymi dniami leżał w jednej pozycji. Z wysiłkiem wyciągnął rękę, żeby zbadać główne źródło bólu. Dotknął lewego pośladka. Zabandażowany.

Kiedy chciał się obrócić, coś go musnęło po głowie. Uniósł się trochę i wyteżył wzrok.

Pod baldachimem kłębiło się coś ciemnego, skręcało i obracało.

Dobry Boże, pająki! - pomyślał.

- Uuuuuch! - Cofnął się gwałtownie, nie zdając sobie sprawy, że leży na krawędzi łoża. Spadł na plecy, urażając chory pośladek.

- Aaaaach!

## 5

Charity była już u szczytu schodów, kiedy usłyszała donośny huk i rozpaczliwy krzyk. Odstawiła tacę ze śniadaniem i pobiegła do pokoju swojego pacjenta. „Jej nieznajomy” leżał na podłodze, jęcząc z bólu i wyrażając swoje cierpienie przy pomocy słów, których nigdy nie spodziewałaby się usłyszeć.

- Piekło i szatani! Och, jak to boli!

Charity zatrzymała się w pół kroku, zdumiona wyrazem wściekłości na jego twarzy.

- Nagły szlag! - ryczał. - Mój tyłek rozleciał się na kawałki. - Grymas bólu wykrzywił mu twarz. - Och... och... och!

Jego rana odnowiła się od upadku, uświadomiła sobie Charity. Podbiegła do niego i uklękła na podłodze. Ten biedny człowiek na pewno strasznie cierpiał!

- Niech się pan nie rusza. Muszę zobaczyć ranę - powiedziała, wsuwając mu ręce pod plecy, żeby go obrócić. Dotyk napiętych mięśni zaskoczył ją do tego stopnia, że szybko cofnęła dłonie. - To niedobrze, że chciał pan wstać. Jest pan jeszcze zbyt słaby.

Ale te słowa były całkowicie absurdalne. On słaby? Charity wpatrywała się rozszerzonymi oczami w leżącego na podłodze

mężczyznę. Kontakt z nieprzytomnym, cichym dżentelmenem to była zupełnie inna sprawa, teraz miała do czynienia ze wściekłym, półnagim, miotającym się po podłodze osobnikiem.

- Mój cholerny tyłek! - jęczał, otumaniony bólem.

Charity chciała się podnieść, żeby sprowadzić pomoc, ale on chwycił wycięcie jej sukni, rozległ się trzask pękających szwów i suknia zsunęła się jej z ramienia.

- Sir, proszę się uspokoić - wyjąkała, nie mając odwagi rozpocząć bezpośredniej walki. Wtedy, na drodze, kiedy na chwilę odzyskał przytomność, też się dziwnie zachowywał. Może irracjonalne zachowanie i demonstracja brutalnej siły leżały w jego naturze?

Chwycił ją za ramię tak silnie, że upadła na niego. Patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co zrobił. Charity była oszołomiona; nie mogła oderwać wzroku od jego pięknych, szarych oczu, które zaczynały już nabierać blasku, kiedy wpatrywał się w jej wargi.

- Dobry Boże! - rozległ się nagle głos lady Margaret.

Głos babki przywołał ją do rzeczywistości. Leżała, już po raz drugi, na swoim rannym nieznanym, który pewnie znowu chciał ją pocałować! Silnym szarpnięciem wyrwała suknię z jego dłoni i ześlizgnęła się na podłogę. Babka i Melwin patrzyli na nią z przerażeniem. Dopiero wtedy zorientowała się, że jej piersi są częściowo odsłonięte. Zaruszyła się i podciągnęła suknię do góry.

- Usłyszałam, jak spada z łóżka i przybiegłam... - zaczęła. - Boję się, że rana się otworzyła - dodała, podnosząc się na nogi.

Lady Margaret i Melwin usiłowali podnieść to ciężkie ciało, które zaczynało stawiać niespodziewany opór. Rane Austen był półprzytomny, wiedział jednak, że nie pozwoli się zaciągnąć z powrotem do tego pajęczego gniazda. Nienawidził pajaków.

- Nie! - krzyknął. - Tam jest pełno pajaków, do cholery!

- Nie ma tu żadnych pajaków - oznajmiła lady Margaret. - Przynajmniej tych dużych - dodała szeptem.

- W takim razie jak mam nazwać to? - Rane Austen wskazywał gestem baldachim nad łóżkiem. Jak na rannego i chorego miał niesłychanie donośny głos.

- Pajaki? - Charity podeszła do łóżka. - To są amulety, które babcia zawiesiła, żeby pomogły panu szybciej wrócić do zdrowia - powiedziała z uśmiechem.

Patrzył na nią przez chwilę - blond włosy, czarna suknia - wydała mu się niezwykle piękna i jakby skądś znana. Jego opór zmalął i udało im się położyć go z powrotem na łóżku.

- Rana trochę się otworzyła - stwierdziła lady Margaret, biorąc się do zakładania nowego opatrunku.

- Gdzie ja, u diabła, jestem? - spytał wściekłym, zduszonym głosem.

- Jest pan w Standwell, w naszym domu. - Charity nie mogła oderwać wzroku od jego silnych ramion. - Jest pan w dobrych rękach.

- A jakże! Podnieście mnie!

- Musi pan leżeć spokojnie! - Charity chciała przytrzymać go za ramiona, a kiedy to nie odniosło skutku, położyła się na jego plecach. - Babcia musi opatrzeć miejsce... w które pana postrzelono.

Lady Margaret patrzyła ze zdumieniem na wnuczkę, która nie zawahała się przed fizycznym kontaktem z tym mężczyzną. Dobry Boże! Nie będzie już mogła spuścić ich z oczu.

- Przykro mi, że odczuwa pan ból - szeptała Charity, nachylając się nad nim. - Ale moja babcia zna się na rzeczy, jest bardziej sprawna niż wielu lekarzy. A pana postrzelono w... w...

- W tyłek - podrzucił jej słowo. - Postrzelono mnie w cholerny tyłek.

- Tak. - Charity zaczerwieniła się i usiadła na łóżku. -

A baron Pinnow, nasz sędzia pokoju, znalazł pana na drodze i przywiózł tutaj. Czy może pan nam powiedzieć, jak się pan nazywa?

- Austen. Rane Austen - wymamrotał.

Powoli wracała mu pamięć. Przed oczami mignął mu obraz rozbitego powozu, przypomniał sobie nagle powód przyjazdu do Devon, tamtą noc, drogę...

- Do stu tysięcy diabłów! - zagrzemiał nagle. - Te sukinsyny postrzeliły mnie! - Uniósł się na łóżku. - Gdzie, do jasnej cholery, jest... - urwał, wpatrując się w Charity już zupełnie przytomnym wzrokiem. Poznał ją. Blondynka w czerni. - Kim ty, do czorta, jesteś?

- Ja... ja jestem Charity Standing - wyjąkała. - Opiekowałam się panem od czasu, kiedy przywieziono pana do naszego domu.

- Opiekowałaś...?

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Gdzieś już cię widziałem - szepnął, dotykając dłonią jej policzka.

Jego dotyk pozbawił ją tchu. Zarumieniła się i opuściła powieki.

- Staralam się panu pomóc... po wypadku z powozem.

- Wypadek? - Trzymał teraz rękę na jej karku, przyciągając ją jeszcze bliżej do siebie.

- Niech mnie... - Lady Margaret aż się zachłusnęła. Trzeba natychmiast coś z tym zrobić, postanowiła. - Pośladek to niezbyt dobre miejsce na ranę - odezwała się głośno. - Stracił pan dużo krwi, a potem dostał gorączki. Nie masz szczęścia, chłopcze.

Jej donośny głos zrobił swoje, przerwał zauroczenie tych dwojga. Upokorzony tym wspomnieniem Rane Austen puścił Charity, która szybko zerwała się z łóżka.

- Do jasnego pioruna! To nie ja wybierałem miejsce po-

strzału! - Uniósł głowę i zobaczył starą kobietę w narzuconym na domową suknię kolorowym fartuchu i niebieskim zawoju na głowie, patrzącą na niego nieżyczliwym wzrokiem. - Nie pytano mnie również o zdanie, gdzie mam zostać zanieiony.

Słyszając jego niegrzeczną odpowiedź, Charity gwałtownie złapała oddech. Czuł, że patrzy na niego, i miał chęć też na nią spojrzeć. Ta piękna zjawia o jasnych włosach doglądała go i... opatrywała jego cholerny... Och nie, to było już zbyt upokarzające.

- Gdzie, u diabła, jest Standwell i gdzie jest Stephenson?

- Stephenson? - Starsza dama podeszła do łóżka. Zauważył, że nosiła na szyi jakieś dziwne przedmioty.

- Tak, Stephenson. On jest moim... - Już miał powiedzieć strażnikiem, ale zatrzymał się w porę. - Lokajem - dodał. - Gdyby panie zechciały - zaczął grzecznie - posłać wiadomość do Trayside Inn w Mortehoe. Chyba jestem niedaleko Mortehoe? Mój człowiek, Stephenson, zajmie się wszystkim i uwolni panie od ciężaru opieki nade mną.

Rane opadł na łóżko i zacisnął powieki. Ta piękna twarz obramowana złotymi włosami nie dawała mu spokoju. Co się ze mną dzieje? - pomyślał.

Lady Margaret zeszła szybko na dół, a Charity została w holu, patrząc na drzwi sypialni i przygryzając wargę.

Pan Austen na pewno nie był tym dżentelmenem, którego tak piękny obraz sobie stworzyła. Był bardzo przystojny, a kiedy spał, wydawało się, że posiada wszelkie godne podziwu cnoty. Rozbudzony, był groźny i używał języka, który mógł wywołać prawdziwy szok. Musiała przyznać, że ten wyidealizowany obraz powstał wyłącznie w jej wyobraźni, pod wpływem pocałunku i propozycji małżeństwa ze strony mężczyzny, którego zachowanie było całkowicie irracjonalne.

Teraz też nie wydawał się jej w pełni racjonalny, kiedy



przeklinał, przyciągał ją do siebie i dotykał. Ona jednak przytulała się do niego, wpatrując w jego szare oczy.

Jej zachowanie było niewątpliwie naganne, a co gorsza kontakt z tym nieznanym obudził w niej burzę sprzecznych uczuć, których istnienia nawet nie podejrzewała. Nie potrafiła jednak przestać myśleć o swoim panu Austenie. Dopiero po chwili stwierdziła ze smutkiem, że kimkolwiek on był, na pewno nie był „jej”.

Posyłanie wiadomości do Trayside Inn okazało się niepotrzebne. Nie minęła godzina, kiedy w Standwell Hall pojawił się baron Pinnow w towarzystwie krępego mężczyzny, który okazał się tym właśnie Stephensonem, którego obecności domagał się Rane Austen. Lady Margaret poprowadziła ich do swojego pacjenta.

- Dzisiaj rano na dobre się rozbudziłem, wściekły jak nie wiem co i z niewyparzoną gębą.

- Jestem przekonany, że jego lordowska mość nie był jeszcze w pełni przytomny. - Pinnow rzucił lady Margaret znaczące spojrzenie. - Pan Stephenson poinformował mnie, że jego lordowska mość miał przed kilkoma dniami wypadek i odniósł poważne obrażenia, również głowy.

- Jego lordowska mość? - Lady Margaret zatrzymała się nagle. - Ten obwieś jest lordem?

- Wicehrabią Oxley. - Pinnow pogratulował sobie w duchu, że nie przepuścił tej okazji. Pomoc udzielona arystokracji niewątpliwie przyniesie korzyści. - Jego lordowska mość był ostatnio w nie najlepszej formie, ale jestem pewny, że wyrazi swoją wdzięczność, kiedy odzyska siły. - Sam Pinnow najbardziej na to liczył.

Lady Margaret prychnęła pogardliwie i otworzyła drzwi sypialni. „Jego lordowska mość” leżał w rozrzuconej pościeli, próbując ściągnąć coś z szyi.

- Jeśli się zaraz nie uduszę, to i tak trafi mnie szlag! Co to, u diabła, za paskudztwo? - krzyczał, wyciągając zza koszuli garść dziwnych przedmiotów, zawieszonych na sznurkach i rzemykach.

- Milordzie! - Stephenson podbiegł do łóżka. - Jak się pan czuje?

- Co to jest, do jasnej cholery? - Austen zmarszczył nos z powodu zapachu wydobywającego się z jednego, trudnego do zidentyfikowania przedmiotu. - Nie wystarczy, że postrzelono mnie w tyłek i omal nie wykrwawiłem się na śmierć? - Rzucił Stephensonowi wściekłe spojrzenie. - Nie stój tu jak kukła, pomóż mi pozbyć się tego świństwa! - Służący pochylił się, żeby wykonać rozkaz. - Gdzie się podziewałeś, do cholery? - dodał.

- Nie waż się dotykać amuletów!

Stephenson zatrzymał się w pół gestu, a Rane odwrócił głowę i spojrzał na dziwnie ubraną starą kobietę, która go pielęgnowała w chorobie. Obok niej stał wysoki, elegancki dżentelmen w bryczesach, którego jedna noga była obuta do konnej jazdy, a druga zabandażowana.

- Te amulety przynoszą zdrowie i dopóki pan przebywa w tym domu, będzie je pan nosił na szyi!

- Przynoszą zdrowie? Te kawałki kości z zupy i zaschnięte szczątki diabli wiedzą czego? - Rane wyciągnął oskarżycielski palec w kierunku zwisających nad łóżem talizmanów.

- To nie są kawałki... - Lady Margaret była oburzona. Wyciągnęła mu zza koszuli amulet, zawieszony na czerwonym sznureczku. - To nie jest kość z zupy. To jest kawałek kości ze złamanej krowiej nogi, która się w cudowny sposób zagoiła... A to... - wyjęła jakiś płaski przedmiot - jest kawałek obojczyka wilka. A to... - podniosła biały kamyczek, oplątany rzemkiem - pochodzi z żołądka koguta, który dożył siedmiu lat!

- Żołądka? - Austen zadrżał, starając się ściągnąć rzemyk

z szyi, ale lady Margaret do tego nie dopuściła. Zaczął więc szarpać jakąś zdrewniałą łądygę, którą też miał na szyi, odwracając wzrok od tego, co na niej wisało.

- Nie wolno tego ruszać! - wykrzyknęła lady Margaret. - To łądyga hyzopu... zerwana podczas pełni księżyca i przechowywana przez całą zimę w słoiku z czosnkiem.

- A co, do pioruna, tam wisi? - spytał, biorąc z obrzydzeniem jakiś zasuszony kształt w dwa palce. - Pyszczek nietoperza?

- To ogon jaszczurki! - wrzasnęła starsza dama. - Jaszczurka zgubiła ogon, ale wyrósł jej nowy!

Austen zaniemówił. Był zbyt oszołomiony, żeby się opierać, kiedy lady Margaret wsunęła mu amulet za koszulę i umieściła na piersiach ten, który przesunął się na plecy.

To były łąpy. Jakieś zeszcłe łąpy w metalowym kółku. Nie chciał nawet wiedzieć czyje.

- Milordzie - baron Pinnow starał się załagodzić sytuację - lady Margaret Villiers jest znaną zielarką i chociaż jej metody mogą wydawać się... specyficzne... są niesłychanie skuteczne.

Rane Austen powoli dochodził do siebie.

- A kim pan jest? - spytał. Udało mu się powstrzymać „u diabła” i dodać „sir”.

- Baron Pinnow, sędzia pokoju okręgu Mortehoe, do usług, milordzie. To ja znalazłem pana na drodze i tu przywiozłem, wiedząc, że w tym domu będzie miał pan najlepszą opiekę.

- Jestem niezwykle zobowiązany - rzucił zdawkowo Rane, czując nawrót bólu.

- Przyszedłem, żeby poznać okoliczności wypadku, milordzie - ciągnął Pinnow, którego niemile uderzył brak głębszych oznak wdzięczności ze strony rannego. - Czy pan wie, kto pana postrzelił?

- Nie - warknął poirytowany Rane.

- To może opowie mi pan coś o samym zdarzeniu... co pan widział... słyszał?

- Nie ma pojęcia, co się wydarzyło. Zostałem postrzelony gdzieś na drodze. Wracałem do gospody... - Urwał, pozorując grymas bólu. Nie mógł przecież powiedzieć, że spotykał się ze szmuglerami.

- Wicehrabia jest właścicielem kompanii handlowej w Londynie i chciał wypróbować... miejscowy towar. - Stephenson mrugnął znacząco do barona.

- Miejscowy towar, rozumiem. Sam się tym interesuję - uśmiechnął się Pinnow. - Proszę dalej, milordzie.

- Nie ma żadnego „dalej” - mruknął Austen. - W ogóle nie pamiętam tego incydentu. To pewnie byli złodzieje.

- Złodzieje... To możliwe, bo nie znaleźliśmy przy panu żadnych papierów ani pieniędzy. - W głosie barona brzmiało oburzenie. - Na pewno później przypomni pan sobie więcej szczegółów.

Pytania barona przywołały Austena do rzeczywistości. Zapomniał o bólu, skupiając się na ważniejszych sprawach. Musi przecież wytłumaczyć się przed swoimi klientami w Londynie, musi natychmiast stąd wyjechać. Po chwili przyszła mu do głowy inna, przerażająca myśl - kończący się sezon towarzyski!

- Natychmiast wynajmij powóz! Wracam do Londynu! - zwrócił się do Stephensona.

- Co? - Służący patrzył na niego w osłupieniu.

- Bzdura! - mruknęła lady Margaret. - Dopiero przed chwilą założyłam panu kilka nowych szwów. Nigdzie pan nie pojedzie!

- Oczywiście, że pojedę. Po południu wracam do Londynu. I tak już nadużyłem pani gościnności - zwrócił się do lady Margaret. - Stephenson, powóz!

Wszyscy usiłowali wyperswadować mu ten pomysł - bez skutku.

Charity wślizgnęła się cicho do pokoju. Nikt nie zwrócił na nią uwagi, z wyjątkiem Austena, który wpatrywał się w nią intensywnie. Ubrana była w prostą czarną suknię, a złote włosy zebrała w węzeł. Ten surowy strój był doskonałym tłem dla jej nieskazitelnej cery, piwnych oczu, pięknego owalu twarzy i kobiecej figury.

- Boli pana, panie Austen? - spytała cichym głosem.

Nie odpowiedział, ale ona wiedziała, że cierpi, chociaż nie chce się do tego przyznać. Musi mu pomóc. Podeszła do stolika z lekarstwami.

- Panno Charity - odezwał się Pinnow. - Powinna pani uświadomić jego lordowskiej mości, to znaczy wicehrabiemu, jak bardzo jego zdrowie leży nam na sercu.

Jego lordowskiej mości? Baron tak dobitnie akcentował te słowa, że szybko do niej dotarli. Jej przystojny, porywczy pan Austen był wicehrabią? Zachmurzyła się nagle, podchodząc z przygotowaną miksturą do jego łóżka.

- To złagodzi ból... milordzie.

Wyciągnął rękę, obejmując szklanke wraz z jej dłonią.

- Co tam jest? - spytał ochrypłym głosem. - Palce nietoperzy i pajęczę nogi?

- Kora wierzby. - Pochyliła się, przysuwając mu szklanke do ust. - Oraz zioło maruna. - Jego dłoń zacisnęła się na jej rękę, a ona zarumieniła się lekko. - I tajemnice.

- Jakie tajemnice? Twoje?

Spojrzała mu w oczy, a on przyciągnął ją bliżej do siebie. Jego szare oczy miały teraz kolor ciemnych, burzowych chmur, przez które przebiegały błyskawice. Jej oczy miały złocisty połysk, były pełne ukrytych tajemnic.

Sam nie wiedział, jak długo wpatrywali się w siebie, uderzyła go dopiero nagła cisza. Wszyscy patrzyli na nich w osłupieniu. Odsunął się, a zarumieniona Charity wyprostowała się nagle.

- Oczywiście, musimy respektować życzenia jego lordow-

skiej mości, jeśli woli leczyć się w Londynie - powiedział baron chłodnym tonem, patrząc z ukosa na zarumienioną Charity.

- Zaraz przygotuję panu miksturę na drogę - oświadczyła lady Margaret i chwyciła Charity za ramię. - Pójdiesz ze mną.

Charity rzuciła Austenowi przeciągłe spojrzenie. Nie będzie już się nim opiekować, on wyjeżdża!

Baron też się wycofał, w sypialni został tylko Stephenson. Popatrzył z uśmiechem na swojego pracodawcę. Austen nigdy nie przepuszczał takich okazji, jaką zaoferowała mu ta panna - i to przy wszystkich.

- Przypuszczam, że ten powóz nie będzie już potrzebny...

- Cholernie głupio przypuszczasz. - Rane obrzucił go wściekłym spojrzeniem. - Im szybciej wydam się z tego zwariowanego domu, tym lepiej!

## 6

Nie upłynęła jeszcze godzina, kiedy ktoś zaczął walić w drzwi Standwell Hall. Melwin otworzył je pospiesznie i zobaczył opartego o futrynę, zdyszanego, spoconego barona.

- Zawołaj panią - wysapał. - Ten Stephenson... złamał nogę!

Lady Margaret patrzyła ze zdumieniem na stojących przed drzwiami mężczyzn. Szybko wyjęła amulet z kieszeni fartucha i zawiesiła go poszkodowanemu na szyi.

Zaraz nadbiegła Charity i kiedy zobaczyła wykrzywioną bólem twarz Stephensona, poczuła dziwny ucisk w piersiach. Nowe strapienie. Znowu coś się *przydarzyło*. Najpierw ten nieznajomy, teraz jego służący. Zauważyła, że babka dotyka swoich amuletów, a potem patrzy w niebo, gdzie wolno krążył jastrząb, i po raz kolejny zadała sobie pytanie, jakiej ona strzeże tajemnicy.

Wprowadziły służącego na piętro i umieścili w pokoju naprzeciwko sypialni jego pana. Charity i lady Margaret napiły go brandy i zajęły się nastawianiem nogi, a baron Pinnow opowiadał im, jak wierzchowiec Stephensona wpadł do niewielkiego dołka i przewracając się, przygniół mu nogę.

Ten wypadek wydarzył się niedaleko Standwell, więc wsadził Stephensona na swojego konia i przywiózł go do lady Margaret.

- Zechcą panie przyjąć moje przeprosiny, że obarczam was tymi dwoma nieszczęsnymi inwalidami. Obawiam się, że w tej sytuacji nie może być mowy o powrocie wicehrabiego do Londynu.

Charity szybko wybiegła z pokoju i z uśmiechem zerknęła na drzwi rannego arystokraty. Szarooki Rane Austen będzie musiał tu zostać.

Baron Pinnow był zaniepokojony. Powabna Charity zanadto interesowała się tym przystojnym nieznajomym.

- Lady Margaret, nie może pani pozwolić, żeby panna Charity pielęgnowała wicehrabiego z... takim zaangażowaniem.

- Hmmm. - Lady Margaret myślała o tym samym, chociaż z całkowicie innego powodu. - Zaraz poślę po Gara i Percy'ego.

Charity i lady Margaret przekazały Austenowi wiadomość o wypadku służącego. Jak się można było spodziewać, wicehrabia przyjął tę nowinę z dość dużym niezadowoleniem.

- Złamał swoją cholerną... - Rane uniósł się na łóżku. - No nie, piekło i szatani! - wykrzyknął. - Nie wytrzymam tego!

- Zdaje się, że będzie pan musiał wszystko wytrzymać - powiedziała zirytowana lady Margaret. - Obaj będziecie musieli jeszcze tu zostać.

- Nic mi się nie zdaje! Nie zostanę tu nawet na jedną przekłętą noc! - pieklił się.

Zreflektował się, kiedy zauważył Charity. Sytuacja bezbronego pacjenta była upokarzająca, a on nie był sobą, zachowywał się jak barbarzyńca i nie potrafił nic na to poradzić.

- Ja... ja muszę wrócić do Londynu - wyjąkał, nie mogąc oderwać od niej oczu. - Mam ważne sprawy do załatwienia.



- Proszę mi wybaczyć, milordzie - Charity podeszła do łóżka - ale nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

Miała rację, dobrze o tym wiedział. Ostatnie dwa tygodnie były pasmem katastrofalnych wydarzeń. Stracił cenną dostawę koniaku, stracił sezon towarzyski w Londynie, kosztowny powóz, dwukrotnie w wypadku stracił przytomność, a potem został postrzelony w pośladek przez dwóch wiejskich głupków. Teraz był uwięziony w domu, gdzie zwariowana stara kobieta obwiesza go szczątkami zwierząt, a powabny blond anioł rozpala mu zmysły. Aroganckie zachowanie było jego jedynym ratunkiem, ale nie potrafił w nim wytrwać, gdy tylko spojrzał jej w oczy.

Charity patrzyła na niego ze współczuciem. Rane Austen, wicehrabia Oxley, był przyzwyczajony do tego, żeby rządzić, a nie poddawać się losowi. Na pewno było mu bardzo trudno leżeć i być zdany na cudzą łaskę. Nic dziwnego, że był zły i poirytowany.

Do sypialni wszedł Melwin z wiadomością, że „ten jegomość, Stephenson, jęczy i strasznie się rzuca”. Lady Margaret wybiegła z pokoju.

- Czy z nim bardzo źle? - spytał Rane, odwracając wzrok od Charity. Zanadto się w nią wpatrywał, robiąc z siebie głupca.

- To proste złamanie. Teraz go boli, ale szybko dojdzie do siebie. Może trzeba wysłać jakąś wiadomość do Londynu? Do pana wspólników?

- Nie mam wspólników.

- Może powinniśmy napisać do pana rodziny?

- Nie mam rodziny. - Brak powiązań z miejscową arystokracją był dla niego stałym źródłem upokorzenia. Dlaczego odpowiada jej na tak osobiste pytanie?

- Zawiadomić... żonę? - Czy proponowałby małżeństwo obcej kobiecie, gdyby miał żonę?

Żona. To słowo miało dla niego nieprzyjemny wydźwięk - do tej pory nie potrafił zdobyć żony. Ale w jej ustach zabrzmiało tak, że odczuł potrzebę, by na nią znowu spojrzeć.

- Nie mam żony - mruknął.

Charity odczuła ogromną ulgę. Obrzuciła go ciepłym spojrzeniem, wyczuwając to wszystko, co się kryło za jego niechętnym pomrukiwaniem. Nie miał ani rodziny, ani żony, nawet partnerów w interesach.

- Może pana narzeczoną powinna się dowiedzieć...

- Nie mam narzeczonej. - Jej zainteresowanie zaczęło sprawiać mu przyjemność.

- Czy jest w takim razie ktoś, kogo trzeba zawiadomić?

- Czy nie za wiele tych pytań? - zachnął się nagle, ale nie był zły. - Mój kamerdyner, Eversby. Proszę do niego napisać. On uwielbia dostawać listy.

- Nie mam zamiaru się wtrącać w pana sprawy. - Charity zarumieniła się i podeszła bliżej do łóżka. - Chcę tylko pomóc. Wiem, że teraz źle się pan czuje, ale za kilka dni wstanie pan z łóżka, a za kilka tygodni będzie pan zupełnie zdrowy.

Nie mógł oderwać wzroku od jej pięknych, uwodzicielskich oczu. To go rozzłościło i wprawiło w kłótlivy nastrój.

- Tygodni? Kilka tygodni?

- Przynajmniej dwa... za trzy lub cztery będzie pan mógł wsiąść na konia. Jeszcze długo będziemy znosić pana humory - dodała żartobliwym tonem.

- Pani nie musi leżeć w łóżku z tył... - zreflektował się nagle - ...z tymi wszystkimi paskudztwami na szyi! - Uderzyło go, że ona nie miała na sobie żadnego amuletu. Starsza dama cała była tym obwieszona, nawet lokaj je nosił. - Pani nie musi tego nosić?

- Nie, ja nie noszę magicznych przedmiotów. - Na ustach Charity ukazał się czarujący uśmiech. - I bez nich szczęście mi sprzyja. Zbyt wiele szczęścia.

- Zbyt wiele szczęścia? To absurd! Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś miał zbyt wiele szczęścia! Poza tym nic takiego, jak szczęście, nie istnieje.

- Ależ tak. - W jej oczach zapaliły się wesołe ogniki. Wiedziała już, że jego grubiaństwo jest tylko formą obrony. - Nawet mój ojciec się z tym zgadzał. Różnili się z babcią tylko co do tego, czy można mieć wpływ na własne szczęście. Babcia wierzy, że wiele rzeczy ma na to wpływ, a tatuś... pozwalał jej eksperymentować, byle nie z jego jedzeniem i ubraniem.

- Pani ojciec? Wydaje mi się zadziwiająco rozsądnym człowiekiem. Chciałbym z nim porozmawiać.

Chciałby rozmawiać z jej ojcem? Coś ścisnęło ją za gardło. Przez chwilę stała bez ruchu, potem wzięła głęboki oddech.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Mój ojciec zmarł... dwa tygodnie temu.

W pokoju zapanowała cisza. Oczy Charity były przymglone bólem. Dopiero teraz zrozumiał, że była w żałobie. Przecież ubierała się zawsze na czarno. Ogarnęło go nagłe uczucie wstydu. Chciał rozmawiać z jej nieżyjącym ojcem!

- Panno... panno...

- Standing - odpowiedziała, sądząc, że zapomniał jej nazwiska. - Charity Standing. Po południu pošlemy kogoś po pana rzeczy do gospody. Będzie miał pan własne ubrania i swoją brzytwę do golenia.

Nie rozumiała jego zaskoczenia. Nie wiedziała, że panienki z towarzystwa nie mówią o szczegółach męskiej toalety, a nawet nie mają o nich pojęcia. Charity Standing była niezwykłą dziewczyną, stwierdził Rane. Jej obecność wywoływała w nim tyle sprzecznych uczuć - nie wiedział, jak sobie z tym radzić.

- Dobrze byłoby zmienić tę koszmarną koszulę. - Wyprostował swoje szerokie ramiona. - Jest diabelnie mała.

- Tak. - Charity uśmiechnęła się blado. - To prawda. Tatuś był drobniejszej budowy od pana.

Rane odprowadził ją wzrokiem do drzwi i ukrył twarz w poduszce. Ma na sobie koszulę jej zmarłego ojca i marudzi, że jest za mała, jak jakiś cholerny idiota.

Niech to szlag.

Charity zatrzymała się w holu, pogrążona w myślach. Wicehrabia nie miał żony ani narzeczonej. Jej twarz rozjaśnił uśmiech, ale po chwili ściągnęła brwi. Dlaczego on nikogo nie ma? Widać było, że boleśnie to odczuwał. Czyżby miał złamane serce? Zawsze była przekonana, że do jej obowiązków należy niesienie ulgi cierpiącym. Będzie więc musiała pośpieszyć mu z pomocą.

Obsługiwanie dwójki inwalidów, gotowanie dla nich oddzielnych posiłków i ciągłe bieganie po schodach było zbyt wielkim ciężarem dla starego Melwina i jego żony. W Standwell Hall pracowali jeszcze ich wnukowie, ale ta dwójka miała wystarczającą ilość roboty w ogrodzie, przy koniach i inwentarzu. Charity i lady Margaret musiały więc same zająć się sprzątaniami zaniedbanego pokoju, w którym leżał Stephenson. Lady Margaret była przekonana, że rumieńce Charity nie zostały spowodowane wysiłkiem, chociaż wynosiła właśnie dywan do trzepania. Postanowiła się z nią rozmówić.

- Posłałam po Gara i Percy'ego, chcę, żeby zajęli się wicehrabią.

Charity zatrzymała się w holu.

- Gar i Percy? Przecież ja to mogę robić.

- Nie wypada, żeby młoda dama opatrywała mężczyznę... mężczyźnie...

- Tyłek? - podrzuciła Charity.

- Ranę! Opatrywała dżentelmenowi ranę!

Lady Margaret zaczerwieniła się z irytacji. Zawsze uważała, że język „prawdziwej damy” jest stekiem niedorzecznych niedomówień i była dumna z tego, że sama nigdy nie przestrzegała konwenansów. Ale teraz sytuacja uległa zmianie.

- Nie wypada, żeby młoda dziewczyna miała zbyt osobiste kontakty z mężczyzną.

- Ależ, babciu - zaprotestowała Charity.- Ja nie mam „osobistych kontaktów” z wicehrabią. Ja się nim opiekuję w chorobie.

Tak ci się tylko wydaje, pomyślała lady Margaret.

- On to będzie traktował inaczej - powiedziała. - Należy do arystokratycznego towarzystwa, gdzie żadnej kobiecie nie przyszłoby nawet do głowy, żeby się w takiej sytuacji opiekować mężczyzną. Dla jego lordowskiej mości fakt, że go dotykasz, oznaczać może tylko zaproszenie na „nocną zmianę”.

- Nocną zmianę? - Charity zaczerwieniła się nagle.

Lady Margaret z trudem przełknęła ślinę. Od pięciu lat przygotowywała się na przeprowadzenie z wnuczką tej rozmowy, ale zawsze odsuwała ją na później.

- Musisz wiedzieć, że pewne sprawy między mężczyznami i kobietami...

- Te sprawy, co odbywają się po ciemku, między mężem a żoną, w łóżku? To nazywasz, babciu, „nocną zmianą”?

Lady Margaret oniemiała.

- N...n...no tak. Skąd o tym wiesz?

- Tatuś mi wszystko powiedział już dawno temu. Mówił, że żyzne pole kobiety trzeba obsiać męskim nasieniem. Pytałam go wtedy, dlaczego nie mam braciszka, skoro mamy tyle grządek kapusty. Powiedział mi wtedy, że dzieci nie znajduje się pod liśćmi kapusty, i wytłumaczył, skąd się biorą.

- Wszystko ci powiedział? - Lady Margaret przysiadła na parapecie. Nie wiedziała, czy powinna się gorszyć, czy odczuwać ulgę.

- Chyba tak. O kogucie, który wskakuje na kurę, o ogierze na klaczy i o mężu, który...

- Dobrze już, dobrze. - Lady Margaret oblała się rumieńcem. - Widzę, że wiesz, o co chodzi.

Starła się zebrać myśli i przypomnieć sobie, co właściwie chciała powiedzieć Charity, ale wnuczka szybko wybawiła ją z kłopotu.

- Nie wyobrażam sobie, żeby jego lordowska mość mógł pomyśleć, że zapraszam go na taką „nocną zmianę”. Przecież nie jestem jego żoną.

Lady Margaret popatrzyła na śliczną, szczerą i naiwną twarzyczkę wnuczki. Upton najwidoczniej skupił się tylko na prokreacji, pomijając inne aspekty tej sprawy. Ale Charity nie można już było utrzymywać w nieświadomości.

- Niekoniecznie trzeba być mężem i żoną czy też myśleć o dzieciach - powiedziała cichym głosem. - Chodzi o doznawanie rozkoszy... i o wzajemny pociąg... Mężczyźni znajdują wiele przyjemności w miłości fizycznej... Czasem widok pięknej kobiety wzbudza w nich pożądanie. Nie jest dla nich ważne, czy pozostają w związku małżeńskim, czy ledwie znają tę kobietę i czy zrobią jej dziecko, rujnując jej reputację. Chodzi im tylko o to, żeby odczuwać podniecenie i mieć przyjemność.

Charity słuchała uważnie słów babki. Nie zauważyła, żeby kontakt z nią sprawiał wicehrabiemu przyjemność. Natomiast ona niewątpliwie ją odczuwała, patrząc na jego przystojną twarz i barczystą postać. Serce jej mocno biło, przebiegał ją dreszcz i krew napływała do twarzy, kiedy patrzyła w jego szare oczy, a on dotykał jej karku i policzków - to chyba było uczucie, które babka nazywała podnieceniem.

- A kobiety? - spytała. - Czy kobiety też znajdują przyjemność w kontakcie z mężczyzną?

Lady Margaret popadła w zadumę, wracając pamięcią do lat młodości. Odezwała się wreszcie, jakby zapominając o wnuczce, a podążając tylko za swoimi myślami.

- Tak, kobiety też. Z odpowiednim mężczyzną można spędzić magiczną noc. To jest magia, która powoduje, że całe twoje ciało gdzieś się rozplywa, a krew gotuje się w żyłach. Przenosisz się do odległych, kolorowych światów niewyobrażalnej rozkoszy. Czasem wydaje ci się, że jesteś tak nią przepełniona, że możesz ulecieć w powietrze, a czasem czujesz się tak spokojna i rozluźniona, jakby cię w ogóle nie było. - Lady Margaret westchnęła. - Cyganie dobrze znają magię nocy. Mają ją w koniuszkach palców, kiedy pieszczą swoje kobiety. Twój dziadek też miał takie dłonie...

- Ale dziadek nie był Cyganem. Był Francuzem.

- Widocznie niektórzy Francuzi też to mają. Jeśli mężczyzna posiada tę magiczną moc, wie, co czuje kobieta, kiedy on jej dotyka i jak doprowadzić ją do... - Starsza dama otrząsnęła się nagle ze swoich wspomnień. Chciała przestrzec wnuczkę, a zaczęła opowiadać jej o magii nocy. A niech to! Wyprostowała się i zrobiła surową minę.

- Posłałam po Gara i Percy'ego. Oni zajmą się jego lordowską mością, a ty nie będziesz musiała w ogóle wchodzić do jego pokoju. Dopóki nie przyjadą, nie zamykaj drzwi sypialni i trzymaj się z daleka od jego... - Chciała powiedzieć „rąk”, ale wystarczyło jej jedno spojrzenie na twarz Charity, żeby się zorientować, że już za wiele jej powiedziała. Zamiast ostrzec ją przed mężczyznami, wprowadziła ją nieświadomie w nieznaną jej dotąd dziedzinę.

Lady Margaret słusznie się tego obawiała. Charity siedziała zamyślona, wspominając dotyk silnych dłoni Rane'a Austena.

- Babciu, czy wicehrabia nie ma w sobie trochę cygańskiej krwi?

- Ani kropli! - wykrzyknęła zaalarmowana lady Margaret. - On absolutnie nie ma w sobie nic z Cygana!

- Ale jest taki ciemny. Nie sądzisz...

- Ten niecnota bardziej przypomina panterę. - Starsza dama uczyniła w powietrzu dobrowróźbny znak. - A one są niebezpieczne, zwłaszcza nocą.

Rane Austen spędził poranek w słonecznej sypialni, rozmyślając ponuro o swojej firmie i kontrahentach, którzy nie otrzymają dostawy koniaku, i o straconych zabiegach matrymonialnych. Firma może ponieść ogromne straty przez jego przedłużającą się nieobecność. A o domu, w którym się znajdował, wołał wcale nie myśleć.

Bronił się przed przywoływaniem obrazu Charity - jej gęstych blond włosów, ciepłego spojrzenia brązowozłocistych oczu, jasnej cery, białej jak marmur... tylko o wiele miłszej w dotyku.

Po latach spędzonych w tropiku jego skóra spalona była na brąz, i kontrast tej ciemnej skóry z jasną cerą dziewczyny silnie działał na jego zmysły. Przed oczami ukazał mu się obraz jej alabastrowych ramion, przykrytych kaskadą blond włosów, i jego ciemnych dłoni uwalniających z gorsetu jej białe piersi.

Przeraziła go nagła erekcja, wcale nie miał zamiaru wzbudzać w sobie pożądania...

Otworzyły się drzwi, więc szybko zagrzebał się w pościeli, czerwony z upokorzenia. Wszedł stary lokaj.

Melwin przysunął krzesło do ściany i stanął na nim. Wyciągnął z kieszeni gwoździe, młotek i podkowę, którą przybił do ściany. Miał zamiar zrobić to samo z drugą podkową, ale powstrzymał go okrzyk Rane'a.



- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Żelazo przynosi szczęście. - Melwin obrócił się na krześle. - Milady robi przy nich jakieś magiczne zabiegi. - Machnął młotkiem i zabrał się do pracy. - Wszędzie wiszą podkowy.

Kiedy skończył i odstawił krzesło na miejsce, Rane spojrział na ścianę.

- Tylko trzy? - spytał ironicznym tonem.

- Nieparzyste cyfry przynoszą szczęście. - Melwin był zdumiony, że Rane nie zna tak oczywistych prawd. - Trzy jest dobre. Pięć też jest nieparzyste, ale może zwabić zły los. Siedem jest najbardziej szczęśliwe. Może chce pan siedem?

- Och, Boże, nie! - wykrzyknął Rane. — Wystarczą trzy. Nie jestem zachłanny...

Stary lokaj nie wziął tej wypowiedzi za dobrą monetę i chrząknął z dezaprobatą, wychodząc z pokoju.

Stara wariatka, pomyślał Rane. Kto, u diabła, ją prosił, żeby interesowała się jego szczęściem? Zerwał ze złością jeden z nieprzyjemnie pachnących amuletów i rzucił go pod łóżko. Zdławił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Dlaczego, do licha, nie potrafi zachować się jak dżentelmen? Przez całe lata próbował pohamować swoją porywczność i zmienić twarde, często grubiańskie podejście do ludzi, które wykształcił sobie w trudnych, wczesnych latach życia. Czyżby zdobyta z trudem powłoka dobrych manier była tak cienka, że byle drobiazg potrafi zamienić go w brutala?

Ile razy otworzył usta, tyle razy robił z siebie piramidalnego głupca. Najpierw chciał rozmawiać ze zmarłym ojcem Charity, a później narzekał, że jego koszula jest na niego za mała. I nawet jej nie przeprosił.

Jakim człowiekiem był Upton Standing, ojciec takiej córki,

której sama obecność była niezwykle kojąca? A Charity, jego blond anioł? Szybko odsunął od siebie te myśli. Musi jak najprędzej wydostać się z tego zwariowanego domu i wrócić do Londynu.

Nie widział swojej kochanki Fanny już od sześciu tygodni! Zaraz po przyjeździe złoży jej wizytę. To tylko długa abstynencja i choroba spowodowały jego zauroczenie Charity Standing, dziewczyną, która łączyła w sobie zmysłowość z absolutną niewinnością. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, żeby trzymać pannę Standing na odległość!

## 7

Był już wieczór, kiedy stary Melwin przyniósł wicehrabiemu filiżankę herbaty i talerz bulionu. Zastał go w fatalnym humorze. Chociaż był dopiero kwiecień, słońce bardzo nagrzało pokój. Lokaj postawił tacę na stoliku przy łóżku.

- Za przeproszeniem, milordzie, czy nie uważa pan, że jest tu trochę ciepło?

- Ciepło? To rozpalony piec - warknął Rane. - Myślałem, że chcecie mnie upiec i zjeść na kolację!

Melwin otworzył okno. Do pokoju napłynęło chłodne powietrze. Rane odgarnął mokre włosy z czoła i podciągnął się na łóżku. Patrzył, jak lokaj nalewa herbatę i podnosi pokrywkę z parującego talerza zupy. Był głodny jak wszyscy diabli! Melwin nabrał zupy na łyżkę i podniósł ją do jego ust.

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? - Rane odsunął się, patrząc ze zdumieniem na lokaja.

- Karmię waszą lordowską mość. Taki mam rozkaz. - Staruszek wpatrywał się w łyżkę, nie zważając na Rane'a.

- Prędeż zjesz diabła, niż mnie nakarmisz. - Rane zacisnęła usta.

- Milady jest zajęta przy pana człowieka, a panna Charity...

pomaga jej. - Melwina bolały już plecy od niewygodnej pozycji i powoli tracił cierpliwość.

- Sam będę jadł!
- Jak pan sobie życzy, milordzie.
- Postaw tacę przede mną, na poduszce.

Melwin zrobił, jak mu kazano, i wyszedł, pomrukując coś cicho.

Rane westchnął z zadowoleniem. Dostał duży talerz gorącego bulionu i cały dzbanek parującej herbaty. Szybko włożył łyżkę zupy do ust. Była potwornie gorąca! Sparzył sobie język i gardło. Nie miał czym popić tego ukropu, bo herbata miała podobną temperaturę. W innych domach, zanim doniesiono jedzenie z kuchni, zawsze zdążyło trochę ostygnąć. Dlaczego tutaj było tak strasznie gorące?

Po chwili do pokoju wpadł ptak i zaczął obijać się o ściany. Rane przechylił głowę i zobaczył wróbla. Zrobiło mu się go żal, więc oparł się na łokciu i pomachał ręką, żeby skierować ptaka do okna. Taca niebezpiecznie się przechyliła, ale nie zwrócił na to uwagi. Ptak wpadł pod baldachim łóżka, więc Rane zaczął machać obiema rękami, żeby go stamtąd wypłoszyć.

- Tam jest okno, ty dumny ptaku! - zawołał.

Nie zdawał sobie sprawy, że jego gwałtowne ruchy przesuwają tacę po poduszce, aż do chwili, gdy było już za późno. Gorąca zupa i herbata popłynęły szerokim strumieniem po jego piersi.

- Ooooch!

Charity usłyszała ten krzyk, kiedy siedziała przy Stephenie, będącym jeszcze pod wpływem środków uspokajających. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do sypialni Rane'a. Siedział na łóżku, w mokrej pościeli, wśród przewróconych naczyń, z palcami wczepionymi w mokrą koszulę, która oblepiała mu piersi i brzuch.

- Och, mój Boże, jestem strasznie poparzony.
- Wielkie nieba! - wykrzyknęła, podbiegając do łóżka.
- To ten ptak... ten zatracony ptak, który dostał się do pokoju.

Charity szybko zebrała naczynia, postawiła je na podłodze i chwyciła go za koszulę. Rane uniósł się trochę, żeby mogła ją spod niego wyciągnąć.

- Ten ptak... objął się o ściany. Potem zaplątał się w ten piekielny baldachim nad łóżkiem, więc obróciłem się, żeby skierować go do okna... - Przerwał, kiedy koszula leżała już na podłodze, a Charity podbiegła do umywalki, żeby zmoczyć ręcznik w zimnej wodzie. - Zobaczyłem, że taca się przechyliła i starałem się ją złapać! Ta piekielna herbata była wrząca. Dlaczego, u diabła, była tak gorąca?

- Tak się robi herbatę, milordzie, parzy się ją gotującą wodą.

Charity usiadła na skraju łóżka i przyłożyła chłodny ręcznik do jego zaczerwienionej klatki piersiowej. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę, w jakiej znaleźli się sytuacji. Leżał przed nią całkowicie nagi, tylko dolna część ciała była przykryta prześcieradłem, a ona siedziała tuż przy nim, przesuwając rękami po jego piersiach i brzuchu.

Dłonie Charity znieruchomiały nagle. Czuła pod palcami bicie jego serca. Do tej pory widywała tylko plecy tego fascynującego nieznajomego. Wpatrywała się w jego wspaniałe umięśnioną, ogorzałą klatkę piersiową, pokrytą lekkim nalotem czarnych włosów, które... schodziły w dół. Odrzuciła ręcznik, przesuwając gołą dłonią po jego ciele.

Rane dotknął jej policzka, przesunął dłoń na alabastrowe ramiona, wreszcie musnął końcami palców wychylające się z gorsetu piersi. Sądził, że ona za chwilę się odsunie, ale nie poruszyła się, nadal go dotykając.

- To tylko potwierdza regułę - szepnęła, wpatrzona w jego szare oczy.

- Jaką regułę? - spytał, nie odrywając od niej wzroku.

- Ptaki w domu przynoszą nieszczęście.  
- Nie wierzę W szczęście i brak szczęścia.  
- A w co pan wierzy? - spytała zdławionym głosem. Jego dotyk działał na nią obezwładniająco.

- W rzetelną pracę, rzetelne pieniądze i... - omal nie dodał „rzetelne uprawianie miłości”.

Jednak w tym momencie nie były mu w głowie porywy namiętności. Pragnął czegoś innego, jakichś nowych doznań... Pragnął czułości.

- Wierzę też w miękką, jedwabistą skórę - dodał nieoczekiwanie, przesuając palcem po jej szyi.

Charity zaparło dech w piersiach. Jemu podobała się jej miękka skóra, tak samo jak jej podobały się jego twarde muskuły.

- Dobry Boże! - dobiegł ich zduszony okrzyk od strony drzwi.

Stała tam poblądła lady Margaret, chwytając się za głowę. Wicehrabia leżał nagi w łóżku, a Charity głaskała jego obnażone ciało.

Charity zerwała się na równe nogi, na jej twarz wystąpił ciemny rumieniec. Rane szybko przykrył się prześcieradłem i oboje zaczęli mówić o ptaku w pokoju, gorących napojach i że ona chciała tylko mu pomóc.

Lady Margaret słuchała tych nieskładnych wyjaśnień. Wiedziała, że mówią prawdę, wiedziała jednak również, że jej przemowa do Charity przyniosła więcej złego niż dobrego. Kazała wnuczce wyjść z pokoju i poczekać na siebie na dole.

Charity skinęła głową, unikając wzroku Rane'a. On zresztą również na nią nie patrzył, starając się obmyślić jakąś linię obrony na swoje, niegodne dżentelmena, zachowanie. Obnażył się przed młodą dziewczyną, której miał zamiar unikać.

Kiedy Charity wyszła z pokoju, starsza dama nie czyniła mu wymówek, patrzyła tylko na niego nieodgadnionym wzrokiem.

- Proszę się zastanowić, milordzie. Jest pan najbardziej pechowym osobnikiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jeśli chce pan jeszcze kiedyś usiąść na tym swoim nieszczęsnym tyłku, to niech się pan trzyma z daleka od mojej wnuczki. - Spojrzała na niego z dziwnym błyskiem w oczach. - Nie chcę, żeby pana krew spadła na jej głowę. - Po wygłoszeniu tej zagadkowej uwagi wyszła, trzaskając drzwiami.

Lady Margaret zeszła do kuchni i kazała Melwinowi przyzwolicie ubrać wicehrabiego w któreś z ubrań przysłanych właśnie z gospody, i zanieść mu nową tacę z herbatą i bulionem. Bernadette podgrzała bulion, nastawiła nowy czajnik herbaty i wyszła, żeby zmienić jego lordowskiej mości bieliznę pościelową.

- Przykro mi, babciu - zaczęła Charity. - On naprawdę się oparzył, a ja tylko starałam się pomóc. - Nie mogła przecież powiedzieć babce o swojej fascynacji, podnieceniu i odczuwanej przyjemności.

- Charity Ann Standing - zaczęła lady Margaret oficjalnym tonem - wychowano cię na przyzwoitą dziewczynę i nie dopuszczę do tego, żebyś miała o tym zapomnieć. On jest arystokratą, przyzwyczajonym do towarzystwa skromnych młodych dam. Mówiłam ci już, co sobie pomyśli. A ty poszłaś do jego pokoju i widziałas go nagiego...

- Niecałkowicie, babciu - zaprotestowała zarumieniona Charity.

- Chwała Bogu i za to - mruknęła starsza dama, również się rumieniąc. - Posłuchaj mnie, dziecko - wzięła Charity za rękę - z dotykania go, patrzenia na niego i myślenia o nim nie wyniknie nic dobrego. On jest najbardziej pechowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. A dla ciebie jest podwójnie pechowy.

Babcia ma rację, pomyślała Charity. Jego lordowska mość

miął rzeczywiście niezwykłą łatwość popadania w tarapaty. Rozbita głowa, rana postrzałowa, upadek z łóżka, poparzenie...

Po chwili twarz jej się rozjaśniła promiennym uśmiechem.

- Więc będę musiała podzielić się z nim swoim szczęściem - powiedziała, całując babkę w policzek.

Było już bardzo późno, kiedy Bernadette usłyszała jakieś skrobanie do kuchennych drzwi. Kiedy otworzyła, do środka wślizgnęły się dwie ciemne postacie.

- Zawołaj milady, Bernadette - rozległ się błagalny głos Percy'ego Halla.

Po chwili pojawiła się lady Margaret. Obrzuciła zdumionym spojrzeniem skulonych przy piecu, trzęsących się z zimna nieszczęśników.

- Gdzieście się podziewali, do stu tysięcy diabłów? - spytała. - Szukam was wszędzie. Mam w domu chorego arystokratę i potrzebuję pomocy.

- Ukrywaliśmy się - wyszeptał Percy.

- Na wrzosowiskach - dodał Gar.

- Dobry Boże! Wyglądacie na przemarzniętych do szpiku kości. Usiądźcie, zanim się przewrócicie. - Wskazała im gestem stojącą przy stole ławę. - Bernadette, zagrzej im wina. A teraz mówcie!

- Zastrzeliliśmy człowieka - powiedział Gar. - Nie mieliśmy takiego zamiaru... - Oczy lady Margaret nienaturalnie się rozszerzyły i Gar pospieszył z dalszym wyjaśnieniem: - Przyśięgam, że chciałem go tylko nastraszyć. To był elegancki dżentelmen z Londynu...

- Przyjechał po ostatnią dostawę koniaku, którą sprzedał mu pan Standing - wtrącił Percy. - Powiedzieliśmy, że nie mamy koniaku, a on wyciągnął pistolet i był tak agresywny, że postanowiliśmy napędzić mu stracha.



- Postrzeliliście dżentelmena z Londynu? Gdzie? - dopytywała się lady Margaret.

- W Rowden Woods, wiedzieliśmy, że będzie przejeżdżał przez las...

- Chodzi mi o to, gdzie go trafiliście.

- Gar trafił go gdzieś nisko. Tylko tyle wiemy. Usłyszeliśmy, że nadjeżdżają jacyś ludzie i szybko uciekliśmy.

Lady Margaret pobladła, wstała od stołu i zaczęła przemierzać kuchnię szybkimi krokami.

- Wiedziałam, że do czegoś takiego dojdzie. Mówiałam Uptonowi, że szmuglowanie koniaku jest piramidalną głupotą. Ale on w ogóle nie chciał mnie słuchać. - Zatrzymała się, mierząc ich uważnym wzrokiem.

- On tu jest.

- Kto tu jest? - wymamrotał zdumiony Percy.

- Wasz elegancki dżentelmen z Londynu. Jest u nas w domu. Znalazł go baron Pinnow i przywiózł tutaj. Szukałam was, bo chciałam, żebyście się nim zajęli.

- Nie możemy się nim zająć, przecież go postrzeliliśmy. To wszystko przez ten niefart panny Charity - szepnął zrozpaczony Gar. - Najpierw wpadłem do grobu, a potem postrzeliłem faceta. - W jego oczach ukazało się przerażenie. - Arystokratę, Perc. Postrzeliłem jego lordowską mość! Jestem zgubiony!

Tym razem lady Margaret była skłonna przychylić się do opinii Gara. Ta sytuacja była niewątpliwie wynikiem fatalnego oddziaływania jej wnuczki.

Podniosła oczy do sufitu. Na piętrze leżał wicehrabia Oxley, przypadkowa ofiara „szczęścia” Charity. Nie miała też wątpliwości, że padł on również ofiarą jej wdzięków.

Gar i Percy wyslizgnęli się z domu i zniknęli w ciemnościach, a lady Margaret wpatrywała się w księżyc, szukając w nim znaków dla zakochanych. Obawiała się, że ten romans skończy

się jedynie złamanym sercem jej wnuczki. Musi trzymać ich od siebie z daleka. Otworzyła kuchenne drzwi.

- Wolfram - zawołała. - Gdzie ten pies łązi, u licha?

Lady Margaret, ze świecą w ręku, zbliżała się do drzwi sypialni wicehrabiego, a za nią kroczył ogromny pies.

- Zrozumiałeś? - zwróciła się do psa. - Masz wejść pod łóżko i leżeć tam. Jeśli wejdzie Charity albo jeśli on będzie chciał wyjść z pokoju, masz głośno czekać. Jasne?

Olbrzymie zwierzę zamruczało tylko, jakby czuło się obrażone.

- No dobrze, idź już - szepnęła lady Margaret, otwierając drzwi. - Wchodź tam. - Pies zawahał się przez chwilę, ale zaraz wczołgał się pod łóżko. Lady Margaret zamknęła drzwi i w pokoju zapanowała cisza.

Wolfram leżał spokojnie, nadsłuchując. Nie było mu tam dobrze. Wolałby leżeć przed drzwiami Charity na pościeli ze starego dywanu. Nagle poczuł zapach jedzenia. Poderwał łeb, uderzając nim o podstawę łóżka wywachał wątróbkę kurczaka! Wyczuł ją w leżącej na podłodze zaschniętej kulce. Wypluł niejadalny sznurek i zabrał się ze smakiem za resztę. Kiedy miał ją już połknąć, poczuł smak czosnku i gorzkich ziół. Otrząsnął się ze wstrętem.

Po skonsumowaniu jednego z najsilniej działających amuletów lady Margaret Wolfram ułożył się do snu. Rzucił się jednak niespokojnie, zioła przyprawiły go o ból żołądka.

Rane zbudził się nagle. W pokoju było ciemno. Usłyszał jakieś okropne stękanie, które dobywało się spod jego łóżka. Nadsłuchiwał, ale ponownie zapanowała cisza. Kiedy doszedł do wniosku, że to musiał być wytwór jego wyobraźni, znowu usłyszał stękanie, po czym warczenie. Poczuł, że coś się pod nim szamocze - uniósł się na łokciach, zdrętwiały z przerażenia.

Te piekielne odgłosy odzywały się teraz ze zdwojoną siłą, miał wrażenie, że jego łóżko unosi się do góry. Wiszące pod baldachimem amulety wiły się jak pająki...

Wydało mu się nagle, że znów jest na Karaibach. Te dziwne odgłosy... drapanie, coś przemyka w ciemnościach. Oszołomiony, nie zważając na ból, opuścił nogi na podłogę i podniósł się z trudem.

Ze wszystkich stron otaczały go odgłosy stękania, warczenia, drapania i sapania, oddalały się i gwałtownie przybliżały.

Chciał się cofnąć i stanął na filizance, którą Charity zostawiła na podłodze. Chwycił się za zranioną nogę i natychmiast poczuł potworny ból w pośladku.

Zachwiał się i uderzył czołem o podtrzymującą baldachim kolumnienkę. Kiedy upadł, zaatakowała go jakaś piekielna bestia.

Wolfram szczeakał jak oszalały, stojąc dumnie wyprostowany na plecach Rane'a.

Charity przybiegła boso, w nocnej koszuli i z rozpuszczonymi włosami. Wpadła do pokoju i zobaczyła, że jej ogromny pies stoi na plecach jego lordowskiej mości i szczeaka tak, że mógłby zbudzić umarłego.

- Wolfram! - Złapała psa za kark i ściągnęła go na podłogę. - Jak się tu dostałeś? Nigdy ci nie wybaczę, jeśli zrobiłeś krzywdę jego lordowskiej mości. - Wypchnęła psa do holu. - Zostań tu!

Kiedy odwróciła się, Rane uniósł głowę, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Wydawało mu się, że widzi Charity Standing, która dopytuje się, czy nic mu nie jest.

- Chyba umarłem - jęknął.

- Nie, nie umarł pan. - Uklękła przy nim i przesunęła dłoń po jego policzku. - Przepraszam za Wolframa. On nie zrobiłby panu nic złego. Zaraz zapalę świecę.

Postawiła lichtarz na podłodze i nachyliła się nad Rane'em troskliwie.

- Czy pan się zranił? Może w... w...
- Tyłek? - podrzucił jej brakujące słowo. - Nie. W stopę.
- Zaraz to obejrzę.

- Nie! - krzyknął, chwytając ją za koszulę. Znowu czuł się upokorzony. W świetle wszystko wyglądało inaczej. To był tylko pies, co prawda wielki pies, ale nic poza tym. A Charity sama dała sobie z nim radę.

- Może zechce mi pani pomóc wejść na łóżko...

Zorientował się nagle, że trzyma ją za koszulę, pod którą ona jest naga. Dobry Boże - to się znowu powtarza!

- Proszę tu kogoś zawołać, kogokolwiek.
- Najpierw obejrzę pana stopę.

Wzięła go za nogę i położyła ją sobie na kolanach. Jego stopa przesuwała się po jej brzuchu i udach, okrytych jedynie cienkim materiałem koszuli.

- Paskudnie się pan skaleczył - powiedziała zdławionym głosem. - Obawiam się, że trzeba będzie zeszyć tę ranę. - Jej dłoń dotykała pieszczotliwie jego stopy.

Nie odczuwał już bólu, chłonał jej dotyk wszystkimi zmysłami.

Dłoń Charity przesuwała się teraz po jego muskularnej łydce. Nie potrafiła sobie tego odmówić. Dzięki jego dziwnej skłonności do ulegania wypadkom, będzie mogła poznać całe ciało tego wspaniałego mężczyzny.

- Jest pan taki ogorzały i ma pan tak wspaniałe, twarde mięśnie.

Wszystkie kobiety, z jakimi miał do czynienia, nawet jego kochanka, uważały jego ciemną skórę za coś, czego należało się wstydić. A Charity mówiła o tym z zachwytem.

Kiedy patrzył na nią w migotliwym świetle świecy, wydała mu się nagle najwspanialszą istotą na ziemi. Zapragnął otoczyć

ją opieką, chronić jej niewinność... nawet przed własnym pożądaniami.

- Charity, nie powinna pani tak mnie dotykać - powiedział, wbrew swoim chęciom.

- Jak to się stało, że pana ciało... jest takie twarde? - spytała.

Dotykając go, odczuwała tak niezwykłą przyjemność, że w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że jej ciekawość jest szokująca, że ma erotyczny podtekst. Podniosła na niego swoje świetliste oczy, wzbudzając w nim nową falę pożądania.

- Pracowałem - powiedział - na plantacji trzciny cukrowej mojego ojca, jak zwykły robotnik. Wychowywałem się na Barbadosie. W gorącym słońcu, pomiędzy dzikusami...

Mówił to z wyzwaniem, jakby chciał ją zaszokować. Zrozumiała, że się tego wstydził oczekuje jej reakcji. Wiedziała już, że jego arogancja stanowi broń przeciwko pogardzie, której się spodziewa.

- Słyszałam, że na Barbadosie... są bardzo piękne góry - uśmiechnęła się do niego. - Przypuszczam, że właśnie tam nauczył się pan wiary w „rzetelną pracę”.

Rane wpatrywał się w nią, czując ze zdziwieniem, że jej akceptacja narusza jego mur obronny, który wokół siebie wybudował.

- Skąd, u licha, pani wie, że na Barbadosie są góry?

- Czytałam o tym. Tam musi być cudownie - dodała czułym szeptem.

- To piekło. - Usiłował wyrwać jej nogę, ale bezskutecznie. - Słońce pali tak wściekle, że nic tam nie rośnie poza trzcina cukrową.

- To nieprawda - zaprotestowała, patrząc mu w oczy. - Pan tam wyrósł. Silny, muskularny... i przystojny...

Podniósł się na łokciach, wpatrując się w nią ze zdumieniem. Przystojny. Dobry Boże, jej naprawdę podobało się jego ogromne ciało i spalona słońcem skóra.

- Wielkie nieba! - W drzwiach stała lady Margaret, patrząc na nich z przerażeniem.

Charity zaczerwieniła się, a Rane zaczął obciągać koszulę. Jak wiele mogła zobaczyć? Usłyszeć?

Wystarczająco dużo. Starsza dama widziała ich wzajemną fascynację, szlachetne zachowanie wicehrabiego, który nie chciał wykorzystać naiwności Charity, oraz to, że nic nie było w stanie jej zrazić. Nie zważała na jego wybuchy irytacji, nie spieszyła jej wiadomość, że wzrastał w tak prymitywnym, prostackim otoczeniu.

- To nie do wiary! - Lady Margaret wpadła do pokoju. - Jak pan mógł, milordzie?! Charity, wyraźnie ci zapowiedziałam...

- Wiem, babciu. - Charity śmiało spojrzała jej w oczy. - Ale Wolfe dostał się do środka i chciał zjeść jego lordowską moc żywcem. Nie mogłam do tego dopuścić, prawda? A wicehrabia rozciął sobie stopę, kiedy wstawał z łóżka, i właśnie ją oglądałam. To paskudne skaleczenie...

Charity stała w świetle świecy, wszystkie kontury jej ciała rysowały się wyraźnie pod cienkim muślinem koszuli. Pełne piersi, zgrabna talia, lekko zaokrąglone biodra i smukłe nogi. Nie potrafił oderwać od niej wzroku ani ukryć płonącego w nim pożądania. Co gorsza, lady Margaret zauważyła jego reakcję. Odsunęła Charity na bok i obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- Proszę iść do łóżka, milordzie! Jutro pošlę po któregoś z ludzi barona, żeby przyjechał zaopiekować się panem. Im szybciej pan wyzdrowieje i wyniesie się z tego domu, tym lepiej!

Starsza dama złapała go za ramię i podciągnęła do góry, a Charity podbiegła z drugiej strony i zarzuciła sobie jego rękę na plecy. Lady Margaret zatrzymała się, patrząc na wnuczkę groźnym wzrokiem.

- Puść go. - Po raz pierwszy w życiu Charity wytrzymała spojrzenie babki.

- Nie - powiedziała cichym głosem.

Położyły go na łóżku i zaczęły opatrywać zranioną stopę w pełnej napięcia ciszy. Kiedy wyszły z pokoju i lady Margaret obrzuciła wnuczkę gniewnym spojrzeniem, ta ponownie wytrzymała jej wzrok.

- Nie musisz posyłać po człowieka barona, babciu. Ja się zaopiekuję wicehrabią.

Lady Margaret nie odezwała się. Charity poszła do swojej sypialni, a ona pozostała jeszcze w holu.

- A kto się zaopiekuje tobą, moje dziecko? - szepnęła.

## 8

Następnego ranka Melwin przyniósł wicehrabiemu skromne śniadanie - chudą owsiankę, herbatę i mleko. Jego lordowska mość nie był zachwycony jadłospisem lady Margaret.

Kiedy pojawiła się Charity z dzbankiem gorącej wody do mycia, Rane był w fatalnym humorze. Wyrzucał sobie, że dopuścił do nawiązania bliskiego fizycznego kontaktu z dziewczyną, która rozpałała mu zmysły. Charity nie widziała nic złego w tej sytuacji, była na to zbyt niewinna.

- Sam się umyję - oświadczył. - Proszę tylko postawić tę cholerną miednicę na łóżku.

Charity zastosowała się do polecenia, ale nie wychodziła z pokoju, oferując dalszą pomoc. Może chciałby, żeby Melwin go ogolił? A może gęsiego smalcu do smarowania poparzonych miejsc? Dobrze byłoby też obejrzyć jego stopę. Kiedy wszystkie propozycje zostały odrzucone, niezrażona Charity przyniosła jego przybory do golenia.

- Czy jeszcze czegoś pan potrzebuje?

- Przyzwoitego jedzenia. Dobrego befsztyka albo dzikiego ptactwa w ostrygowym sosie, może też być duża porcja potrawy cielęcej.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Dzisiaj tylko



papki. Babcia bardzo tego przestrzega. Pana żołądek musi się dopiero przystosować do innych potraw.

- Mój żołądek nie wytrzyma tego przystosowania, jeśli nie dostanę odpowiedniego jedzenia! Może być łosoś, pstrąg albo sola.

Charity potrząsnęła głową.

- No to chociaż jarzynowy pudding i duszone nerki!

Znowu przeczący ruch głową.

- Przynajmniej zwykły placek, groszek z masłem i makaron albo tarta z jagodami, czy chociaż trochę cholernego dżemu do chleba!

Brak reakcji.

Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że jego pociągający blond anioł jest równie uparty jak jej babka. Zażądał więc tego, czego najbardziej pragnął, wiedząc, że jest mało prawdopodobne, żeby mógł to otrzymać.

- No dobrze, więc owoce! Banany! Muszę mieć banany!

- Nigdy nie widziałam bananów - uśmiechnęła się Charity. - Czy uważa pan, że można je uznać za papki?

Wyszła z pokoju, zmartwiona, że „jej nieznajomy” odrzuca wszelką chęć pomocy. W holu leżał Wolfram. Głaszcząc psa, wpadła na nowy pomysł.

- Wolfie, masz się położyć przy jego łóżku i kiedy będzie czegoś potrzebował, zaraz do mnie przyjdiesz - pouczała psa.

Otworzyła drzwi sypialni i wielkie psisko wsunęło się tam bezszelestnie. Wolfram położył się na podłodze w nogach łóżka i zaczął węszyć. Wyczuł zapach owsianki i mleka, ale był jeszcze jeden, bardzo silny, wspaniały zapach!

Oparty na łokciu Rane przestawił właśnie lusterko, żeby lepiej widzieć drugą stronę twarzy i przesunął brzytwą po szczęce, obficie namydlonej sandałowym mydłem.

W lusterku zobaczył jakieś ogromne zwierzę, które się w niego wpatrywało wygłodniałym wzrokiem. Zaskoczony

Rane gwałtownie poruszył brzytwą i paskudnie zranił się w brodę.

- O jasna cholera! - Podskoczył na łóżku, wywracając miednicę z wodą. Z brody ciekła mu krew, był całkowicie przemoczony, a obok niego siedział pies, bardziej podobny do ogromnego wilka niż do domowego zwierzęcia. Ten sam, który zaatakował go w nocy.

- Niech to wszyscy diabli!

Wolfram wybiegł z pokoju.

Materac był całkowicie zniszczony i łóżko nie nadawało się tymczasem do użytku. Trzeba było przenieść wicehrabiego do innego pokoju. Jedyne odpowiednio umeblowanym pomieszczeniem była sypialnia Uptona Standinga... naprzeciwko pokoju Charity. Melwin przeniósł rzeczy hrabiego, pomógł mu włożyć czystą koszulę i poszedł po lady Margaret, żeby opatrzyła mu skaleczoną brodę.

Rane został sam. Leżał we wspaniałym łożu, w stylowo umeblowanym pokoju, noszącym wyraźne ślady dawnej świetności, teraz jednak już tylko jej widmo. On sam, z pianą zaschniętą na twarzy, ze zmierzwionymi włosami, bolącymi ranami i poparzonym torsem czuł się również ja widmo dawnego Rane'a Austena. Co go jeszcze czeka?

Poczuł, że swędzi go skóra i uniósł się, żeby obejrzyć poparzone miejsca. Wysypka! Dostał jakiejś piekielnej wysypki!

Drzwi się otworzyły i pojawiła się lady Margaret w towarzystwie Charity.

- Nie zbliżajcie się do mnie! Nie życzę sobie waszych zatraconych kuracji. Od waszych cudownych leków dostałem wysypki.

- Gdzie? - Lady Margaret podbiegła do łóżka i rozchyliła

mu koszulę na piersiach. - To ta łapa łasicy - westchnęła. - Nie wszyscy ją tolerują. Trzeba będzie zmienić ją na łapkę królika. Ma słabsze działanie, ale...

- Szybciej cholera mnie weźmie, niż na to pozwolę! Wyrzucę całe to świństwo! - Zaczął ściągać amulety z szyi. - Nie chcę mieć z tym więcej do czynienia. Nie istnieje żadne cholerne szczęście. Wyzdrowię jak rozsądny człowiek albo...

- Albo wcale! - wykrzyknęła lady Margaret. - Jeśli je pan zdejmie, może pan nigdy nie wyzdrowieć!

- To przynajmniej umrę jak rozsądny człowiek! - wrzasnął, zrywając ostatni amulet z szyi.

Lady Margaret cofnęła się, przyciskając swoje odrzucone skarby do piersi. Wicehrabia nie potrafił wyciągnąć wniosków z tych wszystkich katastrof, które go spotkały. Uczyniła w powietrzu znak, żeby odczynić urok.

- Założę się, że się pan urodził w piątek! Nigdy jeszcze nie widziałam tak pechowego człowieka! - wybuchnęła, wybiegając z pokoju.

Rane przymknął oczy. Łapa łasicy. Nosił na piersiach łapę zdechłej łasicy! Po chwili usłyszał znajome kroki. To musiała być Charity! Stała przy łóżku, a na nocnym stoliku były już przygotowane przybory do golenia.

- Co pani tu robi?

- Najpierw zajmę się pana skaleczeniem, a potem pomogę się panu umyć i ogolić - oznajmiła. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uprzedziła go: - Wiem, że mógłby sam pan to zrobić w normalnych warunkach. Ale musi pan przyznać, że te warunki nie są normalne. Nie jestem pewna, czy można powierzyć panu brzytwę i gorącą wodę. - Na jej uroczej twarzyczce pojawił się lekki uśmiech.

Jej obecność działała na niego kojąco. Rozluźniał się powoli, był zadowolony, że ma ją blisko siebie.

- To nie jest poważne skaleczenie - powiedziała Charity,

smarując mu brodę maścią. Potem zanurzyła szmatkę w miednicy i obmyła mu twarz.

- Będę podawać panu namydloną myjkę i odwracać się, kiedy będzie się pan mył - oświadczyła.

Rane uniósł brwi. To rozsądne rozwiązanie problemu zachwiało jego przekonaniem, że młode damy nie mają oleju w głowie.

- Przykro mi, że nie ma pan swojego mydła - odezwała się nagle.

- Mojego mydła? - Rane powąchał szmatkę. Pachniała zwykłym mydłem domowej roboty.

- Wolfie zjadł pana mydło. - Nie roześmiała się głośno, widział jednak, że drgają jej plecy. - Dlatego, że miało zapach sandałowego drzewa. On uwielbia takie rzeczy. Mogę tylko pana pocieszyć, że nie wyszło mu to na zdrowie.

- To najbrzydszy pies, jakiego widziałem w życiu - powiedział.

- Prawda? - roześmiała się Charity. - Babcia zawsze mówi, że on jest okropny. Ale ma bardzo dobre serce. Kiedy był szczeniakiem, uratowałam go przed utopieniem. Ojciec twierdził, że byłoby dla niego lepiej, gdyby utonął.

- Mhm - mruknął Rane. Podzielał zdanie jej ojca.

- Nie ma szczęścia, biedaczek. Borsuk rozerwał mu wargę, koń nadepnął na nogę... Zawsze wdaje się w jakąś walkę i wraca do domu poraniony. Stale muszę go opatrywać.

Rane niespodziewanie poczuł nagłą sympatię do tego zwierza. Zarówno on sam, jak i stary Wolfram mieli widocznego pecha.

Kiedy uznał, że jest wystarczająco umyty, Charity wzięła brzytwę i zaczęła ją ostrzyć wprawnymi ruchami. Patrzył na to ze zdumieniem. Kiedy jednak zabrała się do namydlenia mu twarzy, cofnął się, zaskoczony.

- O nie.

- O tak - stwierdziła. - Nie musi się pan obawiać, że go skaleczę. Mam duże doświadczenie. - Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, że już go goliła, kiedy leżał nieprzytomny.

- Naprawdę?

- Mój ojciec dwukrotnie złamał rękę i musiałam go golić. Mam w tym wprawę. - Pochylała się nad nim z namydlonym pędzlem w ręku.

- Nie wątpię, ale... Panno Charity, nie mogę pani na to pozwolić.

- Melwinowi trzęsą się ręce, a babcia stanowi prawdziwe zagrożenie, kiedy ma w dłoni coś ostrego. Nasza kucharka, Bernadette, zemdlałaby na samą myśl o tym, że mogłaby dotknąć obcego mężczyzny. Więc zostają tylko ja.

- Ale to nie... nie... - Chwycił ją za nadgarstek.

- Przystoi damie?

Rane zaczerwienił się i puścił jej rękę.

- Od czasu, jak pan się u nas pojawił, babcia stale wygłasza mi kazania na temat dobrych manier. Uważam to za hipokryzję, ponieważ ona sama buntuje się przeciwko etykiecie, która jest celem samym w sobie. A teraz moja bezpretensjonalność zaczyna być kłopotliwa nawet dla pana. - Uśmiechnęła się, a w jej oczach ukazał się łobuzerski błysk. - Proszę się nie martwić - dodała, a oczy jej nagle pociemniały. - Wyjedzie pan stąd i o wszystkim zapomni.

Rane przymknął oczy. Czy mógłby zapomnieć o Charity Standing, tej uroczej dziewczynie, której serce zawsze przepełnione było współczuciem dla cierpiących, nawet dla tak niewdzięcznego osobnika jak on?

- Zaczynamy. - Usiadła na brzegu łóżka z namydlonym pędzlem w dłoni. Jednym palcem uniosła mu brodę i zręcznymi ruchami przesuwając brzytwę po jego skaleczonym miejscu i dalej po policzku.

- Musi pan teraz wysunąć górną wargę.

Zastosował się do polecenia, a ona wybuchnęła śmiechem. To był uroczy, spontaniczny śmiech, który jemu też się udzielił.

- Przepraszam. - Charity przygryzła wargę. Nie chciała go obrazić. - Postaram się poprawić. Naprawdę się postaram.

Wprost czuła, jak jego piękne szare oczy przesuwają się po jej twarzy i dekolcie, i przeniknął ją dreszcz podniecenia. Nieświadomie poszukała wzrokiem jego rąk, pamiętając ich dotyk na swoich piersiach.

- Nie sędzę, żeby to było możliwe - powiedział. - Nie przypuszczam, żeby pani mogła się poprawić. Nawet bardzo się starając.

Charity opuściła powieki. Co chciał przez to powiedzieć? Że nigdy nie potrafi nauczyć się towarzyskiej ogłady? Powinna była posłuchać babci i trzymać się od tego mężczyzny z daleka. Poczwała się upokorzona.

Podniosła oczy, kiedy uniósł się i przyciągnął ją do siebie. Poczwała dotyk jego warg, które przesuwały się po jej ustach w delikatnej pieśczoście. Zalała ją fala gorąca. Przymknęła oczy, a po chwili poczuła, że pieści jej wargi końcem języka. Zadrżała pod wpływem tej nieznannej rozkoszy, która docierała aż do sedna jej kobiecości.

To usta Rane'a Austena, jej przystojnego nieznajomego, wspaniałego mężczyzny, którego nie potrafiła zrozumieć, aroganckiego, rannego arystokraty, dawały jej tak niewypowiedzianą rozkosz. Czuła, że to dopiero początek tego, co może się wydarzyć pomiędzy mężczyzną a kobietą, pomiędzy nią a nim. Jeśli potrafił doprowadzić ją do takiego stanu dotykiem ust, to niewątpliwie jego dłonie miały w nocy magiczną moc.

Lady Margaret była właśnie w holu, a za nią człapał Wolfram.

- Bądź stale przy nim - przykazywała psu cichym głosem, wskazując drzwi sypialni Rane'a. - Jeśli jej dotknie, wejdiesz pomiędzy nich. Nawet na łóżko! Rozumiesz!

Z potężnej piersi psa wydarł się stłumiony pomruk. Zrozumiał. Stanął w drzwiach sypialni i zobaczył, że ten człowiek kąsa pannę Charity! Rzucił się na ratunek swojej pani.

Omdlewająca pod coraz bardziej namiętnymi pocałunkami Rane'a Charity poczuła, jak wielkie kudłate cielsko wskoczyło na łóżko.

- Wolfram! Przestań! Co cię napadło?

Zerwała się na nogi i odłożyła brzytwę, żeby zepchnąć psa na podłogę. Popatrzyła z zakłopotaniem na Rane'a, miał nienaturalnie błyszczące oczy. Z gniewu, jak przypuszczała.

- Tak mi przykro - szepnęła. Po raz pierwszy zaczęła żałować, że uratowała Wolframa od utopienia.

Rane nie odezwał się, nagły atak psa nie zrobił na nim szczególnego wrażenia. Patrzył w jej roziskrzone oczy, czując smak słodkich ust na swoich wargach. Krew gwałtownie pulsowała mu w żyłach, skóra paliła, z trudem łapał oddech, a w dole brzucha czuł silne napięcie. To było szaleństwo, ale cudowne szaleństwo!

Kiedy trochę oprzytomniał, Charity przestała już strofować Wolframa i doprowadziła go do łóżka. Pies niechętnie podniósł łapę i położył ją na kołdrze.

- On chce powiedzieć, że jest mu przykro - tłumaczyła Charity. - I obiecać, że już tego nie zrobi - dodała, patrząc znacząco na psa. - Nigdy już tego nie zrobi - powtórzyła z naciskiem. Psisko zmarszczyło nos i wydało jakiś pomruk. - On chce podać łapę i zaprzyjaźnić się.

Rane wyciągnął prawą rękę, żeby potrząsnąć łapą psa, jakby się właśnie poznali w jego londyńskim klubie. Potrząsam psią łapą, pomyślał. Chyba już doszczętnie zwariowałem!

W pokoju zjawiła się zdyszana lady Margaret. Słyszając warczenie Wolframa i głośne krzyki, spodziewała się jakiejś nowej katastrofy. Zamiast tego zobaczyła jego lordowską mość z namydloną twarzą i łapą Wolframa w dłoni i Charity ze

smugą zaschniętego mydła nad obrzmiałymi od pocałunków wargami.

Lady Margaret westchnęła ciężko. Nie myliła się, to już była prawdziwa katastrofa. Wicehrabia pocałował jej niefortunną wnuczkę. To rezultat odrzucenia amuletów. Bóg jeden wie, jakie nieszczęścia mogą jeszcze spotkać tego biedaka!

Ten pocałunek miał rzeczywiście katastrofalne skutki. Wzbudził w nim tak silne pożądanie, że nawet samo jego wspomnienie doprowadzało go do granic wytrzymałości. Po wyjściu Charity odczuł też dziwną pustkę, jakby zabrała ze sobą część jego istoty. Poczł się bardziej samotny niż zazwyczaj. To uczucie wprawiło go w panikę.

Musi koniecznie się stąd wyrwać. Natychmiast. Z trudem wstał w z łóżka i ruszył powolnym, sztywnym krokiem do stojącego na podłodze kufra. Otworzył go, nie zważając na ból i wyciągnął swoje szare bryczesy.

Natychmiast pojawił się Wolfram i chwycił je w zęby. Rane nie dawał za wygraną i ciągnął je w swoją stronę, pies jednak okazał się silniejszy, wyrwał mu je z ręki i zniknął za drzwiami.

- Niech to cholera!

Dowlókł się do łóżka i ukrył twarz w poduszce. Przed jego oczami ukazała się twarzyczka Charity Standing i ten obraz szybko uspokoił jego skołatane nerwy. Zrozumiał, że nie będzie w stanie od niej uciec, nawet jeśli wyjedzie do Londynu. W momencie, kiedy jego wargi dotknęły jej ust, jakaś jej cząstka pozostała przy nim.

Leżał bez ruchu. Przywłaszczył sobie cząstkę Charity Standing. Co miał z tym zrobić?

Tego wieczoru Charity pojawiła się w pokoju Rane'a z namiętnością książek. Przez całe popołudnie przeżywała wspomnienie jego pocałunku i usiłowała zdobyć się na odwagę, żeby



spojrzeć mu w oczy. Uważał przecież, że ona jest beznadziejnym przypadkiem dziewczyny, która nigdy nie będzie damą. Sam to powiedział. Uznała jednak, że nie ma już nic do stracenia. Nie chciała, oczywiście, żeby myślał o niej jak o kobiecie lekkich obyczajów. Chciała, żeby uważał ją za przyzwoitą, odpowiedzialną osobę. Musiała jednak sama przed sobą przyznać, że jej marzeniem jest, żeby uważał ją za damę. Ale na to było już za późno. Tylko dlatego, że pragnienie niesienia mu pomocy zostało zakłócone... innym pragnieniem.

Weszła do pokoju i oznajmiła, że przyniosła mu książki i gdyby miał ochotę, może mu głośno poczytać. Zrezygnował z tej ostatniej oferty w zadziwiająco uprzejmy sposób, więc położyła je na stoliku obok łóżka. Postawiła tam zapaloną świecę i zbierała się do wyjścia.

- Panno Charity? - zawołał za nią.

- Tak, wasz lordowska mość. - Odwróciła się tak szybko, aż ją to zawstydziło.

- Dziękuję.

Stała przy drzwiach, czując na sobie jego wzrok, wydawało się jej również, że znowu czuje dotyk jego ust. Czy on też to pamięta? Czy dlatego jego głos miał tak zmysłowe brzmienie? Na jej ustach ukazał się promienny uśmiech.

- To drobiazg.

Ten ranoek był wyjątkowo słoneczny. Stary Melwin przyniósł wicehrabiemu tacę ze wspaniałym śniadaniem: jajka w koszulkach, parówki, owsiankę ze śmietanką, ciepłe bułeczki z masłem i herbatę. Ranoek zjadł wszystko do ostatniego okruszka i zadowolony, wyciągnął się na łóżku. Ten przyjemny stan nie trwał jednak zbyt długo. Wrócił Melwin, żeby go zawiadomić, że Wolfram pożarł jego spodnie, a po chwili pojawiła się lady Margaret, obładowana przeróżnymi talizmanami, żeby odczyniać uroki w jego nowej sypialni.

Ranoek zaproponował jej ironicznym tonem, żeby raczej zajęła się tą bestią, Wolframem, który jest główną przyczyną wszystkich kataklizmów. Skwitowała jego radę gniewnym mruknięciem i robiła swoje. Potem zajęła się opatrywaniem jego ran, ale po jej zabiegach pośladek rozbolał go jeszcze bardziej. Był przekonany, że celowo zrobiła coś, żeby wywołać ból.

Charity przysłała do niego o wiele później, przepaszając, że nie zainteresowała się wcześniej, czy czegoś nie potrzebuje. Już chciała powiedzieć, że pomagała przy cotygodniowym

praniu, ale przypomniała sobie w porę, że w każdym porządnym domu powinna być praczka i że żadna dama nie przykłada rąk do pracy.

- Przyniosłam panu coś do towarzystwa - powiedziała, wyciągając z kieszeni fartucha dwa futrzane kłębki.

Położyła je sobie na dłoniach, żeby mógł podziwiać ich urodę. To były dwa malutkie kociaki, jeden szarobiały, drugi nieco ciemniejszy.

- Matka je opuściła i sama muszę je karmić - wyjaśniła.

- Nie lubię kotów. - Rane ściągnął brwi. - Toleruję psy, ale nie cierpię kotów.

Zdumiona tą gwałtowną reakcją, Charity przytuliła kociaki do piersi. Poprzedniego wieczoru wydawało się jej, że nastąpiła w nim jakaś zmiana, teraz jednak był taki sam jak dawniej.

- Pająki, koty... Czego jeszcze pan nie lubi?

Spojrzał na nią, wyczuwając lekką przyganę w jej głosie.

- Nuda. Nienawidzę beczynności - powiedział zupełnie innym tonem, widząc jej przyjazny wzrok. - Jestem przyzwyczajony... jestem przyzwyczajony...

- Do ciężkiej pracy? - podrzuciła, zanim się zorientowała, że nie powinna przypominać mu o czymś, co wyznał jej w momencie szczerości. - To znaczy... chciałam powiedzieć, że ma pan na pewno wiele zajęć w Londynie... firmę handlową, obowiązki towarzyskie, liczne zaproszenia... operę i bale.

Zarumieniła się nagle. Są tam również ubrane w jedwab damy o białych dłoniach, pomyślała. Kociaki zaczęły miauczeć, kręcić się, wpijając w jej suknię ostre jak igły pazurki. Była niesłychanie naiwna, myśląc, że światowy, bogaty arystokrata ucieszy się z towarzystwa małych kotków... i biednej paniutki ze wsi ze spracowanymi rękami.

Nagle dotarło do niego, że przynosząc mu kocięta, chciała,

żeby miał przy sobie coś miłego, żywego, co pozwoliłoby mu zapomnieć o swoich cierpieniach. Ogarnęła go fala zazdrości na widok tych małych stworzeń, które miały swobodny dostęp do jej ponętnych piersi. Do czego to doszło? Zazdrości kotom!

- To prawda. - Rane uniósł się na łóżku. - Bardziej przywykłem do ciężkiej pracy niż do eleganckiego towarzystwa w Londynie. Nie należę do grupy gnuśnych bogaczy. Większość czasu spędzam w biurze albo w porcie, odbierając dostawy. - Obrzucił ją takim wzrokiem, że się cała zaczerwieniła.

Czy dlatego poświęcał tak dużo czasu swoim interesom, że nie miał żony ani narzeczonej? - zastanawiała się. Dlatego że w jego życiu nie było kobiety?

Stała blisko łóżka, patrząc na opadające mu na czoło czarne włosy i na jego pełne, miękkie wargi. Spojrzała mu w oczy i zapomniała od razu o kręcących się w jej rękach kotach, o zachowaniu przyzwoitego dystansu i o kazaniach babki. Nie opierała się, kiedy wziął ją za rękę.

- A do czego pani przywykła, Charity Standing? - spytał aksamitnym głosem. - Jak pani spędza czas?

Podniósł jej dłoń do oczu, oglądając popękana skórę i połamane paznokcie. Znalazł już wyjaśnienie fatalnego stanu mebli i braku odpowiedniej liczby służby - Standwell chylił się ku upadkowi.

- Pracuje pani?

Charity nie odezwała się, wpatrzona w jego lśniące szare oczy. Co on mówił o pracy? Powróciła nagle do rzeczywistości. Przecież trzymał ją za rękę i widział, że nie jest to dłoń prawdziwej damy.

- Melwin i Bernadette nie mogą teraz sprostać wszystkim obowiązkom domowym. Więc ja i babcia... pomagamy.

- A kiedy pani „nie pomaga”, jak spędza pani czas? - nalegał, przyciągając ją bliżej do siebie. - Z gośćmi? Z ukończonym? A może z przyszłym mężem?

- Nie, nie ma nikogo takiego - przyznała, opuszczając oczy.  
- Trudno mi w to uwierzyć. Jacyś dziwni mężczyźni mieszkają w hrabstwie Devon.

Narzeczonej? - pomyślała Charity. Nikt nie rozmawiał z nią o przyszłości. Przypuszczała, że zła sytuacja finansowa rodziny przekreśla wszelkie szanse jej zamażpójścia. Jednak Rane Austen uważał, że mogłaby mieć narzeczonego, mimo braku posagu.

- Nie mam na to czasu. W domu jest wiele rzeczy do zrobienia.

- Jestem tego pewny - szepnął, przyciągając ją jeszcze bliżej. Panna Charity Standing nie należała do nikogo. Na tę myśl na jego twarzy ukazał się pełen zadowolenia uśmiech. - A więc to nas łączy, oboje ciężko pracujemy. Ciekaw jestem, czy mamy jeszcze jakąś wspólną cechę?

- Żadne z nas nie jest... - Urwała nagle.

- Nie jest co? - dopytywał się. Puścił jej dłoń i wziął ją pod brodę.

- W związku małżeńskim - powiedziała i zawstydzila się tych niebacznie wypowiedzianych słów.

- To prawda - uśmiechnął się Rane. Po raz pierwszy w dorosłym życiu odczuł zadowolenie ze swojego wolnego stanu.

Jego bliskość pozbawiała ją tchu, serce jej biło przyspieszonym rytmem. Kiedy poczuła jego rękę na ramieniu, starała się nie myśleć o rozkoszy, jaką sprawiał ten dotyk.

- Nie chcę towarzystwa kotów - usłyszała głęboki, uwodzicielski głos.

- A czego pan chce? - wyszeptwała.

- Ciebie.

Ogarnęła ją rozkoszna niemoc, kiedy jego usta dotknęły jej warg. Nie sądziła, że pocałunek może być tak cudownym doznaniem. Nigdy jeszcze nie odczuwała takiego upojenia. Nie

zdawała sobie sprawy, że osuwa się na łóżko, a po chwili leżała już na plecach, a on pochylał się nad nią... dopóki nie usłyszeli pisku na wpół zgniecionych kociaków.

- Kolejny powód, żeby nie lubić kotów - szepnął, odsuwając się od niej. Po kolei brał je ostrożnie do ręki i kładł z tyłu łóżka.

Charity leżała z szeroko otwartymi oczami, brakowało jej tchu. Po chwili przygniótł ją całym swoim ciężarem. Jej ciało było rozkosznie bezwolne. Rozchyliła wargi i cicho westchnęła, kiedy spotkały się ich języki.

Charity wsunęła mu ręce pod koszulę, przesuując dłońmi po twardych mięśniach, przyciągając go jeszcze bliżej do siebie. Poczowała jego usta na szyi i utraciła zdolność myślenia. Wygięła się, aż jej okryte gorsetem piersi dotknęły jego ciała. W odpowiedzi Rane położył na nich dłonie.

Jęknęła z rozkoszy, kiedy jego palce zaczęły przesuwać się po gładkiej skórze, która wyłaniała się z gorsetu. Po chwili zagłębił rękę w wycięcie gorsetu i zacisnął palce na jej piersi. Jeszcze nigdy nie odczuła tak zniewalającej przyjemności jak teraz, kiedy jego palce poruszały się po jej nagiej skórze.

Wygięła się jeszcze bardziej, przenikały ją upojne dreszcze. Ta niewyobrażalna rozkosz była dziełem jego rąk. Jego dotyk rozpalał w niej dziwny płomień, a pieszczoty wyzwały pragnienie dalszych doznań. Czy to była „magia nocy”, te zapierające dech w piersiach odczucia i nagła tęsknota za jeszcze większą bliskością, za zespoleniem?

Poszukała wargami jego ust i została wynagrodzona głębokim, namiętym pocałunkiem. Nagle drgnął i podniósł głowę. Charity otworzyła oczy.

- Pazury - szepnął. Zobaczyła, że jeden kotek siedzi mu na ramieniu, wpijając ostre pazurki w koszulę.

Z wolna wracała do rzeczywistości. Usiadła i zdjęła mu

kota z pleców. Rane oparł się o poduszki. Spojrzała na niego - to cudowne, intymne zbliżenie należało już do przeszłości. Wstała z łóżka, a on wyciągnął do niej rękę, aby ją zaraz cofnąć.

- Całe szczęście, że to nie był pani szalony pies - powiedział zdławionym głosem.

- Dobrze, że go tu nie ma - szepnęła. - On... też nienawidzi kotów.

Rane patrzył na jej zarumienioną twarz, nabrzmiałe od pocałunków wargi i wychylające się z wycięcia gorsetu piersi. Miotaly nim sprzeczne emocje, niezaspokojone pożądanie, frustracja... i nagłe zadowolenie z niespodziewanej interwencji tego małego zwierzaka. Nie był w stanie panować nad pożądaniem, które w nim wzbudzała, a jego zachowanie było niegodne dżentelmena. Mimo to, z jakiegoś dziwnego powodu, nie potrafił mieć o to do siebie pretensji.

Charity stała, przyciskając kotka do piersi i obrzucała go niespokojnym wzrokiem. Całował ją i dotykał, a ona jeszcze go do tego zachęcała. Co on sobie pomyśli o jej bezwstydnym, niegodnym damy zachowaniu? Zagryzła wargę, czekając na jego reakcję.

- Nienawidzi kotów? Nie mogę mu tego mieć za złe. - W jego głosie brzmiała czułość, której nie usiłował ukryć. - Warto byłoby tylko popracować nad jego manierami. Mnie by się to też przydało. Obaj stale przekraczamy dozwolone granice. - Spojrzał jej w oczy. - Szczególnie, kiedy chodzi o panią.

Odczuła ogromną ulgę. Jego szare oczy lśniły. Zrozumiała, że nadal pragnie ją całować, ale całować tak, jak przystoi dżentelmenowi. Uszczęśliwiona, odwróciła się w stronę drzwi. Zawołał ją.

- Drugie zwierzątko, panno Standing. - Trzymał w ręku zapomnianego przez nią kotka. - Czy przyjdzie pani wieczno-

rem? Obiecuję, że przez ten czas popracuję nad swoimi manierami.

Oczy jej zabłyśły, a na twarzy ukazał się radosny uśmiech.

- Przyjdę.

Zjawiała się zaraz po zmierzchu, z książkami i świecą... w towarzystwie lady Margaret i Wolframa. Rane starannie ukrył swoje niezadowolenie, a starsza dama zajęła się od razu ustawianiem krzeseł i zapaleniem świec. Jednak kiedy Charity zaczęła czytać, zapomniał o lady Margaret, która drzemała w fotelu, i o Wolframie, który chrapał na dywaniku koło łóżka.

Skupił się na wyrazie twarzy Charity, która z odpowiednią intonacją czytała poezję, zmieniała głos przy każdej postaci powieści i z wielkim wyczuciem oddawała opisy przyrody. To była uczta dla oczu i uszu. Kiedy skończyła, nadal nie potrafił oderwać od niej wzroku.

- Poezja, geografia, książki naukowe... pani to wszystko studiowała?

- Tatuś lubił czytać... i podróżować. Nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby wyruszyć w świat, więc on przybliżył nam świat... poprzez książki. Nazywał nas „podróżnikami w fotelach”. - Głos jej się lekko załamywał. - On ma... miał wspaniałą bibliotekę. Będzie się mógł pan o tym przekonać, kiedy pan wstanie. Obawiam się jednak, że nie zainteresują pana książki podróżnicze. Na pewno pan sam dużo podróżował.

- Trochę. Przeważnie po Indiach Zachodnich i po obu Amerykach. A kilka lat temu odbyłem obowiązkową, wielką podróż po Europie.

- Opowie mi pan o tym? Gdzie pan był i co pan widział? O katedrze Notre Dame, kanałach Wenecji i greckich świąty-



niach? Widział je pan? - Rane skinał głową. - Proszę mi o tym opowiedzieć.

Zaczął mówić, początkowo bardzo ogólnikowo, dopóki jej pytania nie obudziły w nim bardziej szczegółowych wspomnień. Zdumiał go kontrast pomiędzy jej fascynacją cudzym doświadczeniem a własnym brakiem entuzjazmu dla odbytych podróży. Widział teraz wyraźnie, że wojaże nie sprawiały mu żadnej przyjemności, odbywał je wyłącznie dla zdobycia odpowiedniej ogłady towarzyskiej. Oglądane przez niego miasta, katedry, posągi, przedstawienia operowe miały być tylko środkiem do osiągnięcia zewnętrznego poloru i towarzyskiego wyrobienia.

Dopiero teraz, patrząc na to oczami Charity, zdał sobie sprawę, ile stracił i na ile rzeczy pozostał ślepy. Charity Standing nigdy by nie narzekała na wilgoć w Wenecji, a jedynym jej wspomnieniem z Paryża na pewno nie byłby brud, żebracy i burdele. Zrozumiał nagle, że można zobaczyć zupełnie inny świat... jej oczami.

Kiedy został sam, zaczął się zastanawiać, jakby odbierał to wszystko, podróżując razem z nią, widząc jej radość i podniecenie? Potrafił to sobie nawet wyobrazić. Ale te myśli już nie wprawiały go w panikę. Skan i przerobienie pona.

Następny wieczór też poświęcony był czytaniu. Potem Charity słuchała jego barwnych opowieści o podróży po Europie, o Londynie i panujących tam zwyczajach towarzyskich, o herbaciarniach, przedpołudniowych wizytach, sztukach teatralnych, koncertach w Vauxhall i rautach. Lady Margaret dzielnie walczyła z sennością, ale w końcu głowa opadła jej na piersi. Charity postanowiła skorzystać z okazji.

- A Barbados? Proszę mi teraz opowiedzieć o Barbadosie.
- Nie ma nic do opowiadania. - Twarz mu się nachmurzy-

ła. - To tylko skała pośrodku oceanu. Jest tam piekielnie gorąco. Czy mówiłem już pani o katedrze w Kolonii?

- Czy rzeczywiście są tam plaże z tak białym piaskiem, że wygląda ja cukier? - nalegała.

- Tak.

- A czy woda jest tak niebieska jak jajko pleszki? A czy wzgórza wyglądają z daleka jak zielony aksamit?

- Woda jest niebieska, a wzgórza są zielone - przyznał niechętnie. - Może woli pani posłuchać o Madrycie i walkach byków...

- A jakie są tam kwiaty? Hibernius... i pacioreczniki? Na pewno też mają ananasy... i pana ulubione banany.

Siedziała na brzeżku krzesła, jej twarz miała zdecydowany wyraz. Chciała, żeby jej o tym opowiedział, pragnęła wiedzieć, co się kryje za tym murem, którym odgradzał się od otoczenia. Była pewna, że Barbados również był odpowiedzialny za jego powstanie.

Spoglądał na nią uważnie, zastanawiając się, czy ma jej o tym mówić. Przyjazny wzrok świadczył, że nie tylko czysta ciekawość każe jej domagać się odpowiedzi.

- Hibiskus - oświadczył. - Czerwony hibiskus. Trochę ananasów i nieco bananów. Większość tych owoców jest przywożona statkami z Wenezueli.

Jej uroczy uśmiech wynagrodził mu w pełni wysiłek odkopywania starych, niemiłych wspomnień.

- Proszę, niech mi pan opowie o lagunach i o księżycu. Bardzo proszę.

Niechętnie rozpoczął swoją opowieść, ale później jego głos nabrał miękkiego brzmienia, kiedy wspominał palmy, górskie rośliny i lśnienie wody w świetle księżyca. Wspominał też o anglikańskim pastorze i jego żonie, która uczyła go razem ze swoimi dziećmi, o plantacjach trzciny cukrowej, o tym, jak wyrabiano z niej cukier i jaki miała

smak, kiedy się ją gryzło. O kwiatach, tak wielkich jak talerze, o jaszczurkach, barwnych ptakach i rybach latających.

Charity przymykała czasami oczy, żeby to wszystko lepiej sobie wyobrazić.

- Pan kochał tamte strony, prawda?- szepnęła. - Słyszę to w pana głosie.

To pytanie zirytowało go. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek ingerował w jego uczucia. Jednak nie potrafił wzbudzić w sobie prawdziwego gniewu. Ona miała rację.

- Lubiłem... niektóre rzeczy.

- To dlaczego nazywa pan to miejsce „piekłem”?

- Nie zawsze było mi tam dobrze. - Rane starannie dobierał słowa. - Poza tym pochodzić z Barbadosu i mieć opaloną skórę nie jest w „dobrym stylu”.

Charity patrzyła na niego ze zdumieniem. „To nie jest w dobrym stylu?” Nigdy by nie przypuszczała, że Rane Austen przywiązuje wagę do cudzej opinii. Zauważyła jednak, że śledzi ją wzrokiem, szukając oznak dezaprobaty. To nie do uwierzenia, że ktoś mógłby na niego patrzeć z góry tylko dlatego, że miał tak niezwykle doświadczenia i że ma tak cudownie brązową skórę. Przecież on jest pięknym mężczyzną, pomyślała.

A więc nie był w „dobrym stylu”. Czy dlatego nie był żonaty i nie miał nawet narzeczonej? Zobaczyła nagle w tym wspańniętym mężczyźnie małego chłopca o opalanej buzi, który ciężko pracował i czuł się tak bardzo samotny... Wstała z krzesła i usiadła na krawędzi łóżka.

- Bardzo mi się podoba pana Barbados, bez względu na to, czy jest w dobrym, czy w złym stylu. - W nagłym odruchu podniosła jego dłoń i ucałowała końce palców - Kiedy mnie pan dotyka - szepnęła - czuję w pana dłoniach gorące słońce Barbadosu. A w pana pocałunkach nektar tamtejszych kwiatów.

- Charity - jęknął.

Przyłożyła mu palec do ust, zerkając jednocześnie na śpiącą lady Margaret. Rane rzucił starszej damie przeproszające spojrzenie i pociągnął Charity na łóżko.

Poczuła uścisk jego silnych ramion i rozchyliła wargi. Nie mogła powstrzymać westchnienia, kiedy spotkały się ich języki. Jego ręce przesuwają się wzdłuż jej ciała, rozpalając zmysły. Rane wsunął dłonie za gorset, początkowo gładził jej piersi końcami palców, przesuwał je po brodawkach, a kiedy poczuła, że delikatnie je ściska, przeniknęła ją fala gorąca, docierając do najtajniejszych zakamarków jej ciała.

Całował ją teraz po szyi, a jego palce nadal błędziły dokoła jej piersi. Zsunął z nich gorset i koszulę. Charity gwałtownie złapała oddech, kiedy poczuła jego wargi na nabrzmiałej sutce. Nie była jednak przygotowana na rozkosz, jakiej doznała, gdy poczuła, że delikatnie zaciska na niej zęby. Wstrząsał nią dreszcz. Przyciągnęła jego głowę do siebie i obdarzyła go namiętym pocałunkiem. Jego dłoń przesuwała się teraz po jej brzuchu i zatrzymała się na łonie.

Serce waliło jej jak oszalałe, a żar promieniujący z jego dłoni przenikał przez ubranie do jej najbardziej intymnego miejsca. Tropikalny żar.

Uniosła biodra, a on zaczął wtedy wykonywać palcami powolne ruchy. Zadrzała, oczekując czegoś więcej...

Lady Margaret cicho ziewnęła i poruszyła się na krześle. Charity zerwała się z łóżka, podciągając gorset i przyglądając włosy. Zrobiła krok w kierunku krzesła, kiedy babka się rozbudziła.

- Czas spać, babciu. - Charity wzięła ją pod ramię i pomogła wstać z fotela. Starsza dama skinęła wicehrabiemu głową i pozwoliła odprowadzić się wnuczce do drzwi.

- Zapomniałam zgasić świece. Idź, babciu, zaraz wrócę.

Charity wzięła lichtarz i zatrzymała się, żeby spojrzeć na Rane'a. Opierał się na łokciu, jego twarz miała zakłopotany wyraz, ale oczy płonęły jeszcze blaskiem pożądania.

- Dziękuję, że opowiedział mi pan o Barbadosie.
- Dziękuję, że przypomniała mi pani Barbados, Charity.

Zgasiła świece i wyszła z pokoju. Zatrzymała się w drzwiach swojej sypialni, patrząc na jego drzwi.

On potrzebował... żony. A ona potrzebowała... męża. On nie był w „dobrym stylu”, ona również nie. On nie miał szczęścia, a ona miała go zbyt wiele. Stanowili doskonałą parę.

Musi go tylko o tym przekonać.

## 10

Następnego dnia, a był to już ósmy dzień pobytu Rane'a w Standwell Hall, lady Margaret dokładnie obejrzała jego ranę i stwierdziła, że nadspodziewanie dobrze się goi. Oświadczyła, że wicehrabia może już trochę wstawać, chociaż ona nie bierze odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo, kiedy wyjdzie z chronionej przed złym urokiem sypialni. Ponieważ jego spodnie zostały pożarte przez Wolframa, musiał się zadowolić przerobionymi na jego wzrost bryczesami ojca Charity.

Kiedy Melwin ubrał wicehrabiego, Charity weszła do pokoju, niosąc laskę, której używał ojciec, kiedy miał zwichniętą nogę. Zatrzymała się nagle, patrząc na niego rozszerzonymi oczami. Był teraz zupełnie inny, kiedy stanął na nogi, przytłaczał wszystkich swoją potężną posturą.

Również Rane postrzegał ją teraz z innej perspektywy. Kiedy patrzył na nią z pełnej wysokości swojego wzrostu, wydała mu się bardzo drobna, krucha i delikatna. Miał zamęt w głowie. To, czego tak bardzo pragnął, stało mu się nagle niesmaczne i naganne. Poczul zażenowanie, że wciągał ją na łóżko i przygniatał swoim ciałem, a nocami marzył, żeby posunąć się jeszcze dalej.

Po chwili Charity otrząsnęła się z wrażenia i zaproponowała,

żeby odwiedzić Stephensona. Rane skinął głową, więc poprowadziła go, zerkając nieśmiało na jego nachmurzoną twarz. Miała nadzieję, że ten grymas wywołany jest bólem nogi, a nie jej niewłaściwym zachowaniem.

Stephenson leżał w skotłowanej pościeli, w pokoju obwieszonym amuletami, głodny jak wilk i wściekły jak wszyscy diabli. Właśnie odbył rozmowę z lady Margaret na temat „papek” i jeszcze mruzczał coś pod nosem. Nawet widok pracodawcy nie poprawił mu humoru i nie powstrzymał potoku wymowy w „dialekcie z Barbadosu”.

Rane zaczerwienił się. Uderzyła go myśl, że on zachowywał się podobnie. Charity ofiarowywała Stephensonowi pomoc, a on odrzucał ją z gniewem. Tak, zachowywał się identycznie. Kiedy wyszli z pokoju, bolało go biodro i dokuczało sumienie.

Myślał tylko o tym, jak bezceremonialne i prostacko traktował Charity, i to pod każdym względem. Wściekał się, stale wysuwał jakieś żądania, obrażał ją, nie okazując ani krzty wdzięczności. Obnażał się przed jej niewinnym wzrokiem, dotykał przy każdej nadarzającej się okazji, wciągał na łóżko i obmacywał, jakby była pospolitą dziewczką. A wczoraj wieczorem szarpał na niej ubranie i prawie że... i to wszystko w obecności jej śpiącej babki! Miała prawo nim pogardzać.

- On zwykle się tak nie zachowuje - powiedział, kiedy zatrzymali się w holu. Podniósł głowę i zobaczył, że Charity patrzy na niego ciepłym, nieśmiałym wzrokiem.

- Wiem. On ma bóle i jego duma również cierpi - szepnęła. Pragnęła zrobić coś, żeby się rozchmurzył. Pragnęła go dotknąć.

Rane zorientował się, że Charity mówi również o nim, co wywołało w nim jeszcze większe poczucie winy.

- Jest pani bardzo dobra, że chce się nim opiekować... pomimo jego zachowania.

Charity uśmiechnęła się. Zrozumiała, że mówił nie tylko o Stephensonie. Czy to go właśnie martwiło?

- Kiedy ktoś cierpi, zachowuje się zupełnie inaczej niż zwykle. Babcia nauczyła mnie, że trzeba traktować chorych tak, jakby nie byli sobą.

Rane pomyślał, że ona rzeczywiście jest aniołem. Zaprezentował się jej jedynie jako nieokrzesany grubianin, ale ona zobaczyła w nim coś więcej, nie tylko szorstkość i bezceremonialność. Postanowił stać się znowu dżentelmenem, o czym zupełnie zapomniał po tych wszystkich katastrofach. Teraz będzie traktował ją z szacunkiem - i obyczajnie - na co w pełni zasługiwała.

Charity odprowadziła go do jego sypialni. Staął w drzwiach, zagradzając jej drogę.

- Muszę pani podziękować, panno Standing, za opiekę, którą pani roztacza nad Stephensonem i nade mną.

- To mi daje pewną rekompensatę - uśmiechnęła się nieśmiało. - Już dość dobrze poznałam „dialekt z Barbadosu”.

Żachnął się nagle, życzył jej miłego dnia i zamknął za sobą drzwi.

Charity została w holu, czując nagłą pustkę. Została pozbawiona jego bliskości. W jego oczach ukazał się wyraz żalu, ubolewania. Czy poczuł się zażenowany swoim zachowaniem, które uznał za niegodne dżentelmena? A może był wstrząśnięty jej postępowaniem, które zupełnie nie przystoi damie? Czy patrzył teraz na nią z perspektywy Londynu? Przypomnił sobie o ich odmiennej pozycji towarzyskiej? Ona zupełnie zapomniała o wymogach przyzwoitości, ponieważ chciała być przy nim i służyć mu pomocą. Może był niezadowolony, że szafował swoimi pocałunkami i obdarzał intymnym dotykiem zwykłą panienkę ze wsi, nie mającą ani pieniędzy, ani perspektyw, ani dobrych manier?

Ogarnęły ją wątpliwości i poczucie winy, nie poddawała się jednak. Co prawda, nie zachowywała się jak dama, ale również on nie zachowywał się jak dżentelmen. Chętnie brał ją w ra-



miona, całował i dotykał, a ona równie chętnie się temu poddawała. Czy tak zwykła czynność jak wstanie z łóżka mogłaby całkowicie zmienić mężczyznę?

Jej ciepłe, brązowe oczy zabłysły. Pragnął jej, kiedy leżał, a teraz ona musi doprowadzić do tego, żeby jej również pragnął, kiedy stoi na własnych nogach.

Przez następne trzy dni Rane był wzorowym pacjentem i nienagannym dżentelmenem, co okazało się prawdziwym wyzwaniem dla Charity. Poruszał się już po całym piętrze w towarzystwie nieodstępnego Wolframa. Stukanie laski i niepewny chód Rane'a fascynowały psa do tego stopnia, że chodził za nim krok w krok, od czasu do czasu rzucając się do przodu i wytrącając mu laskę z ręki. Naturalnie Rane tracił wtedy równowagę i kilkakrotnie doznał drobnych obrażeń.

Za każdym razem zaniepokojona Charity przybiegała na górę, ale on nie korzystał z jej pomocy, oskarżając tylko Wolframa, który udawał wtedy całkowity brak zainteresowania. Charity stwierdziła, że wicehrabiemu nudzi się samemu na górze, i przekonała lady Margaret, żeby jadał razem z nimi posiłki. Postanowiła zwracać szczególną uwagę na swoje dobre maniery... mając nadzieję, że z kolei on się ich pozbędzie.

Sprowadziła go na dół tego samego popołudnia, a on kuśtykał z pokoju do pokoju, obserwując z ciekawością dziwne usytuowanie przedmiotów.

Niczego nie można było dosięgnąć. Obrazy wisały prawie pod sufitem, a do świec w ściennych lichtarzach sięgać trzeba było za pomocą specjalnego przyrządu. Był to długi kij, na którego końcu znajdowały się nasączone oliwą pakuły - do zapalania, oraz metalowy kapturek - do gaszenia. Wszystkie

bibeloty umieszczono na półkach na wysokości ramienia i zabezpieczono dodatkowymi balustradkami. W bibliotece książki stały bardzo wysoko i nie było tam drabinki, tylko dziwne urządzenie, przypominające szczypcę do węgla o wydłużonych ramionach, którym się po nie sięgało. Zorientował się również, że w całym domu skrócono nogi stołów i krzesel.

Był tym tak zdumiony, że postanowił zapytać Charity o przyczynę tych niezwykłych zabezpieczeń. Z zażenowanym uśmiechem wyjaśniła mu, że zrobiono to w celu uniknięcia drobnych wypadków i katastrof domowych, które przedtem były na porządku dziennym. Na twarzy Rane'a ukazał się dziwny grymas i pokuśtykał dalej, oglądając zawieszane nad drzwiami podkowy i umieszczone we wszystkich możliwych miejscach suche rośliny.

To jesion górski, objaśniała Charity, a to pewien gatunek paproci. Każda roślina ma inne zastosowanie. No i oczywiście, wianki żołądźci. One przynoszą szczęście. Nie wolno ruszać starych butów, które babcia postawiła na parapetach okiennych i nad kominkami. A te szare smużki to jest sól, która odstrasza złe moce.

- Jakie złe moce ma to wszystko odpędzać? - spytał, wskazując drzwi, obwieszane girlandami roślin i otoczone rzędami podków.

- Te, których babcia się boi - usłyszał rozsądną odpowiedź. - Tatuś zawsze mówił, że jeśli dzięki swoim amuletom i innym czarom babcia lepiej się czuje, to nie ma w tym nic złego.

Było oczywiste, że przesady babki, mówiąc oględnie, nie robią na nim dobrego wrażenia, więc Charity zaproponowała zwiedzanie starej wieży strażniczej. Zapatrzony w jej brunatnomiodowe oczy, zgodził się szybko i ruszył z nią. Szła wolno po schodach, pamiętając o jego problemach z poruszaniem się.

Znaleźli się wreszcie w obszernym kamiennym holu i Charity zapaliła świecę.

- Teraz proszę iść uważnie, wasza lordowska mość. Te stopnie są bardzo nierówne.

Skinął głową, nie odrywając oczu od jej piersi, które wyłaniały się z wycięcia gorsetu. Kiedy odwróciła się, by ruszyć po kręconych schodach na górę, skupił uwagę na wdzięcznym kołysaniu jej bioder, które miał na wysokości wzroku.

Minęły już trzy dni od ich ostatniego pocałunku - postanowił przecież traktować ją z szacunkiem. Jednak nie mógł zapanować nad pożądaniem, które wzbudzała w nim swoimi pełnymi podziwu spojrzeniami i nieświadomie zmysłowymi ruchami. Co noc przywoływał w pamięci jej namiętne pocałunki, dotyk jedwabistej skóry - to rozpałało mu krew.

Teraz też z trudem panował nad sobą, patrząc, jak idzie przed nim po krętych schodach. Wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę...

Mimo wszystko usiłował patrzeć pod nogi, nie zwrócił jednak uwagi na zwężające się nagle przejście i ostry skręt w lewo. Uderzył głową w kamienny łuk.

Charity odwróciła się szybko. Rane zachwiał się, za jego plecami ziała pusta czeluść wieży. Rzuciła świecę i dwiema rękami złapała go za surdut, ciągnąc z całej siły w swoją stronę. Opadł na kamienny stopień schodów, pociągając ją za sobą. Długo siedzieli w milczeniu, nie mogąc ochłonać ze strachu. Zrozumieli wreszcie, że są zupełnie sami, w ciemnościach...

Po chwili jego ciepłe wargi badały kształt jej ust, a muskularne ramię trzymało ją w uścisku. Charity rozchyliła wilgotne wargi, nie myśląc już o niczym. Całowała go z zapamiętaniem, przywierając do niego i oddając się w jego władanie.

- Przysięgnęłam sobie, że już więcej tego nie zrobię - wyszeptał.

- Ludzie stale składają jakieś niemądre przysięgi - usłyszał w odpowiedzi. - Nie sądzę, żeby Bóg zwracał na to uwagę. Dobrze wie, że nie zawsze udaje im się nad sobą panować.

- Chcesz powiedzieć, że przy tobie ja też nie potrafię zapanować nad sobą?

- Chcę powiedzieć, że... to nie jest konieczne.

Gwałtownie wciągnął powietrze, a jego dłonie przesuwały się gorączkowo po jej ciele. Czuł, że ona potrafi dać mu rozkosz, jakiej, mimo swojego doświadczenia z kobietami, nigdy jeszcze nie zaznał. Nie mogąc się pohamować, wsunął dłonie pod jej pośladki uniósł je, żeby mieć ją jeszcze bliżej.

Charity zabrakło tchu, wstrząsnął nią dreszcz rozkoszy. Poczwała na brzuchu jego nabrzmiała, pulsująca męskość i zupełnie nieświadomie zaczęła się o nią ocierać. Jęknęła cicho, czując dziwny ucisk między nogami, a całe jej ciało poddawało się tym doznaniom, nieświadomie pragnąc spełnienia. Rozsunęła nogi, kiedy jego twardy członek przesuwał się po jej łonie, w pozorowanym stosunku, którego pragnęli oboje. Wiła się w jego ramionach, unosząc biodra, w poszukiwaniu nowych doznań...

- Hau, hau, hau! - Ten dźwięk pochodził jakby z innego świata, przywarli do siebie, starając się go zignorować. Po chwili wyraźnie usłyszeli głośnie sapanie.

- Wolfram rzucił się na nich, przewracając na ścianę i rozdzielając. Nic nie widzieli, kiedy podnosili się na nogi i próbowali odeprzeć ten nagły atak.

- Cholerny pies! - Rane rzucił się w jego stronę, ale Wolfram nie przestawał szczekać.

- Wolfie, spokój! Kto cię tu wpuścił? - rozgniewała się Charity.

- Panno Charity? - rozległ się nagle jakiś głos i w dole wieży zabłysł płomyk świecy. - Nic się pani nie stało? - To był baron Pinnow.

Na dźwięk tego głosu Wolfie pognał schodami w górę, a Charity przycisnęła dłoń do serca.

- Wolfie zaskoczył nas i upuściłam świecę.

- Zaraz tam będę! - zawołał baron. Po chwili z zakrętu schodów wyłoniła się chuda postać. - Szczęśliwym zbiegiem okoliczności byłem akurat na dole - powiedział. Popatrzył na jej zaczerwienioną twarz i nabrzmiałe wargi. - Rzeczywiście, szczęśliwy zbieg okoliczności - dodał zirytowanym tonem.

- Może zechce pan oświetlić nam drogę, baronie - poprosił Rane i cała trójka zaczęła się wspinać po stopniach.

Charity poprawiała suknię drżącymi rękami i przyglądała włosy. Nogi się pod nią ugiwały, a całe ciało pulsowało niespełnionym pożądaniem. Pomimo frustracji i zażenowania, przepełniała ją radość, że udało się jej pokonać dżentelmeńską wstrzeźliwość Rane'a.

Rane szedł za nią i zaciskał zęby z wściekłości. Gdyby nie ten cholerny pies, kochałby się z nią na schodach! Mimo postanowień, że będzie się zachowywał jak dżentelmen!

Wolfram, który był już na górze, powitał ich, gwałtownie machając ogonem, zadowolony, że uratował swoją panią, którą ktoś wyraźnie atakował.

Charity osłoniła dłonią oczy przed słońcem. Chwilowo nie miała ochoty patrzeć na towarzyszących jej mężczyzn. Oprowadziła ich tylko dokoła, pokazując widoki.

- Jest tu naprawdę pięknie, ale ja przyszedłem w związku z moim urzędem - powiedział Pinnow, nachylając się nad Charity.

- Mówiłem już panu, baronie... - zaczął Rane.

- Nie w pana sprawie, milordzie - rzucił Pinnow, nachylając się nad nią jeszcze niżej. - Chodzi o pani znajomych... pani i jej nieżyjącego ojca. O Gara Davisa i Percy'ego Halla. Już od dawna nie widziano ich w Morteheo i niektórzy wierzyli

są zaniepokojeni. Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, czy pani czegoś o nich nie wie.

- Gar i Percy zaginęli? Nie widziałam ich od dnia pogrzebu tatusia. Chyba nic im się nie stało?- Przypomniała sobie nagle, że Gar wpadł do grobu, a to był zły znak.

- Nie przypuszczam, muszę jednak zbadać wszystkie możliwości. - Pinnow ujął dłoń Charity.- Może zechce pani odprowadzić mnie do wyjścia.

Odwrócił się szybko, kiedy zobaczył, że Rane chce iść za nimi.

- Jego lordowska mość nie musi się fatygować. Proszę zostać i podziwiać widoki.

Rane dusił się z wściekłości, kiedy Pinnow i Charity zniknęli w pograżonej w mroku wieży. Wyobraźnia zaczęła mu podsuwać niepokojące obrazy... Pinnow i Charity... sami w ciemnościach. Z trudem powstrzymał się, żeby nie ruszyć za nimi w dół. Pokuśtykał do balustrady i wbił wzrok w zieleni krajobrazu.

*Po* kilku minutach Charity i Sullivan Pinnow wyszli z ciemnej wieży do jasnego holu. Baron wyraźnie się ociągał.

- Przykro mi, ale dzisiaj po południu nie mam czasu na spacer nad morzem - oświadczyła Charity.

Patrzyła na ostre rysy jego twarzy, nie mogąc uwierzyć, że kiedyś uważała go za przystojnego dżentelmena. Szybko wyprowadziła go przed dom, chcąc już go tam zostawić, ale chwycił ją za rękę i prosił, żeby poszła z nim razem w okolice stajni, gdzie uwiązał swojego konia.

- Rozmawiałem z pani babcią - oznajmił, ujmując ją za drugą rękę. - Pozwoliła mi odbyć rozmowę również z panią - mamrotał, obrzucając ją obłęsnym spojrzeniem. - Musi pani wiedzieć, że jestem nią zachwycony. Pani uroda zapiera mi

dech w piersiach i odbiera zdolność mowy. Pragnę wyznać pani swoje uczucia.

Charity zastanawiała się właśnie, jak odeprzeć te słowne zaloty i nie spodziewała się, że będzie chciał je poprzeć czynem.

Chwycił ją za ramiona i przycisnął usta do jej warg. Zaszokowana Charity początkowo nie zareagowała, a on uznał to za przyzwolenie. Objął ją, przyciskając do swojego kościstego ciała. Jego cienkie, twarde wargi wpijały się w jej usta. Wiła się w jego ramionach, szarpała go za surdut, a on był zadowolony, że jego przyszła narzeczona jest kobietą zmysłową. Wyrwała mu się wreszcie i pobiegła w stronę domu.

Sullivan Pinnow wygładził kamizelkę i skierował wzrok na szare, kamienne ściany Standwell Hall. Po niewielkim remoncie ten dom będzie świetnie wyglądał. A z ziemi, która należała do dworu, można było wycisnąć niezłe pieniądze, tylko ten głupiec Upton Standing nie miał do tego głowy. Pinnow dokładnie wszystko rozważył i doszedł do wniosku, że to miejsce warte jest zachodu. Będzie miał jeszcze z tego dodatkową przyjemność... Charity Standing znajdzie się w jego łóżku, kiedy się z nią ożeni i przejmie Standwell.

Tę wspaniałą perspektywę przesłaniała jednak szara chmura. Pinnow nie sądził co prawda, żeby wicehrabia Oxley sprzątnął mu sprzed nosa tak łakomy kąsek. Z tego, co się zdołał o nim dowiedzieć, nie był on człowiekiem, który kupuje pasiekę, kiedy zapragnie miodu. Baron nie miał jednak ochoty dzielić się z innym mężczyzną, nawet jeśli był on arystokratą. Postanowił często odwiedzać Standwell i pilnować swoich interesów.

Rane krążył nerwowo po wieży, a Wolfram siedział u szczytu schodów.

- Spróbuj tylko się do mnie zbliżyć - odezwał się do psa.

Podszedł do zwieńczenia murów i zobaczył jakieś postacie w pobliżu stajni. Wychylił się, żeby lepiej widzieć.

To oni! Charity i ten paskudny baron. Całowali się!

- A ty tu siedzisz jak głupi - zwrócił się znowu do psa. - Ten drań ją całuje! Za każdym razem, kiedy ja ją całuję, chcesz mnie pożreć żywcem! Dlaczego teraz ciebie tam nie ma?

Zobaczył, że dziewczyna się cofa, po czym szybko obraca i pędem biegnie do domu.

Odczuł ogromną ulgę. Ona nigdy nie ucieka, kiedy ją całuję, pomyślał. Pocałunek barona nie przypadł jej do gustu. Oczywiście, że nie, stwierdził z nagłym oburzeniem. Co za bezczelny łajdak... jak śmiał ją całować! Ona jest...

Oparł się o kamienną ścianę, kończąc przerwana myśl, niezależnie od własnej woli. Ona jest moja. Wraz z każdym spojrzeniem, każdym dotykem czy namiętym pocałunkiem rościł sobie do niej coraz większe prawa. Miał pełną świadomość, że Charity jest niewinną dziewczyną, i czynił próby, żeby trzymać się od niej z daleka, ale mimo tych postanowień wprowadzał ją stopniowo w świat zmysłów, kształcąc ją wedle własnego uznania. Teraz to rozumiał.

Pożądał Charity Standing, pragnął jej zmysłowego ciała, był zafascynowany jej otwartością, zdrowym rozsądkiem i nieodpartym czarem. Pragnął jej całej. Zachowywał się tak samo jak jego ojciec i dziadek, którzy w pogoni za kobietami nie tylko stracili cały majątek, ale zostali również zmuszeni do opuszczenia Anglii. Ta dziewczyna jednak nie tylko rozpałała mu zmysły, potrafiła również owaćdnać jego duszę.

Przymknął oczy, czując ciepło wiosennego słońca na twarzy. Nie mógł przestać o niej myśleć. Słodki smak jej ust był jak nektar kwiatów z jego wyspy, a kiedy ocierała się o niego piersiami, wydawało mu się, że omywają go morskie fale Karaibów; jej ciche jęki rozkoszy były powiewem tropikalnego wiatru.



Uderzyła go nagła myśl. Ona też go pragnęła. Czuł to, kiedy drżała w jego ramionach, nieśmiało dotykała, rozchyłała usta do pocałunku. Przedarła się przez jego mur obronny, poznała nawet jego przeszłość, żeby zrozumieć człowieka, jakim naprawdę był. A przed kilkoma minutami wytłumaczyła mu w swój uwodzicielsko rozsądny sposób, że on nie musi być wytwornym dżentelmenem, żeby ją zdobyć, musi być tylko prawdziwym mężczyzną.

Oczy mu zabłyśły. To, co czuł do Charity Standing, wcale nie było szaleństwem. Ona należała do niego, więc teraz musi się o nią upomnieć.

Charity schroniła się w swoim pokoju. Usiadła przy oknie, wycierając usta grzbietem dłoni. Jak on śmiał, ten obrzydliwy baron, całować ją i brać w objęcia! Była tak wściekła, że chętnie wydrapałaby mu oczy. Wiedziała już, dlaczego nigdy nie potrafiła go polubić. Zawsze patrzył na nią dziwnym wzrokiem, chwycił za ręce... myślał o „nocnej zmianie"! Na tę myśl zrobiło się jej niedobrze.

Nigdy się tak nie czuła, kiedy pieścił ją Rane! Uwielbiała jego długie, zmysłowe pocałunki i dotyk jego rąk na swoim ciele. Jego uścisk był czasem silny, czasem łagodny, lecz zawsze zgodny z jej własną reakcją. Rane Austen dawał jej przyjemność i... dużo radości. A Sullivan Pinnow tylko coś od niej brał. To właśnie jest różnica pomiędzy „nocną zmianą" a „magią nocy", pomyślała. Pomiędzy braniem a daniem.

Rane Austen dawał przyjemność. Ta myśl przywołała uśmiech na jej usta... i silne postanowienie zdobycia tego mężczyzny.

**w ciągu następných trzech dni lady Margaret obserwowała** wymowne spojrzenia, które wymieniali Rane i Charity, a w nocy patrzyła z niepokojem na księżyc. Zbliżyła się katastrofa. Była tego pewna. Ich wzajemne przyciąganie plus pełnia księżyca wróżyły tylko jedno... i nie było na to rady. Zaczęła łamać sobie głowę, jak utrzymać ich z daleka od siebie.

Charity widziała zabiegi babki i to ją irytowało. Lady Margaret stale wynajdowała dla niej jakieś zajęcia i przyjmowała z entuzjazmem codzienne wizyty tego okropnego barona. Co gorsza, zupełnie oszalała na punkcie swoich czarów. Zabroniła używać noży przy stole, żeby ktoś przypadkiem nie nabierał masła z obu stron, podkładała wygasłe węgle pod każde krzesło, na którym siadał Rane, upierała się, żeby przesunąć łóżka Rane'a i Stephensona, żeby mieli głowy zwrócone na północ, a stopy na południe, i zbierała w stajni pająki, wypuszczając je w domu na ściany dla zapewnienia szczęścia. To ostatnie, jak natychmiast domyśliła się Charity, było wyraźnym zamachem na Rane'a.

Charity wiedziała, że babcia nie pochwała jej uczuć i robi wszystko, żeby ich rozdzielić. Nie rozumiała tego - przecież Rane nie był żonaty ani nawet zaręczony. Nie miała pojęcia, jak przekonać babkę, że Rane Austen jest honorowym dżentelmenem, którego ona pragnie poślubić. Co prawda, było to tylko jej osobiste przeświadczenie.

Kiedy Charity oznajmiła któregoś popołudnia, że Rane czuje się wystarczająco dobrze, żeby iść na spacer nadmorską ścieżką do ruin starego opactwa, miała nadzieję, że wreszcie będą tylko we dwoje. Jednak lady Margaret natychmiast wezwała barona, udając zdziwienie, kiedy się pojawił, i zaproponowała, żeby towarzyszył im w czasie spaceru. Nalegała również, żeby Charity zabrała ze sobą Wolframa.

Charity wyruszyła na swój wymarzony spacer wciśnięta pomiędzy Rane'a a barona. Żaden nie chciał zrezygnować z jej

bliskości na wąskiej ścieżce, więc szli tuż przy niej. Wolfram zrobił sobie z tego świetną zabawę, wpadając pomiędzy nich, żeby roztrącić tę grupę. Baron opowiadał o miejscowym ziemiaństwie i jego sprawach, co oczywiście nie mogło interesować Rane'a, on sam odwdzięczał się historiami z życia londyńskiego towarzystwa, co było równie egzotycznym tematem dla barona.

Charity widziała, że stale obrzucają się nieprzyjaznymi spojrzeciami, więc zaproponowała, żeby się zatrzymali i usiedli na kamieniach, skąd mieliby widok na ruiny opactwa. Baron szybko znalazł kamień, na którym mogły usiąść dwie osoby i wskazał go Charity.

Rane usiadł na kamieniu za nimi, gotując się z wściekłości. Baron zdjął swój nowy kapelusz i odłożył go na bok. Rane obrzucił wzrokiem to modne nakrycie głowy i uniósł brew...

Po chwili pojawił się Wolfram. Rane podniósł się i stanął za kamieniem, na którym siedziała Charity z baronem. Pinnow zignorował go. Rane podniósł kapelusz barona i cofnął się bezszelestnie o kilka kroków. Wolfram wywalił język, patrząc z zainteresowaniem na okoloną jedwabną wstążką sierść bobra.

Rane rzucił kapelusz, który poszybował z wiatrem na pobliskie pole... a za nim pognał Wolf. Patrzył na to z uśmiechem, a kiedy był pewien, że kapelusz znajdzie się w potężnych szczękach psa, przywołał na twarz wyraz przerażenia.

- Wielkie nieba, Pinnow! Ten przeklęty pies ma pana kapelusz! Pana kosztowny kapelusz, złapał go w jednej chwili! Oddaj to, paskudna bestio, ten kapelusz jest wart co najmniej dwa funty!

- Dziesięć funtów, siedem szylingów! - wyjąkał Pinnow.

Wolfram potrząsał trzymanym w pysku kapeluszem, bardzo zadowolony z tej nowej zabawki.

- Chodź tu! Oddaj kapelusz! - krzyczał Pinnow, biegnąc do niego.

Wolfram obserwował go uważnie. Nadarzała się okazja do ulubionej zabawy. Oczy mu się zaświeciły.

Czerwony, spocony baron krzyczał i klął, a Wolfram uchylał się zręcznie przed jego wyciągniętą dłonią.

Rane trząśł się ze śmiechu. Podał rękę Charity i podniósł ją z kamienia. Przyłożył palec do ust i poprowadził ją ścieżką w dół, w kierunku ruin, tak szybko, jak mu na to pozwalała chora noga.

- Czy nie powinniśmy... - Charity obejrzała się za baronem.

- Ciii... - Rane zwolnił tempo. - Chyba że pani chce, żeby się do nas przyłączył...

Spojrzała na niego figlarnym wzrokiem i potrząsnęła głową.

- No to chodźmy! - uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

## 11

Trzymając się za ręce, pospieszali w kierunku kamiennej kaplicy, która wznosiła się nad ruinami opactwa. Wewnątrz było chłodno i cicho. Po chwili usłyszeli głos barona, który ich nawoływał. Rane wciągnął Charity za filar i przytulił ją do siebie.

Pinnow był już blisko. Słyszeli wyraźnie jego kroki, sapał i mamrotał do siebie. Prześlizgnęli się na galeryjkę. Charity podprowadziła Rane'a do okna, skąd zobaczyli idącego w stronę Standwell barona, dokoła którego krążył pies, trzymając coś w pysku.

Wybuchnęli śmiechem. Charity oparła się o niego, a on objął ją w pasie. Pochylił się i przesunął wargami po jej nosie, ustach i brodzie. Po chwili, ku jej zdumieniu, wypuścił ją z objęć i wziął za rękę.

- Chciałbym obejrzeć ruiny.

Skinęła głową. Nieoczekiwana czułość tych delikatnych pocałunków wytworzyła między nimi niezwykle intymną atmosferę. Charity oprowadzała go po ruinach, opowiadając mu historię opactwa, związanego z dziejami jej własnej rodziny. Kiedy zeszli do piwnic klasztornych, Rane zeszywniał i zacisnął rękę na jej dłoni. Rozglądał się wokół ze stężałą twarzą.

- Wolałbym stąd wyjść - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Pająki, pełno pajęczyn, zrozumiała nagle i pociągnęła go do drzwi. Kiedy wyszli na zewnątrz, odprężył się trochę, a ona zaprowadziła go na skraj opactwa, gdzie dawniej stała wieża strażnicza.

- Przykro mi - powiedziała. - Jakoś o tym nie pomyślałam. Dlaczego nienawidzi pan pajaków? - spytała i zaniepokoiła się zaraz, że będzie na nią zły.

Patrzyła na niego ciepłym wzrokiem, słońce tworzyło aureolę z jej złotych włosów. Odczuł nagłą potrzebę powiedzenia jej tego, o czym z nikim nie rozmawiał, czego nawet nie chciał sobie przypominać.

- Utknąłem raz w ładowni statku... gdzie były ich setki - powiedział. Charity skinęła tylko głową, nie potrafiła go zrozumieć. Zresztą czy ktoś, kto żyje na północy, może to zrozumieć?

- W tropikach pająki są wielkości męskiej dłoni. - Rane przełknął ślinę. Na samo wspomnienie przejmował go zimny dreszcz. - Na Barbadosie, kiedy byłem chłopcem, jedną z wielu dobrych rzeczy, jakie mieliśmy, były banany. Większe ilości przywożono statkiem. Z kilkoma innymi chłopcami wślizgnęliśmy się na statek, żeby ukraść kilka bananów, i utknęliśmy w ładowni z bananami i... pajakami. Było ich mnóstwo. Podczas zbiorów tarantule chowają się w liściach bananów i robotnicy ich nie widzą. Spędziłem tam długie godziny... a te przekłete pająki pełzały...

Jego ręka zacisnęła się na jej dłoni, a ona odwzajemniła ten uścisk.

- To musi wydawać się pani zabawne - powiedział ironicznym tonem - mężczyzna, który tak... tak...

- Boi się pajaków - dokończyła. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego policzka, ale zatrzymała się w pół gestu. Rane ujął jej rękę i zatrzymał w swojej dłoni. - To wcale nie jest takie dziwne - dodała. - Każdy się czegoś boi - ciągnęła. -

Kiedy byłam mała, bałam się ciemności. Bardzo boję się wody. Babcia obawia się złowróżbnych znaków, a Gar Davis koni i błyskawic. Mój ojciec powtarzał, że najważniejsze jest to, żeby nie dać się zdominować swoim lękom, nie pozwolić, żeby powstrzymywały nas od tego, co musimy zrobić... albo chcemy zrobić. - Kiedy mówiła o ojcu, oczy jej pociemniały. - Pan nadal lubi banany, prawda?

Rane gładził jej policzek. Ile razy Charity wspominała o ojcu, tak wyraźnie odczuwał jej ból, jakby dzielił z nią to uczucie.

- Pani ojciec musiał być bardzo mądrym człowiekiem. Żałuję, że nie mogłem go poznać - powiedział.

- Ja też żałuję. - Charity uśmiechnęła się, ale jej oczy nadal były smutne.

Pochylił się, a ona stanęła na palcach, oczekując pocałunku, który miał jej przynieść pociechę. Poczowała delikatny dotyk jego ust i lekki dotyk dłoni. Te subtelne pieszczoty sprawiły, że krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach, przywieriała do niego coraz silniej.

Rane odsunął się i wziął ją za rękę. Szli starym kamiennym murem, okalającym dawny ogród klasztorny. Przez ostatnie dwa tygodnie marzył o sytuacji, kiedy mogliby być zupełnie sami. Chciał mieć ją przy sobie... pod sobą. Teraz, kiedy miał ją tylko dla siebie, miały nim sprzeczne uczucia. Pragnął się z nią kochać, a jednocześnie ją chronić. Nie potrafiłby zrobić jej krzywdy.

Zachwiał się nagle i stracił równowagę. Kamienie osuwały mu się spod stóp i zaczęły spadać w dół, pociągając go za sobą. Wylądował na trawiastym zboczu, wśród rozsypanych głazów.

- Wasza lordowska mość! - Charity ześlizgnęła się z muru i podbiegła do niego. - Nic się panu nie stało? - Podała mu rękę i pomogła wstać.

- N...nie wiem - wyjął, oszołomiony.

Zaniepokojona Charity wsunęła dłonie pod jego płaszcz, przesuwając nimi po plecach i zatrzymując... na zranionym pośladku.

Zażenowana, chciała szybko cofnąć rękę, ale on przytrzymał ją swoją dłonią. Po chwili ujął ją pod brodę i spojrzał w jej zarumienioną twarz.

- Przepraszam. Ja tylko chciałam...

- Wiem - szepnął.

Jego usta zaczęły delikatnie muskać jej wargi, aby po chwili dotknąć skroni i wrażliwej skóry koło ucha. Po tych powolnych, zmysłowych pocałunkach, kiedy jego usta znalazły się ponownie na jej wargach, Charity przyciągnęła go bliżej do siebie. Rozchyliła wargi. Nie mogła powstrzymać westchnienia, kiedy spotkały się ich języki.

Oddawała mu pocałunki z zapamiętaniem, ale Rane nie chciał iść wyłącznie za głosem własnego pożądanego.

- Charity, pragnąłem cię od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy. Chciałem cię dotykać... i...

Zakończył swoją wypowiedź głębokim, namiętnym pocałunkiem, który całkowicie odebrał jej zdolność myślenia. Kiedy otworzyła oczy, on zdejmował swój elegancki szary płaszcz i kładł go na trawie. Po chwili oboje już na nim leżeli. Jego palce przesunęły się po wycięciu gorsetu i jej częściowo odsłoniętych piersiach.

- Chcę cię kochać - szepnął. - Ale jestem dżentelmenem i... - zaczął: zduszonym głosem.

- Dotykaj mnie - usłyszał w odpowiedzi.

Uniósł ją i zaczął rozpinać haftki sukni. Zsunął jej gorset, odsłaniając piersi. Gwałtownie złapał oddech. Po chwili wsunął dłonie jeszcze głębiej i uwolnił z gorsetu napięte brodawki. Wreszcie zobaczył to, na co czekał tak długo - nagie piersi Charity, ich lśniąca biel kontrastująca z jego opaloną ręką. Pochylił się i dotknął ich językiem.



Charity patrzyła na niego swoimi pięknymi, szeroko otwartymi oczami, których blask przyćmiony był namiętnością. Jej ciało instynktownie wygięło się pod jego dotykiem. Kiedy pieścił brodawki jej piersi językiem, gwałtownie łapała oddech. A kiedy jego palce zacisnęły się na nich, wydała okrzyk rozkoszy. Rozpalona tą intymną pieszczotą, drżała i wtulała się w niego coraz mocniej. Świat przestał dla niej istnieć, czuła tylko jego dłonie na swoim ciele.

Jego kolano znalazło się między jej nogami, a nabrzmiała męskość na jej łonie. Rozchyliła nogi jeszcze trochę szerzej. Twardy członek napierał na jej najbardziej intymne miejsca. Mimo ubrania, poczuła wilgoć między nogami i niewypowiedzianą rozkosz. Wygięła się, uniosła kolana, poddając się jego ruchom zgodnie z rytmem swojego silnie bijącego serca.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na jej szeroko otwarte oczy i rozchylone, wilgotne wargi, aby się całkowicie zatracić. Nie mógł opanować rąk, które, jakby bez jego wiedzy, zaczęły unosić jej spódnice. Położył się na niej, a jego ręka znalazła się między jej nogami. Szybko złapała oddech, kiedy podjął intymne pieszczoty, delikatnie, ale pewną ręką. To są jego ręce, uświadomiła sobie nagle. On mi daje rozkosz swoimi rękami.

Magia nocy. Zesztywniała, wygięła się, napierając na dłoń, którą trzymał między jej nogami. Wydawało się jej, że została wyzwolona z własnego ciała, otoczona świetlistym blaskiem radości. Dopiero po chwili poczuła na twarzy jego pocałunki.

- To jest magia - szepnęła, patrząc mu w oczy.

- Tak, to prawda - przyznał, nie wiedząc dobrze, co ona ma na myśli. - Ale to nie wszystko, mój aniele... jest o wiele więcej.

Kiedy znowu poczuła dotyk jego ust na swoich wargach, zawładnęła nią nowa fala pożądania, pragnienie całkowitego zespolenia. Zadrżała, kiedy przesunął się na bok i poczuła

powiew chłodnego powietrza, ale znowu pochylił się nad nią, a jego obnażony członek dotknął wilgotnego zagłębienia jej łona.

Rane nie potrafił się już pohamować. Ciało Charity poddawało mu się tak skwapliwie...

- Nagle rozległo się ogłuszające szczekanie.

- Och, nie - jęknął. - Tylko nie to. Nie twój cholerny...

Zastygł w bezruchu. To mógł być nie tylko ten jej cholerny pies. Może wracał Pinnow albo lady Margaret wyruszyła na poszukiwanie. Szybko zapiął spodnie i opuścił w dół jej spódnicę.

Wolfram przeskoczył przez kamienny mur i zobaczył, że jego pani leży bezwładnie na trawie, a ten wielki mężczyzna jej zagraża.

Rane nie zdążył się jeszcze podnieść, kiedy pies warknął mu wprost do ucha i obnażył zęby.

- Tylko spróbuj - krzyknął z wściekłością do psa - a pożałujesz!

- Proszę, nie rób mu krzywdy! On tylko mnie broni. - Charity chwyciła go za koszulę. - Przestań, Wolf! Wolfie!

Pies uspokoił się, powarkiwał tylko cicho. Kiedy Rane podniósł się wreszcie na nogi, pies zajął obronną pozycję przy Charity, nie spuszczać go z oczu.

- Słuchaj, ty zidiociały bydlaku, ja nie chcę jej skrzywdzić, tylko ją kochać. Szaleję za nią! - krzyczał do psa, sfrustrowany i nieprzytomny z wściekłości.

- Szalejesz za mną? - Charity podniosła się na nogi.

Jej złote włosy były w nieładzie, przyciskała opadający gorset do piersi.

- Tak. Na twój widok odchodzę od zmysłów.

Uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił jej uśmiech i nagle ogarnął go dziwny spokój.

Lady Margaret zobaczyła powracającego barona, obok którego biegł Wolfram. Już wszystko wiedziała. Charity i wicehrabia zostali sami.

- Bezżyteczny, jak zwykle - mruknęła. Podbiegła do kuchennych drzwi i chwyciła psa za ucho, po czym wygłosiła do niego długą przemowę. - Teraz wracaj i znajdź ich! - zakończyła.

Dopiero po godzinie zobaczyła przez okno powracającą parę. Trzymali się za ręce, a ich twarze jaśniały. Było oczywiste, że coś się pomiędzy nimi wydarzyło!

Szybko ruszyła im na spotkanie, ale zatrzymała się nagle w połowie schodów. Płaszcz jego lordowskiej mości był pobrudzony trawą, miał podarte spodnie, skaleczoną dłoń i kulał bardziej niż zwykle. Drogo opłacił samotne chwile z jej wnuczką, pomyślała ponuro. Serce jej zamarło na widok potarganej, zarumienionej Charity, która ze spuszczonej oczami przemknęła do swojego pokoju.

Starsza dama zatrzymała Rane'a i wskazała mu gestem drzwi salonu.

- Moja wnuczka była niewinną dziewczyną. - Patrzyła na niego groźnym wzrokiem, ale w jej głosie wyczuwał ból.

- Nadal nią jest. Nie pozbawiłem jej cnoty. - Wytrzymał spojrzenie lady Margaret, zaczerwienił się jednak na myśl, że w gruncie rzeczy cnotę Charity uratował Wolfram.

- Ona będzie bardzo nieszczęśliwa... kiedy pan wyjedzie. - Odwróciła się do okna. - A ja nie mogę już jej przed panem uchronić. Ani pana przed nią.

- Nie będzie nieszczęśliwa - oświadczył. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że niedługo będzie musiał opuścić Standwell. Na tę myśl odczuł dziwną pustkę. - Lady Margaret, zależy mi na Charity. Nie mam zamiaru wyjechać i...

Nie dokończył zdania. Więc co ma zamiar zrobić? Zabrać ją ze sobą? Stał po środku salonu, pogrążony w myślach. Tak,

właśnie to chciał zrobić. Ale przecież jego życie miało być związane z Londynem, poprzysiągł sobie, że będzie miał arystokratyczną żonę. Przez osiem lat pracował nad tym, żeby przywrócić dawną świetność nazwisku, również materialną. A ukoronowaniem jego sukcesu miało być poślubienie młodej damy z towarzystwa. Zdał sobie nagle sprawę, że przez ostatnie dwa tygodnie w ogóle o tym nie myślał!

Jak to się stało, że zapomniał o próbach zdobycia aprobaty londyńskiej elity? Spowodowała to Charity Standing oraz wiele innych wydarzeń... miał wypadek, potem został postrzelony, poparzył się, kaleczył, atakowała go groźna bestia. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie codziennie uderzał się w głowę, może przez to zapomniał o wszystkim. A może i nie...

Charity Standing była bystra, miała serce otwarte dla wszystkich, a ponadto była najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. W jej obecności nie czuł bólej rany, nie zauważał niewygód, wzbudzała w nim niezwykle silne pożądanie. Zawładnęła jego myślami i zmieniła jego hierarchię wartości. Pragnął jej każdą komórką swojego ciała.

Charity Standing nie należała do eleganckiego towarzystwa, ale nie była również kobietą, z której mógłby uczynić swoją kochankę.

Pomyślał o tych bladych debiutantkach, o których rękę się starał, o tych wszystkich Karolinach, Gloriach i Annach - takie doskonałe i takie jednakowe. Charity Standing była wyjątkowa. Podobnie jak on sam, odrzucała sztywne reguły towarzyskie, kierując się własnym sercem i rozsądkiem. Przypominał sobie teraz, jak mu czytała, przynosiła małe kotki do łóżka, jej naturalną elegancję przy wspólnych posiłkach i... jej reakcję na jego pocałunki.

Była jego aniołem, a będzie żoną!

Lady Margaret cicho wyszła z salonu. Widziała wyraz jego twarzy. Wiedziała już, że wicehrabia Oxley zakochał się w jej wnuczce. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy... żeby się z nią ożenić!

Charity leżała w łóżku, w sypialni oświetlonej światłem księżycy, który był już prawie w pełni. Przewracała się niespokojnie w pościeli, myśląc o Ranie i o tym, co wydarzyło się w ruinach opactwa. Nadal czuła jego pieśczozy, jego ciężar na swoim ciele. Doświadczyła magicznego dotknięcia jego rąk. To było wspaniałe, nieporównywalne z niczym uczucie. A jeszcze wspanialsze było to, że jemu na niej zależało. Sam to powiedział.

Szybko wstała z łóżka. W holu powitał ją Wolfram. Pogłaskała go, podrapała za uchem, aby po chwili zniknąć w sypialni Rane'a. Rozległ się zgrzyt zasuwki.

Wolfram patrzył za nią przez chwilę, po czym położył się pod drzwiami sypialni Rane'a. Jego oczy błyszcząły w ciemności.

## 12

Rane stał przy oknie, miał na sobie tylko spodnie i koszulę. Na dźwięk otwieranych drzwi odwrócił się szybko, gotów do ataku. Na widok Charity jego oczy nabrały ciepłego wyrazu, a jej serce zadrżało z radości. Jego wzrok przesuwiał się po jej luźnej, bawełnianej koszuli i rozpuszczonych włosach. Nie wiedziała, co przy takich okazjach wkładają na siebie damy, ale miała nadzieję, że swoim prostym strojem nie sprawi mu zawodu.

Zrobił krok w jej kierunku i zatrzymał się w miejscu. Jej nocna koszula zsuwała się z jednego ramienia, jasne, jedwabiste włosy opadały miękką falą. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, rozchylając wargi. Biła od niej zmysłowość, a zarazem niewinność. Nie wiedział, jak się do tego ustosunkować.

- Nie mogłam zasnąć - wyznała. Nie odrywała wzroku od jego szerokiej, opalonej piersi, widocznej w rozcięciu koszuli. Był taki wysoki, ogorzały, muskularny...

- Ja też nie - przyznał. Zawisnął oczami na dekolcie jej koszuli. Brodawki jej piersi rysowały się wyraźnie pod cienkim materiałem. Poczuł, jak oblewa go fala gorąca. Te twarde, napięte wzgórki były na wyciągnięcie ręki.

- Ponieważ oboje jeszcze nie śpimy.... to możemy nie spać razem - nieśmiało zaproponowała Charity.

Rane roześmiał się, czerwieniąc się pod opalenizną.

- Wydaje mi się, że właśnie taka myśl sprawiła, że nie mogłem zasnąć - powiedział, podchodząc do niej. - Dlaczego wszystko, co mówisz, wydaje mi się zawsze rozsądne i właściwe?

- Nie wiem - szepnęła. - Przy tobie nigdy nie zachowuję się właściwie. Przychodząc tutaj, nie postąpiłam jak dama.

- A ja, gdybym był dżentelmenem, nie pozwoliłbym ci tu zostać. Ja też przy tobie nie zachowuję się właściwie. Sam myślałem o tym, żeby przyjść do twojej sypialni.

Charity przytuliła się do niego. Twarz jej pałała, pragnęła poczuć jego ręce na swoim ciele. Przesunął palcami po jej karku i to lekkie dotknięcie wprawiło ją w drżenie. Dostrzegł błysk onieśmienia w jej oczach i uśmiechnął się. Była tak niewinna, a wkrótce on...

- Zamknij oczy - szepnął.

Posłuchała go. Wziął ją za rękę i zaprowadził do okna. Po drodze zdmuchnął świecę.

- Teraz patrz.

Charity otworzyła oczy. To był niezwykle widok, chociaż dobrze jej znany - zatoka w świetle księżyca. Okrągła tarcza wisała nad wodą, na tle ciemnych wzgórz. Objął dziewczynę w pasie i przyciągnął do siebie.

- Kiedy przyszedłeś, wyglądałem właśnie przez okno. Co za piękny widok - szepnął.

- To prawda. - Zerknęła na niego, patrzył na nią, nie na widok za oknem. - Dawno nie obserwowałam księżyca.

- Ja też nie - przyznał. - Podejrzewam, że jest jeszcze wiele innych rzeczy, których nie umiałem dostrzec.

- Babcia mówi, że światło księżyca jest niebezpieczne - szepnęła Charity. - Widok księżyca w pełni może doprowadzić...

- Do szaleństwa? Mnie już doprowadziło. - Przyciągnął ją bliżej do siebie. - Nie śpię nocami, nie mogę się na niczym skupić, nie panuję nad własnym ciałem. Chwieję się na nogach, stale coś mi się przydarza... a co najdziwniejsze, nawet nie odczuwam bólu, kiedy uderzę się w głowę czy upadnę. - Przechesował palcami jej jedwabiste włosy, a ona czuła, jak szybko bije mu serce.

- Myślę o różnych rzeczach, miotają mną dziwne uczucia. Przestało mi już zależeć na wielu rzeczach. Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek wrócę do Londynu, jaki będzie stan moich interesów, czy będę dobrze widziany w towarzystwie. Czuję, że stałem się innym człowiekiem.

Tak, to prawda, pomyślała Charity. On rzeczywiście był innym człowiekiem. Przestał reagować gniewem i zniecierpliwieniem na każdy drobiazg i mieć się stale na baczności. Nadal wyczuwała w nim wewnętrzny ogień, ale był to ogień pożądania, a nie gniewu.

- Myślałem, że tak na mnie wpłynęło picie tych obrzydliwych ziół, do czego zmuszała mnie twoja babka, ale teraz wiem, że to wyłącznie twoja wina, Charity Standing - powiedział czule oskarżycielskim tonem. Albo zasługa - dodał.

- Moja? - Charity oprzytomniała nagle. Mówił, że ona mu pomogła! Ich rozmowy, pocałunki i pieszczoty obudziły w nim innego człowieka.

- Wystarczy mi popatrzeć na ciebie, a zapominam o swoim bólu. Kiedy jesteś przy mnie, patrzę na świat innymi oczami, budzą się we mnie nieznanne mi przedtem uczucia... Nie rozumiem dlaczego... - Charity położyła mu palce na ustach.

- Myślę... że to sprawa magii. - Oczy jej błyszczały. - Babcia mówiła mi o wzajemnej potrzebie, jaka się wytwarza pomiędzy mężczyzną a kobietą. I o rozkoszy, która sprawia, że krew wrze w żyłach...



- Twoja babcia opowiadała ci... o rozkoszy? Ona nie przestaje mnie zadziwiać.

- Chyba nie chciała mi tego mówić. Myślę, że chciała mnie tylko przed tobą ostrzec.

- To już bardziej do niej podobne. - Na ustach Rane'a ukazał się nagle łobuzerski uśmiech. - A czy mówiła ci na przykład o tym? - Ujął w dłonie jej piersi, pieszcząc je końcami palców.

- N...nnie... n...nie tak dokładnie. - Charity zadrżała, kiedy zaczął przesuwać palcami po sutkach. Ten dreszcz rozkoszy przenikał do najintymniejszych zakamarków jej ciała.

- A o tym mówiła? - Pochylił się i zaczął muskać językiem jej ucho, a potem szyję.

- N...nnie. Chyba nie - Charity ledwie trzymała się na nogach. Objęła go w pasie, a wtedy on przytrzymał ją mocniej, przywierając do niej całym ciałem.

- Ale na pewno wspomniała to... - powiedział ochryplym głosem.

Charity gwałtownie złapała oddech, kiedy poczuła, jak przesuwa swój nabrzmiały członek po jej łonie. Dokładnie pamiętała, jaką rozkosz ten ruch w niej wyzwalał. Dopiero po chwili zdołała wydobyć z siebie zduszony szept.

- Ona... mówiła... o rękach - wyjąkała.

- O rękach? - Pochylił się nad nią, patrząc w jej zamglone pożądaniami oczy.

- Babcia, kiedy była małą dziewczynką, mieszkała z Cyganami i wiele się od nich nauczyła. - Charity czuła, jak pulsuje w niej życie, zalewające ją fale rozkoszy docierały do samego sedna jej kobiecości. - Mówiła mi, że ręce mężczyzny mogą przeobrazić „nocną zmianę” w „magię nocy”. - Podniosła jego dłoń do góry, przesuwając palcami po stwardniałej skórze. - Nie każdy mężczyzna ma w swoich dłoniach „magię nocy”. Tylko Cyganie i niektórzy Francuzi.

- Myślisz, że ja to mogę mieć, tę „magię nocy”?

- Myślę, że tak - uśmiechnęła się Charity. Potarła policzek o jego otwartą dłoń i przymknęła oczy, przesuając po niej wargami. Rane zrozumiał, że przypomina sobie rozkosz, jaką dał jej tego popołudnia... rozkosz, która była dziełem jego rąk. - Podobają mi się twoje ręce, są takie silne i ogorzałe. Masz piękne ciało. - Charity ocierała się o niego jak kotka. - Nigdy nie myślałam, że ciało może być aż tak piękne.

Wezbrała w nim fala pożądania. Zamknął jej usta namiętym pocałunkiem, a ona przylgnęła do niego, oddając mu się we władanie. Rozwiązał tasiemki jej koszuli, która zsunęła się z jej ramion. Charity przytrzymała ją drżącymi rękami.

- Chcę na ciebie patrzeć, mój aniele - szepnął, obsypując ją czułymi pocałunkami. - Uwielbiam twoje ciało. Twoja skóra jest aksamitna i biała, tak różna od mojej.

Charity nie protestowała więcej, kiedy zsunął z niej koszulę. Jego ręce gładziły pieszczotliwie jej nagie ciało, fascynował go widok ciemnych dłoni na jej białych piersiach.

- Gdzie jest... twój pies? - wyszeptał nagle.

- W holu, na zewnątrz. - Charity uniosła się na palcach, żeby dosięgnąć jego ust i zaznać dodatkowej rozkoszy, jeszcze głębiej wtulając piersi w jego dłonie. - On nie umie otwierać zasuvek u drzwi - dodała z uśmiechem.

- Nie byłbym tego taki pewny. - Jego palce zacisnęły się na nabrzmiałych brodawkach jej piersi. Lekki ucisk, jaki odczuwała między nogami, przeobraził się w bolesną konieczność i była tylko jedna możliwość jej zaspokojenia

Nadszedł czas, żeby zanieść ją do łóżka, pomyślał, czując, że oddaje mu się teraz z całkowitym zapamiętaniem. Wziął ją na ręce i położył na łóżku. Patrzył na marmurową biel jej ciała i jasne włosy rozsypane na poduszce. Zaczął się rozbiierać.

Charity nie odrywała wzroku od jego muskularnych pleców,

kiedy schylił się, żeby *ściągnąć spodnie*. *Przesunęła wzrokiem* po jego wąskich biodrach...

- Chodź... chcę poznać magię nocy - szepnęła.

Pochylił się nad nią, jego ciepłe wargi badały kształt jej ust, przesuwał językiem po jej wargach i chwycił je zębami. Całował ją i pieścił. Charity zaczęła instynktownie poruszać biodrami, ocierając się o jego pulsującą męskość, którą czuła na brzuchu. Była rozgorączkowana, pragnęła jego dotyku i jego czułych słów. Pieścił całe jej ciało, a ona oddawała mu pieszczoty.

Ich ciała poruszały się zgodnym rytmem. Jego męskość zaczęła przesuwać się w dół, ku jej wilgotnemu zagłębieniu. Zaczął w nią wchodzić bardzo ostrożnie i powoli... Jęknęła cicho i chwyciła go za ramiona, przyciągając do siebie. Jej biodra zaczęły się znowu poruszać. Czuł, jak pulsuje wokół jego męskości, czuł jej nogi na swoich biodrach, słyszał, jak szepce jego imię. Wchodził w nią, a po chwili z wolna się wycofywał. Jej ciało poddawało mu się tak skwapliwie, że pograżał się w niej coraz głębiej, upajając się jej otwartością i urywanym oddechem. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy się z niej wycofywał, ścisnęła go mocno, usiłując zatrzymać, aż wreszcie zadrżała konwulsyjnie. Zamknął pocałunkiem jej rozchyłone wargi, wsunął język do jej ust, ujął w obie dłonie jej piersi i wbił się w nią tak głęboko, jak tylko zdołał. Charity wydawało się, że została wyzwolona z własnego ciała, otoczona morzem różnorodnych barw, kolorów, które nie istniały w rzeczywistym świecie. Ta świetlna feeria pulsowała pod jej powiekami, kiedy ponownie niosła ją fala pożądania. Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, kiedy poczuła, że osiągnął w niej spełnienie.

- To magia - szepnęła.

- Tak, mój aniele. - Rane zsunął się z niej, wziął ją w objęcia

i przytulił do siebie. - Myślę tylko, że do tego trzeba było czegoś więcej niż rąk.

- Również serc?

- Tak. - Uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła ten uśmiech, przesuając palcem po jego pełnych, zmysłowych wargach. Rane Austen należał do niej, a ona należała do niego. Ucałował jej dłoń.

Po chwili oboje zapadli w sen.

Charity zbudziła się w jego ramionach. To było dziwne, a jednocześnie cudowne uczucie. Do pokoju wdzierało się światło księżyca. Patrzyła na uśpionego mężczyznę, który był władczy, a jednocześnie tak bardzo czuły.

Rane. Jego obecność, konieczność zajęcia się rannym, pozwoliła jej zapomnieć o własnym bólu i ukojiła rozpacz po śmierci ojca. Obudziła się w niej kobieta, która zaczęła odkrywać nieznane dotąd doznania i uczucia. On otworzył przed nią nowe perspektywy, nauczył ją cenić własną wrażliwość i chęć niesienia pomocy. A teraz wprowadził ją w magię nocy i magię... miłości. W tych cudownych chwilach dzieliła z nim nie tylko namiętność, lecz również uczucie, swoją miłość do niego. Dzieliła z nim również swoje szczęście.

Wyślizgnęła się z jego objęć i cicho przemknęła do holu. Był świt, babcia pewnie jeszcze spała. Powinna była już dawno opuścić jego sypialnię, ale zbudził się, kiedy wstawała z łóżka... i znowu się kochali.

Przebiegła przez hol i otworzyła drzwi swojej sypialni. Zatrzymała się w połowie drogi do łóżka.

Lady Margaret siedziała przy jej łóżku. W świetle poranka jej pobrużdżona twarz miała szary odcień, oczy były podkrążone z niewyspania. Przytrzymała końce szala, zarzuconego na nocną koszulę. Wstała z krzesła, patrząc na potargane włosy

Charity, obrzmiałe wargi i pogniecioną koszulę. Ale dopiero blask bijący z oczu wnuczki sprawił, że poczuła ucisk w piersiach. To były oczy zakochanej kobiety.

- Czy on... - Głos lady Margaret miał dziwnie ochryple brzmienie. - Czy on zaznajomił cię z magią nocy?

Na widok smutnych oczu babki Charity przygryzła wargę. To było o wiele bardziej bolesne, niż gdyby na nią nakrzyczała. Skinęła głową, nie mogąc wydobyć głosu.

- On to ma w swoich rękach, babciu - szepnęła - magię nocy. To wszystko, o czym mówiłaś... i o wiele więcej.

- Czy był dla ciebie dobry, moje dziecko?- Lady Margaret podeszła do wnuczki. Charity znów skinęła głową.

- Proszę cię, babciu, nie bądź na mnie zła.

Na twarzy starej kobiety ukazał się dziwny wyraz. Czy mogła zabronić wnuczce słodczy miłości? Łza spłynęła jej po policzku, przytuliła Charity do piersi i po chwili opuściła pokój, bez słowa.

Promienie wiosennego słońca i płynące z otwartego okna rześkie powietrze poprawiły już i tak wspaniałe samopoczucie Rane'a. Wyprostował ramiona, napawając się tym nowym, cudownym uczuciem. Nie odczuwał takiego zadowolenia od... do diabła, przecież jeszcze nigdy w życiu tak się nie czuł! A do tego ten piękny poranek- słońce, śpiew ptaków...

Idąc do umywalki, rzucił okiem na skotłowaną pościel na łóżku i na ten widok zabłysły mu oczy. Ona należała do niego. Była jego aniołem, jego kochanką, a wkrótce będzie jego żoną. Musi tylko przekonać do tego jej babkę.

Ogolił się, ubrał, wyczyścił buty i szedł do jadalni na śniadanie. Melwin poinformował go, że panna Charity już dawno wstała, i podał mu herbatę, owsiankę i świeże bułeczki

z masłem. Po śniadaniu skierował go do biblioteki, gdzie lady Margaret zajmowała się „księgami rachunkowymi”.

Rane wszedł do biblioteki i stanął przy biurku, czekając, aż starsza pani go zauważy. Kiedy podniosła na niego oczy zza okularów, zorientował się, że ona wie, w jakim celu przyszedł... i że to się jej wcale nie podoba.

- Lady Margaret, chcę porozmawiać z panią jako opiekunką Charity. Na pewno pani wie, że przez ostatnie dwa tygodnie dobrze poznałam pani wnuczkę...

- Cholernie dobrze - mruknęła, a on zaczerwienił się nagle.

- Darzę ją szacunkiem i mam powody, żeby przypuszczać, że ona...

- Wziął ją pan do swojego łóżka. - Lady Margaret zdjęła okulary i patrzyła na niego z wściekłością. Jego rumieniec pogłębił się jeszcze.

- Więc dobrze. - Rane postanowił odrzucić maniery dżentelmena i przejść od razu do rzeczy. - Chcę się z nią ożenić. Jestem zamożnym człowiekiem i nie mam żadnych zobowiązań, które mogłyby uniemożliwić małżeństwo. Mogę zapewnić jej odpowiedni poziom życia... - przesunął wzrokiem po zniszczonych meblach biblioteki - o wiele wyższy niż obecny.

Lady Margaret zaczęła się bawić się okularami, potem amuletem z półksiężycem.

- To niemożliwe. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Pan... pan się nie nadaje.

Rane patrzył na nią, osłupiały. Dotknęła jego najbardziej czułego miejsca, potraktowała go tak samo jak arystokratyczni ojcowie londyńskich debutantek. On się nie nadaje? Nawet tutaj, w tym na wpół zrujnowanym wiejskim dworze, nie był wystarczająco dobrym kandydatem na męża? Podszedł bliżej do biurka, kładąc zaciśnięte pięści na rozrzuconych papierach. Obudził się w nim prawdziwy „Buldog” Austen.

- Jestem utytułowany, mam dobre wykształcenie, jestem

porządny człowiekiem, który sporo zdobył w życiu... i da się na mnie patrzeć! Jakiego chciałaby pani dla niej męża... księcia Walii?

- Pan nie ma za grosz szczęścia. Jest pan najbardziej pechowym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam! - Lady Margaret nie ugięła się pod jego spojrzeniem.

Rane osłupiał. Szczęście? Ona się martwi jego przeklętym szczęściem?

- Co to, u diabła, ma do rzeczy? Gdyby nie postrzelono mnie w ten cholerny tyłek, nie zostałbym tutaj przyniesiony, nie poznałbym pani wnuczki i nie mógłbym starać się o jej rękę - jak widać, nie spotkał mnie żaden sakramencki niefart.

Lady Margaret miała taką minę, jakby tym samym poświadczyl jej obawy.

- Może pana coś złego spotkać... a to złamie jej serce.

- Obawia się pani, że szybko umrę? Zostanie wtedy bogatą wdową... - Przemknęło mu przez głowę, że babka może mieć rację, ale szybko odsunął od siebie tę myśl.

- Nic mi się nie stanie - stwierdził. - Pani wnuczka uważa, że doskonale się dla niej nadaje. Ożenię się z nią... będę miał z nią dzieci... będę cieszyć się życiem i dożyję obrzydliwie sędziwego wieku. Zrobię to albo z pani błogosławieństwem, albo bez niego. - Zreflektował się po chwili. - Jednak ze względu na Charity jeszcze raz zadam pytanie...

Lady Margaret dostrzegła wyraz uporu na jego przystojnej twarzy, błysk namiętności w pięknych szarych oczach i wiedziała, że ta sprawa wymknie się jej z rąk. Westchnęła ciężko.

- Jeśli ona się zgodzi, ja nie będę protestować.

**Rane wyszedł z salonu i postanowił od razu odszukać Charity.** Stary Melwin powiedział mu, że widział ją w ogrodzie warzywnym. Kiedy jej tam nie znalazł, wpadł na pomysł, żeby

zobaczyć, czy nie mają jej przy stajni. Przy okazji obejrzy swoje konie, które zostały przyprawione z miasteczka.

Jednak w stajni również jej nie było. Zatrzymał się przy wejściu i zobaczył, że ktoś wychyla się zza rogu. Jakiś mały, chudy, nędznie odziany mężczyzna przyzywał kogoś gestem ręki i zaraz zniknął za ścianą stajni.

Rane, sam nie wiedząc dlaczego, ruszył za nim. Kiedy wyjrzał zza rogu stajni, zobaczył dwóch mężczyzn, którzy oddalali się szybkim krokiem. Widać było, że się kłóca. Ten drugi miał worek podróżny przerzucony przez ramię. Krępy i chudy - już wiedział, kim są!

To ci dwaj łajdacy, którzy do niego strzelali! Rane zacisnął pięści. Poprzysiągł sobie, że ich znajdzie i się z nimi policzy. A teraz miał ich przed sobą. Ale co oni, do diabła, robią w Standwell?

Poszedł za nimi. Najpierw zniknęli wśród drzew, a potem zaczęli się wspinać kamienistą ścieżką, która prowadziła do wiszących nad zatoką skał. Potwornie bolała go noga i zraniony pośladek, ale nie zwracał na to uwagi. Doprowadzili go do wapiennej jaskini, której wejście było zamaskowane głazami.

Charity zobaczyła Rane'a w pobliżu stajen i wołała go z otwartego okna na piętrze domu, ale jej nie usłyszał. Widziała, że on czujnie coś obserwuje. Szybko zbiegła ze schodów, żeby się z nim spotkać. Jednak przy stajniach już go nie było. Zobaczyła go dopiero po chwili, piał się w górę ścieżką koło strumienia. Po co tam szedł? Dziwnie się również zachowywał, czasem przystawał i chował się za drzewem. Postanowiła pójść za nim.



## 13

Oparty o wilgotną ścianę jaskini, Rane słyszał ich przytłumione głosy, rozglądając się jednocześnie za czymś, co mogłoby posłużyć mu za broń. Przy wejściu stały stare, rozlatujące się beczki, wziął więc do ręki solidną klepkę.

Mężczyźni wysypali właśnie swój łup z podróżnego worka i rozmawiali przyciszonymi głosami. Rane zerknął do środka jaskini - była zamieszkała. Stał tam stół i stołki, na podłodze rozesłano słomę, na której leżały kołdry, zauważył też garnki i wiadra. Nie było żadnej broni. Zacisnął dłoń na kawałku drewna i wszedł do środka.

- To wy!- krzyknął. - Znalazłem was!

Odwrócili się szybko, szukając drogi ucieczki, ale jego potężna postać tarasowała im wyjście. Patrzył z satysfakcją na ich pobladłe, przerażone twarze.

- To on, Perc! - wyjąkał chudy mężczyzna, chwytając za rękaw swojego towarzysza.

- Tak, to ja - warknął Rane. - Pozwólcie, że się przedstawię, Rane Austen, wicehrabia Oxley, do usług. - Złożył im ironiczny ukłon. - Macie dziś szczęście, spotkaliście mnie, a za chwilę spotkacie swojego Stwórcę. - Zamachnął się kawałkiem drewna, zdążyli jednak uskoczyć i przycisnąć się do ściany.

- P...p... proszę, milordzie - wyjąkał Percy. - Nie wiedzieliśmy, kim pan jest.

- I nie chcieliśmy pana postrzelić - zaskomlił Gar. - To był pech, że trafiliśmy. Chcieliśmy pana tylko przestraszyć.

- Jeszcze nigdy w życiu nie trafiliśmy do celu. Chcieliśmy tylko, żeby pan zabrał swoje pieniądze i odjechał - ciągnął dalej Percy. - Nie mieliśmy już koniaku... nie mogliśmy go dostać... nie wiemy nawet, skąd on pochodzi. To dziedzic kupował i sprzedawał, a my tylko przewoziliśmy ładunek.

Widok ich przerażenia trochę powstrzymał Rane'a, chociaż nie powinien się wahać przed sprawieniem im dobrego lania. Postrzelili go przecież. Ale... co on mówił o...

- Dziedzic, on zginął przy ostatnim transporcie beczek. Ostatnimi czasy mieliśmy cholernego pecha - tłumaczył Percy

- Dziedzic? - Rane zrobił krok do przodu. - Dziedzic Standing? Upton Standing? Ojciec Charity? Należał do bandy przemytników?

- Ta banda to był tylko on i my - powiedział Percy. - A teraz zostaliśmy tylko my. Ale nie mamy już żadnej kontrabandy. Dziedzic bardzo potrzebował pieniędzy, a w tym nie było przecież nic złego, tylko paru facetów od podatków straciło trochę grosza.

- Kłamiecie, żeby uratować własną skórę! - Rane patrzył na nich z wściekłością. Szybko jednak ochłonał z gniewu. Jego nieomylny instynkt podpowiadał mu, że mówią prawdę. Jak widać, dziedzic Upton Standing, mądry, kochający ojciec Charity, prowadził podejrzone interesy. To go zdumiało.

- Nie chciałem trafić waszej lordowskiej mości - odezwał się Gar. - To wszystko przez pannę Charity. - Z trudem przełknął ślinę. - Wpadłem do otwartego grobu dziedzica, a przecież każdy wie, że facet, który wpadnie do grobu, będzie następnym nieboszczykiem. Jeszcze nie umarłem, ale już coś jest ze mną nie tak. Dlatego pana trafiłem.

- Tak się zawsze dzieje przy panie Charity. - Percy postanowił wesprzeć swojego kompana, a Gar przytaknął mu energicznym skinieniem głowy. - Znamy ją od małości i bardzo kochamy. Była dla nas jak córka. Ale ona ma tę nieszczęsną właściwość. To już było zapisane w księżycu, w dniu jej urodzin. Kłopoty i katastrofy ciągną się za nią jak własny cień... Ja sam w ciągu ostatnich czterech lat miałem rozwalony łeb i złamaną rękę. A Gar, stale coś mu się dzieje. Przez nią nie może się zbliżyć do koni.

- To absurd! - wykrzyknął Rane.

- Przysięgam, że to prawda! - powiedział Gar. - Ona ma anielski charakter i dobre serce, zawsze przynosi do domu bezdomne zwierzęta. Ale żadne z nich nie wyżyło, poza Wolfiem, a widział pan pewnie, jak on wygląda. A dziedzic, jej tato, nawet on nie uchronił się od kłopotów. Prawie każdego roku coś sobie łamał - a to rękę, a to obojczyk, a to nos. Stracił prawie wszystkie zwierzęta i część ziemi i musiał zająć się kontrabandą, żeby utrzymać dom.

- A ostatnio to nawet ze szmuglem było źle. Tej nocy, kiedy zginął, zgasły nam latarnie, była paskudna pogoda i statek nie mógł wpłynąć do zatoki. Musieli zostać na pełnym morzu... a bez tych latarni zaraz wpadliśmy na skały.

Stali bez ruchu, jeszcze raz przeżywając te okropne chwile - wzburzone morze, fale zalewające łódź, brak światła i żadnej nadziei.

Charity stała przy wejściu do jaskini. Zesztywniała, słuchając koszmarniej opowieści o śmierci ojca, za którą została obwiniona przez tych dwóch mężczyzn, traktowanych jak członków własnej rodziny. Nieszczęsną właściwość. Katastrofy i kłopoty, które ciągną się za nią jak cień. Miała uczucie, że stworzyła się jakaś ciemna otchłań, która pochłonęła to wszyst-

ko, na czym opierała swoje życie. Starła się jeszcze bronić, kiedy otrzymała śmiertelny cios. Latarnie... zgasły tej tragicznej nocy, łódź wpadła na skały a on zginął...

- Och nie - szepnęła. Przeszył ją ból tak silny, że ledwie zdołała wydostać się z jaskini.

Patrząc na tych dwóch nieszczęśników, ponownie przeżywających rozbić łodzi i śmierć współnika, Rane czuł, że złość powoli z niego wyparowuje. Widział wyraźnie, że są kompletnie ogłupiali. Może nie otrząsnęli się jeszcze z szoku po wypadku albo też poddali się całkowicie przesądom lady Margaret - trudno było powiedzieć.

Charity. Pomyślał o jej rozsądku, logicznym umyśle i dziękował Bogu, że w tym gnieździe przesądów Upton Standing zdołał zarazić Charity swoim pragmatyzmem i zdrowym podejściem do rzeczywistości. Nie przypuszczał, że Charity może nie wiedzieć, co się o niej mówi.

- Właściwość, która przynosi innym pecha? Nic takiego nie istnieje, do czorta, tak samo jak szczęście! - Odrzucił trzymane w ręce drewno i podszedł do nich, obrzucając ich morderczym spojrzeniem. - Posłuchajcie, nieszczęsne matołki, nie ma niczego takiego. Dobrze o tym wiem! Jeśli jeszcze raz usłyszę podobne kretyństwo z waszych ust, sprawię wam lanie, które zapamiętacie do końca swojego marnego żywota. - pochylił się nad nimi. - Macie się nie zbliżać do Standwell ani do Charity!

Skinęli tylko głowami, ledwie się trzymając na nogach ze strachu, a Rane szybko wyszedł z jaskini.

Charity biegła przez pola, oślepią łzami, z trudem łapiąc oddech. Po kilku minutach dotarła do lasu i instynktownie skierowała się do małej, kamiennej kaplicy. Kiedy znalazła się przy niej, była już całkowicie wyczerpana. Ostatnim wysiłkiem

pchnęła drzwi, ale były zamknięte na kłódkę. Odcięto ją od upragnionego miejsca schronienia. Postarał się o to komitet parafialny, żeby ochronić mało używaną kaplicę przed złodziejami. Charity osunęła się na próg.

Każdy oddech przeszywał bólem jej płuca, a każda myśl raniła serce. Wydawało się jej, że zalewają ją czarne fale, jak te, które zabrały jej ojca. Latarnie. Wszystkie wydarzenia tamtego wieczoru zaczęły przesuwac się przed jej oczami. Usłyszała, jak wiatr trzaska bocznymi drzwiami domu... Zobaczyła dwie płonące latarnie, które sama zgasiła. Sądziła, że Melwin reperował coś w sieni i zapomniał je zgasić. Pomyślała, że to było dziwne, zupełnie do niego niepodobne. Teraz już wiedziała. Gasząc latarnie, prawdopodobnie zdmuchnęła również życie swojego ojca.

Gar i Percy mówili, że ona ma tę okropną właściwość, która przynosi wszystkim nieszczęście, nawet tym, którzy najbardziej ją kochają. Ogarnęło ją przemożne poczucie winy. Teraz wreszcie wszystko zrozumiała.

Wiedziała już, dlaczego czuła jakąś dziwną odpowiedzialność za tych, którzy cierpieli. Odpowiedzialność połączoną z poczuciem winy - przecież ona zawsze miała szczęście, podczas gdy wszystkich dokoła spotykały katastrofy. Przez całe życie starała się ulżyć innym w cierpieniach, nieść im pociechę. Czy to możliwe, żeby sama była przyczyną tych nieszczęść?

Na tę myśl wszystko się w niej buntowało, ale logiczne rozumowanie, którego nauczył ją ojciec, przegrywało teraz walkę z ciemnymi mocami przesądów. Przypominała sobie po kolei wszystkie katastrofy: marne zbiory, choroby, wypadki. Kłopoty Gara z końmi, rozliczne złamanie ojca i jego problemy z dzierżawcami. Dlaczego ciągle się tłukła piękna porcelana babci? Czym można by tłumaczyć niechęć pszczoł do rozstawionych w majątku uli, zapalenie się dywanów od byle węgielka, spadanie naczyń z półek, kiedy tylko przeszła obok?

Wszystkie potłuczenia i upadki, jak upadek Gara do otwartego grobu. A postrzelenie Rane'a Austena?

Rane. Serce w niej zamarło. On uległ wypadkowi, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła... Przed jej oczami ukazał się nagle widok pędzących na nią karych koni. Wbiegła na drogę tuż przed powóz! To ona spowodowała ten wypadek! Charity zadrżała. Potem Gar i Percy go postrzelili, a kiedy znalazł się w Standwell, co chwila spotykało go jakieś nieszczęście. Upadał, kaleczył się, parzył, a jej nie przyszło nawet do głowy, że to się działo za jej przyczyną. Był bezpieczny tylko wtedy, kiedy trzymała go w ramionach... a może właśnie te chwile były jego największym nieszczęściem? Kiedy ją całował i pieścił?

Jej ojciec i Rane... obu ich kochała i przyniosła im zgubę. Jej ojciec nie żył, a Rane stale ryzykował życie... za jej sprawą. Niedługo on też zostanie jej zabrany, na pewno zdarzy się jakiś okropny wypadek. Zanim to nastąpi, będzie go prześladował pech, a ona będzie na to patrzeć, wiedząc, że to wyłącznie jej wina.

Jeśli rzeczywiście kocha Rane'a Austena, powinna zrobić wszystko, żeby był bezpieczny, nawet jeśli miałoby to oznaczać, że go utraci. Jeśli go kocha, musi go uchronić przed swoim zgubnym wpływem, odesłać gdzieś daleko, mając nadzieję, że nie jest na to zbyt późno.

Charity leżała na progu kaplicy, czerpiąc pociechę z jedynej rzeczy, której nie została pozbawiona tym koszmarnym odkryciem- nadal posiadała zdolność kochania. Kochając go, musi znaleźć siłę, żeby go od siebie odsunąć i żyć bez niego.

Jak jednak będzie mogła żyć, mając tę okropną pustkę w sobie... tam gdzie niegdyś było jej serce?

Rane zobaczył Charity dopiero wczesnym popołudniem. Schodziła właśnie ze schodów, była taka piękna - ze lśnącymi

blond włosami, nieskazitelną cerą i doskonałym owalem twarzy. Kochająca i zmysłowa - jego kobieta, jego miłość.

Spotkali się u podnóża schodów. Powitał ją z rozjaśnioną twarzą i ujął jej dłoń w swoją rękę.

- Szukałem cię przez całe przedpołudnie. Gdzie byłaś?

Nie czekając odpowiedzi, pociągnął ją do salonu, zaprowadził do stojącej przy oknie kanapy, chwycił w ramiona i zaczął całować.

- Usiądź, Charity - powiedział po chwili, chwytając ją za obie ręce. Kiedy usiadła na brzeжку kanapy, ugiął przed nią kolano.

- Szukałem cię wszędzie, mój aniele. Mam wspaniałą wiadomość. Rozmawiałem rano z twoją babcią, mówiłem jej o nas. Pozwoliła mi zwrócić się do ciebie.

Coś ją ścisnęło za gardło. Wiedziała, co teraz nastąpi. Ten moment, który miał być spełnieniem marzeń, przeszywał bólem jej serce.

- Panno Standing, musi pani wiedzieć, że darzę ją najwyższym szacunkiem i najgłębszym uczuciem.

Charity spojrzała na jego rozjaśnioną twarz i zapragnęła ulec pokusie, żeby zapomnieć o tym, co usłyszała w jaskini. Szybko odwróciła głowę.

- Miło mi to słyszeć, wasza lordowska mość, ale wołałabym już wstać. Złapał mnie skurcz.

Wstała, udając, że rozprostowuje nogę. Zdumiony Rane również podniósł się z klęczek.

- Charity, muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne. - Podszedł do niej, ujął i ucałował jej dłonie. - To dotyczy naszej przyszłości.

Charity zacisnęła zęby. Musi go odrzucić, powiedzieć, że nie chce zostać jego żoną, nie podając powodu. On nie wierzył w szczęście ani w pecha, więc nie uwierzyłby również w jej niszczyielską właściwość. Zaczęłyby ją namawiać, a ona nie

potrafiłaby mu się oprzeć. Musi uwierzyć, że ona naprawdę nie chce go poślubić.

- Jestem bogatym człowiekiem, Charity... a przynajmniej byłem nim dwa tygodnie temu. Nie mam zobowiązań w stosunku do nikogo. Chcę cię poślubić, jeśli wyrazisz na to zgodę.

Charity wysunęła dłonie z jego rąk i cofnęła się nieco.

- Wasza lordowska mość, z takich rzeczy nie powinno się żartować.

- Żartować? - Rane osłupiał. Nie był przygotowany na taką reakcję. - Zapewniam cię, Charity, że mówię całkowicie poważnie.

- A więc wasza lordowska mość otrzyma poważną odpowiedź. - Charity wyprostowała się i podniosła głowę, nie patrząc mu jednak w oczy. - Gdyby pan myślał rozsądnie, to sam by pan wiedział, że nie ma takiej możliwości.

- Nie ma moż... - Rane nie wierzył własnym uszom. - Charity?! - Chciał podejść bliżej, ale zatrzymał się, ponieważ ona zaczęła się cofać. - Proszę cię, żebyś wyszła za mnie za mąż, pojechała ze mną do Londynu... Została moją żoną, wicehrabiną - tłumaczył pośpiesznie. Gorączkowo szukał w jej twarzy oznak, które by zadały kłam jej chłodnej odmowie. Widział jednak, że ona mówi poważnie.

- Propozycja jego lordowskiej mości bardzo mi pochlebia, musi pan jednak wiedzieć, że nie mam żadnego posagu.

- Oczywiście, że o tym wiem. A ty musisz wiedzieć, że jedynym posagiem, jakiego mógłbym od ciebie oczekiwać, obdarzyłaś mnie ostatniej nocy.

- Przypominanie mi tego nie jest godne dżentelmena. - Oczy Charity pociemniały,

- A zapominanie o tym nie jest godne kobiety - odparował, zirytowany przebiegiem tej rozmowy. Opanował się szybko. - Charity, mój aniele, wybacz mi. Pozwól, że ci to wyjaśnię. - Chciał ją przytulić, ale odsunęła się od niego.



- Niewiele jest do wyjaśnienia, wasza lordowska mość, ale skoro pan nalega... Nie wyjdę, nie mogę wyjść za pana. Pan jest bogatym, wykształconym arystokratą, a ja zwykłą panienką ze wsi. Znam swoje miejsce, chociaż pan zdaje się o tym nie pamiętać. To byłoby... wysoce nieodpowiednie, wasza lordowska mość. Pan się nie nadaje na mojego męża.

Nie nadaje się. Znowu to przeklęte słowo, które tym razem padło z ust Charity. Po dwóch tygodniach, które spędzili razem i doznali tyle rozkoszy...

Widząc jej opuszczone oczy i wypływający na twarz rumieniec, pomyślał, że ona pewnie martwi się utratą niewinności i wydaje się jej teraz, że już przestała być pociągająca.

- Charity, nie ma powodu się wstydzić tego, co zdarzyło się w nocy. - Jego łagodny głos sprawiał jej niewymowny ból. - To dobrze, że się kochaliśmy...

- Pan mnie nie rozumie, milordzie. Ja nie chcę wyjść za mąż za pana... ani za nikogo innego. - To było jej pierwsze kłamstwo w życiu. Poczwała się okropnie.

- Chcesz, żebym w to uwierzył, po naszej ostatniej nocy? - Jego opaloną twarz pokrywał teraz rumieniec gniewu, a szare oczy pociemniały. Charity ścisnęło się serce.

- Ostatnia noc była... niefortunnym wydarzeniem.

- Niefortunnym? - Rane poczuł się tak, jakby uderzyła go w twarz. - Inaczej wtedy myślałaś. Przyszłaś z własnej woli do mojego łóżka, bo chciałaś, żebym się z tobą kochał. Chciałaś poznać magię nocy i pragnęłaś, żebym cię tego nauczył! - Urwał nagle. Nie zamierzał mówić o jej uczuciu do niego. Nie zniósłby, gdyby i temu zaprzeczyła.

- Kierowała mną ciekawość, a pan jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, milordzie. - Serce rwało się jej na kawałki, ale mówiła dalej. - To pana nie powinno dziwić. Niewątpliwie wiele kobiet uważa, że jest pan... interesujący... pod tym względem.

- Interesujący?! Do jasnej cholery! - Rane trząsł się z wściekłości.

- Jednak moja ciekawość nie ma wpływu na realną sytuację. To, co jest nieodpowiednie, nie przestaje takie być, wasza lordowska mość.

Serce jej się ścisnęło. Dojrzała w nim nagle małego, opalonego chłopczyka, który patrzył na nią z niedowierzaniem. Sprawiała mu ból.

Nieodpowiednie. To słowo w jej ustach miało zabójczą moc. Oznaczało, że on nie zasługuje na to, żeby mieć żonę, zdobyć szacunek i zaufanie. Był tylko atrakcyjną, przyjemną odmianą, a nie mężczyzną, któremu nieobce są uczucia. Czy troska, jaką mu okazywała, jej rozbudzone uczucia i zmysły - czy to wszystko było kłamstwem?

- Jedna noc... mi wystarczyła.

- Jedna noc, do pioruna? - Jedna noc z nim jej wystarczyła?

Sam nie wiedząc, co robi, przyciągnął ją gwałtownie do siebie, zamykając jej usta namiętym pocałunkiem, budząc w niej dawną tęsknotę. Nie odpychała go już, poddawała się mu cała. Należała do niego... ale on nie będzie nigdy należał do niej.

Rane poczuł słony smak na wargach. To były łzy. Przeraził się nagle.

- Charity, ja...

- Nie wyjdę za pana - wyszeptwała, cofając się do drzwi. - Jeśli szanuje pan uczucia mojej babki... również moje... - Z trudem przełknęła ślinę. - Opuści pan Standwell jeszcze dzisiaj. - Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem i wybiegła z salonu.

Rane stał bez ruchu. Odczuwał jej ból i obwiniął się za to, że sprawił jej cierpienie. Nie rozumiał powodu, dla którego go odrzuciła, nie wierzył jednak, że przyszła do jego łóżka z ciekawości czy też z potrzeby zmysłów. Była przecież taka

czuła, tak bardzo szczerą. Dzisiaj zobaczył zupełnie inną osobę, prawdziwą „dame”, od czego Charity się zawsze odżegnywała.

A on dał się ponieść wściekłości, jakby jej winą były niepowodzenia wszystkich jego planów małżeńskich. Mógł z nią przecież spokojnie porozmawiać, zachować się jak dżentelmen. Ciężko wypracowana kontrola nad wybuchowym temperamentem zawiodła go w tak ważnej chwili.

Stracił ją, nie wiedząc nawet dlaczego.

Nagła decyzja wicehrabiego o wyjeździe wywołała popłoch w całym domu. Melwin wysłał jednego ze swoich wnuków do Morteheo po powóz, spakował kufer jego lordowskiej mości i zniósł go na dół. Rane podziękował lady Margaret za opiekę, wręczył jej czek na okazałą kwotę, chociaż protestowała.

Stephenson, który nie chciał zostać w Standwell bez swojego pana, został również sprowadzony do powozu. Rane, ze ściągniętą bólem twarzą, pożegnał się z lady Margaret, Melwinem, Bernadette, a nawet z Wolframem, który kręcił się koło powozu. Kiedy wsiadł, rzucił lady Margaret ponure spojrzenie i prosił ją, żeby pozdrowiła od niego pannę Charity. Ujął lejce i powóz ruszył.

Charity obserwowała tę scenę z okna pokoju, który zajmował Rane po przywiezieniu go do Standwell. Tłumaczyła sobie, że właśnie tak należało postąpić, że jej czyn dyktowała wyłącznie miłość. Jednak te perswazje nie potrafiły uwolnić jej od cierpienia. Odjechał, zabierając ze sobą jej serce.

Lady Margaret znalazła ją w tym pokoju, siedzącą na łóżku z opuszczoną nisko głową. Stanęła obok wnuczki, patrząc na nią z wyrazem głębokiej troski.

- Prosił, żebym mu pozwoliła odbyć z tobą rozmowę... i chyba to zrobił - powiedziała.

- Tak - szepnęła Charity.
- I co?
- Odmówiłam mu. - Charity wstała i wyszła z pokoju.

Jednak jeszcze tego samego wieczoru lady Margaret dowiedziała się wszystkiego. Tym razem zastała Charity w dawnym pokoju ojca, ostatnio zajmowanym przez Rane'a. Jej wnuczka obwieszona była amuletami.

- Opowiedz mi o księżycu, babciu - odezwała się smutnym głosem. - Powiedz mi o księżycu w noc mojego urodzenia.

Lady Margaret osunęła się na stojące najbliżej krzesło. Katastrofa, którą wyczytała z tarczy księżyca w pełni, nie była tym, czego się spodziewała. Była czymś o wiele gorszym!

Charity dowiedziała się o wiszącym nad nią fatum.

## 14

Gościniec, którym Rane jechał do Londynu, był w kiepskim stanie, a przydrożne karczmy bardzo zatłoczone, on jednak nie zwracał na to uwagi. Miotły nim sprzeczne uczucia: złość, przygnębienie, tęsknota, a przede wszystkim oszołomienie wywołane tak niespodziewaną reakcją Charity na jego oświadczenia. Denerwował go też Stephenson, który nie przestawał mówić o lady Margaret i panie Charity. Dojechali wreszcie do Londynu.

Rane skierował się wprost do swojego domu przy St. George Square, na West Endzie. Kiedy podjechał pod wejście do rezydencji, zobaczył wychodzących z domu obok gości. Nie był to dla niego przyjemny widok. Hrabina Swinford, która od trzech lat była jego najbliższą sąsiadką, codziennie przyjmowała w swoim salonie eleganckie towarzystwo Londynu, nie reagując na składane przez niego bilety wizytowe. Wydawało mu się, że czuje na plecach ironiczne spojrzenia, kiedy podpierając się laską, kuśtykał do drzwi, w zniszczonym ubraniu i zabłoconych butach.

Stanął przed wspartym na kolumnach wejściem, czekając, aż mu ktoś otworzy drzwi, ale nie pojawił się ani lokaj, ani kamerdyner. Stał na progu własnego domu, jak nieproszony gość, wreszcie sam pchnął drzwi.

Zdumiał go widok ogromnej ilości bagażu w jego przestronnym, pięknym holu, z marmurową podłogą i kryształowymi żyrandolami. Na górę prowadziły rzeźbione, mahoniowe schody. Po chwili usłyszał zbliżające się głosy.

Pierwsza weszła do holu starsza dama w szarej jedwabnej sukni i ze wściekłą miną. Jej złość skierowana była na Eversby'ego, kamerdynera Rane'a, który wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Lokaj i jego pomocnik kryli się za drzwiami. Rane patrzył na tę scenę rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

Lady Catherine Austen, wdowa po wicehrabim Austen, obrzuciła wnuka niechętnym spojrzeniem.

- Powiedz temu idiocie, żeby wniósł moje rzeczy na górę! Leżą tu już cały dzień. To skandal!

- Wasza lordowska mość! - Eversby podbiegł do Rane'a, patrząc ze zgrozą na jego nieporządny strój i laskę. - Czy dobrze się pan czuje, milordzie? Dostaliśmy wiadomość, że przyjedzie pan nie wcześniej niż za tydzień...

- Moja rekonwalescencja przebiegała nadspodziewanie dobrze, więc postanowiłem wrócić wcześniej.

Rozmowa z kamerdynerem pomogła mu otrząsnąć się z szoku spowodowanego widokiem jego władczej babki. Przesunął wzrokiem po stertach bagażu... zapowiadało się na długą wizytę. Babka patrzyła na niego ze złością - ośmielił się rozmawiać z kamerdynerem, pomijając ją.

- Postanowiłam przyjąć twoje zaproszenie i przyjechać z wizytą, Oxley - oświadczyła, wysuwając się do przodu.

Co prawda, zapraszał ją przed pięcioma laty, ale przez ostatnie dwa nie utrzymywali żadnych kontaktów. Musiała się pojawić akurat teraz, kiedy nie miał ochoty nikogo oglądać.

Chyba wyczytała te myśli z jego twarzy, bo pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Uznałam, że już najwyższy czas, żeby odwiedzić wnuka i odnowić więzi rodzinne.

A więc przybyła na inspekcję, pomyślał. Diabelnie długo zwlekała. Kiedy starał się zdobyć jej względy, zaraz po przyjeździe do Anglii, potraktowała go z góry, jak jakiegoś pariasa. Później zdobył majątek i zaczął się znowu starać o jej przychylność, chcąc nawiązać zerwane więzi rodzinne i poznać jej wpływowych znajomych. Został ponownie odrzucony, a nawet, przy jakiejś towarzyskiej okazji, otwarcie przez nią zbojkotowany. Nic więc dziwnego, że nie został zaakceptowany przez wytworne towarzystwo. Jak widać, teraz chciała dać mu szansę...

- Przepraszam, wasza lordowska mość, ale bez pana rozkazu nie chciałem... - powiedział speszony Eversby.

- Doskonale cię rozumiem - odrzekł Rane. - Dopilnuj, żeby wniesiono te rzeczy na górę. Stephenson został w powozie. Trzeba go zaprowadzić do jego pokoju. - Dopiero po chwili zwrócił się do babki: - Witam, lady Catherine. Proszę mi wybaczyć, ale miałem bardzo męczącą podróż.

Kazał przygotować gorącą kąpiel i klucząc pomiędzy stertami bagaży, wszedł na schody. Nagle wpadła mu pod nogi jakaś biała kula. Stracił równowagę i na pewno by się przewrócił, gdyby nie laska, którą dostał od Charity. Zobaczył tłustego białego kota, który wygiął grzbiet i parskał na niego ze złością.

- Tu jesteś, moje maleństwo. - Lady Catherine weszła na schody, chwyciła tę wściekłą bestię w ramiona i spojrzała z wyrzutem na Rane'a. - Ten twój kamerdyner nie chciał wziąć pod uwagę faktu, że Caesar wymaga specjalnego karmienia: ryb i placków z nadzieniem z kurczaka. Dlatego zrobił się taki nerwowy.

Rane wykapał się, przebrał i natychmiast kazał postawić powóz. Pojechał wprost do biura. Cokolwiek miałyby tam zastać, nie mogło równać się z zamieszaniem, jakie zapanowało

w jego domu za sprawą babki i jej przekłętą kota. Przemknęła mu przez myśl Charity, przydałaby się teraz jej kojąca obecność. Zaciśnął zęby i postanowił o niej nie myśleć.

Jego biuro mieściło się w handlowej dzielnicy Londynu. Kiedy wszedł, zobaczył Addisona, urzędnika, który był jego prawą ręką, próbującego wytłumaczyć wściekłym odbiorcom, dlaczego nie dostaną francuskiego koniaku. Rane musiał spędzić całe popołudnie na negocjacjach, starając się ich udobruchać.

Czuł się wyczerpany, bolała go noga, zgodził się jednak przyjąć jeszcze jednego interesanta. Był to nieznany mu mężczyzna, o okrągłej twarzy, cichym głose i miłym sposobie bycia. Okazało się, że jest prawnikiem, reprezentującym interesy firm Markum, Baegley i Billforthing. Zanim przeszedł do sprawy, wyraził najpierw podziw dla eleganckiego wystroju biura Rane'a.

Powiedział, że występuje w imieniu różnych firm handlowych, również odzieżowych, o których Rane nigdy przedtem nie słyszał. Przedstawił mu całą stertę rachunków i bardzo uprzejmie domagał się zapłaty. Rane osłupiał. Wziął do ręki pierwszy rachunek, potem następny, patrząc na nie z niedowierzaniem. Rękawiczki? Koronki, wina, broszka z rubinem od jubilera jego królewskiej mości... dwa tuziny damskich bucików... kosztowny wazon i rzeźby z kości słoniowej?

Na każdym rachunku widniał napis, skreślony niewątpliwie kobiecą dłonią: Proszę zwrócić się o zapłatę do wicehrabiego Oxley, St. George Square, Londyn.

Był zdumiony. Kto to mógł być? Fanny? Wydawałaby jego pieniądze i ogłaszała wszem i wobec o ich związku, przysyłając rachunki na jego adres? To nie było w jej stylu ani w ich umowie. Fanny sama utrzymywała swój dom, on hojnie ją finansował i dawał prezenty. Przeglądał rachunki ze ściągniętymi brwiami. Kapelusze, jedwabne zasłony!

Po chwili dojrzał podpis. Nie wierzył własnym oczom -



lady Catherine Austen, wicehrabina Oxley. Patrzył rozszerzonymi oczami na stertę rachunków na biurku. Ta stara wiedźma wykupiła pół miasta na jego konto! Dobrze zaplanowała tę swoją „wizytę”.

- To są rachunki na kilkaset funtów! - stwierdził.

Prawnik pokiwał ze współczuciem głową i wyjął karteczkę, na której wyliczył pełną sumę.

- Dokładnie pięćset siedemdziesiąt trzy funty, sześć szylingów i dziewięć penów, wasza lordowska mość.

- Dobry Boże! - westchnął Rane. Powinien się być domyśleć, że wizyta babki będzie go drogo kosztować.

Zanim uporał się z przekazaniem pieniędzy ze swojego konta, miał okazję dowiedzieć się czegoś więcej o nieliczącej się z jego pieniędzmi babce. Ze słów prawnika wynikało, że zaszczyciła Rane'a swoją obecnością tylko dlatego, że nie miała już własnych środków.

Wreszcie został w biurze sam. Siedział w fotelu z poczuciem, że dźwiga na barkach zbyt wielki ciężar. Zatęsknił za dotykiem delikatnych kobiecych rąk, za ciepłym wzrokiem Charity... Wstrząsnął się nagle. Musi dać sobie wreszcie z tym spokój. Ale co ma zrobić?

Potrzebna mu była zwyczajna kobieta, która nie wzniecałaby w nim żadnych gwałtownych uczuć i której uśmiech nie przenikałby mu do głębi duszy, z którą mógłby się kochać tylko dla przyjemności. Fanny.

Chwycił kapelusze i kazał podstawić powóz. Zetrze z siebie pamięć dotyku Charity Standing... jeśli będzie to możliwe.

Miedzianowłosa Fanny Deering była młodą wdową po starszym dżentelmenie z hrabstwa Suffolk. Mieszkała obecnie w Chelsea. Rane Austen nie był jedynym mężczyzną w jej życiu, ale był najważniejszym, a jego pieniądze były głównym

źródłem jej utrzymania, na wysokiej zresztą stopie. Wiedział o tych innych i nie miał nic przeciwko temu. Byli to ludzie z towarzystwa, a ich okazjonalne wizyty nie kolidowały z jego stałymi odwiedzinami.

Zaabsorbowany swoimi małżeńskimi planami i wkupowaniem się w łaski elity, nie widział Fanny od przeszło dwóch miesięcy. Nie zawiadomił jej nawet o swoim wypadku. Powinien kupić jakiś kosztowny prezent, żeby ją ułagodzić. Postanowił pojechać z nią następnego dnia na zakupy.

Obraz szaroniebieskich oczu Fanny, jej pełnych ust i dużych piersi został natychmiast przyćmiony przez wspomnienie złocistobrazowych oczu i alabastrowej skóry Charity. Poczował nagły przypływ pożądania. Zanim jednak dojechał do mieszkania Fanny, zdołał uspokoić wzburzone zmysły.

Odesłał powóz i wszedł na prowadzące do jej apartamentu schody. Zastukał do drzwi, ale nikt nie otwierał. Co się, u diabła, dzieje? Jeśli Fanny nie ma w domu, to powinna mu otworzyć służąca. Zastukał ponownie, czerwony ze złości. Już miał odejść, kiedy usłyszał na schodach kroki właścicielki.

Dopadła go, zdyszana, z listem w ręku.

- Wasza lordowska mość! Nie zauważyłam powozu, bo zatrzymałabym pana na dole. Pani Deering już tu nie mieszka. Zostawiła dla pana list.

„Najdroższy Oxley - przeczytał. - Proszę cię, nie myśl o mnie źle. Jednak, po namyśle, przyjęłam, złożoną mi przez pana Trevora, propozycję małżeństwa i wyjeżdżam do Southampton”.

Rane był zdumiony. Fanny wyszła za męża?! Wpadł do jej ogołoczonego już z mebli mieszkania, przechodząc z pokoju do pokoju i nigdzie nie znajdując po niej żadnego śladu, poza słabym zapachem perfum w sypialni. Poczował się oszukany. Porzuciła go dla grubego, starszawego kupca bławatnego!

Wyszedł na ulicę, trzymając zgnieciony list w dłoni. Jednak

po chwili zatrzymał się pod latarnią, żeby przeczytać go do końca.

„Proszę cię, zrozum mnie.

Tak długo cię nie było.

Ja nie narzekam, byłeś dla mnie niezwykle hojny. Ale kobieta w moim wieku... towarzysza..."

Jego miedzianowłosa kochanka porzuciła go, żeby mieć z kim rozmawiać!

Pogrążony w myślach, zatrzymał się na rogu ulicy. Fanny chciała czegoś więcej od życia, a on, zanim poznał Charity Standing, nie wiedział nawet, że może istnieje coś „więcej”. Wspomnienie Charity uciszyło jego gniew, ale pogłębiło frustrację. Nie chciał przywoływać tych wspomnień, nie potrafił jednak wyrzucić ich z serca i nie przestawało go dręczyć pytanie dlaczego?

- To chyba prawda - jęknął - że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej.

I rzeczywiście tak było. W biurze bez przerwy nękali go wierzyciele babki, a kiedy chciał schronić się w domu - było jeszcze gorzej.

Lady Catherine wtrącała się do wszystkiego; począwszy od posiłków, twierdząc, że on je zbyt dużo surowych owoców, a skończywszy na niewłaściwym, według niej, umeblowaniu salonu. Jej ulubieniec, Caesar, też dawał mu się we znaki. Rane zaczął spędzać popołudnia w klubie.

Uświadomił sobie, że jego stara, władcza babka nie ma najmniejszego zamiaru uznać go publicznie za członka rodziny. Minał już tydzień, a ona nie napomknęła nawet o żadnym zaproszeniu, które mogłaby dla niego zdobyć. A najgorsze było to, że już mu na tym nie zależało. Zagubił gdzieś swoje małżeńskie i towarzyskie ambicje, zagubił serce... w Devon.

Czy mogłoby być gorzej? Jego interesy pogrążone były w chaosie, nad niczym już nie panował. Nie mógł mieć kobiety, której pragnął, a nie zanosilo się, by pozbyć się kobiety, której nie cierpiał. W jego domu śmierdziało kocimi siuszkami. Do czego to, u czorta, doprowadzi?

Może lady Margaret miała rację. Może rzeczywiście był najbardziej pechowym facetem na tej ziemi.

Proszę się tym nie przejmować, baronie - powiedziała Charity, patrząc na rozsypane kawałki babcinej porcelany. Były to ostatnie sztuki serwisu, ręcznie malowana filiżanka i spodek.

Zażenowany Pinnow, usiłował opuścić obandażowaną nogę, którą trzymał na krześle, żeby pozbiierać skorupy.

- Ja to zrobię - oświadczyła. - Proszę nie zapominać o swoim chorym kolanie.

- Tak mi przykro, panno Charity. Lady Margaret, sam nie wiem, co się ostatnio ze mną dzieje. Wszystko leci mi z rąk.

To prawda, pomyślała z satysfakcją Charity. Ma pecha ten obrzydliwy, lubieżny baron, który, gdy tylko babka wychodziła z pokoju, próbował ją obmacywać swoimi śliskimi łapskami. Pohamowało go dopiero paskudnie stłuczone kolano, efekt gwałtownego ataku Wolfa.

Lady Margaret już od tygodnia obserwowała niefortunne zaloty barona i stwierdziła, nie bez satysfakcji, że zaczęły go gnębić różne przypadłości. Stłuczone kolano, palec zraniony przy poprawianiu siodła i złamany łokieć, skutek upadku z drabiny. Zniszczył eleganckie buty, nowe siodło, jego wierzchowiec okulał, a teraz stłukł ostatnie sztuki jej porcelany.

Jednak ani Charity, ani jej babka nie wiedziały, że barona czeka jeszcze prawdziwa katastrofa. Nie mówił nikomu o tym, że ma się odbyć kontrola administratorów okręgów. Otrzymał

list z informacją, że królewscy audytorzy pojawią się za dwa tygodnie, żeby sprawdzić jego księgi rachunkowe i ocenić jakość pracy na przydzielonym terenie. Z księgami potrafił sobie poradzić, umiejętnie tuszując niedobory, ale o wiele trudniej było ukryć „pożyczki”, których udzielał sobie z podatków, oraz bezprawne zajmowanie nieruchomości. Zrozumiał, że nadszedł czas, aby wycofać się z życia publicznego.

Małżeństwo byłoby najlepszym powodem rezygnacji ze stanowiska. Zaczął więc starać się o rękę Charity Standing ze zdwojoną energią. Nie miała majątku, ale była dziewczyną godną pożądania.

Poprosił Charity, żeby odprowadziła go do stajni, gdzie zostawił konia, ale gdy tylko wyszli z domu, pociągnął ją w inną stronę. Ogarnęła ją wściekłość, kiedy poczuła jego ręce na swoim ciele. Nienawidziła jego dotyku i lubieżnego wzroku. Najbardziej jednak martwił ją fakt, że nieszczęśliwe wypadki barona sprawiały jej radość. Odbywała się w niej jakaś przerażająca zmiana... pozbawiając ją ludzkich uczuć, wyziębiając serce.

Pograżona w myślach, nie zauważyła, że baron sprowadza ją ze ścieżki. Niespodziewanie przycisnął ją do drzewa. Chciała go odepchnąć, ale chwycił ją za nadgarstki i zdołała się tylko uchylić przed jego pocałunkiem.

- Udajesz nieśmiałą. Uwielbiam te zabawy. - Roześmiał się głośno.

Odnalazł jej wargi, wepchnął nogę pomiędzy kolana, a ona zadrżała z obrzydzenia.

- Wiem, że się trochę zabawiałaś z jego lordowską mością, moja śliczna. Nie udawaj, że szokuje cię dotyk męskich rąk.

Na wspomnienie cudownych, delikatnych pieścizot Rane'a zalała ją nagła fala rozpacz. Pocałunki barona napawały ją obrzydzeniem, a Rane... Pograżona w bólu nie czuła nawet dotyku rąk obrzydliwego barona.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś zmysłową dziewczyną-

mówił.- Nie przeraża mnie fakt, że nie masz pieniędzy. Wezmę w posagu Standwell, doprowadzę go do kwitnącego stanu i będę kupować ci najpiękniejsze suknie. Wyjdiesz za mnie, prawda?

Charity spojrzała na niego i po raz pierwszy w życiu odczuła potrzebę skrzywdzenia drugiego człowieka. Słowa, które wypowiedziała, płynęły z nienawiści i pogardy.

- Tak, wyjdę za pana. Ale ślub musi odbyć się szybko. Od dziś za tydzień.

Nie potrafiłaby dłużej znieść tego koszmarnego oczekiwania. Jej warunek uradował barona. Nieporządek w księgach i w biurze zostanie przypisany rozkojarzeniu pana młodego. To była idealna wymówka!

Po jego odjeździe Charity zaniósła tę nowinę babce. Lady Margaret nie wierzyła własnym uszom. To niemożliwe, żeby jej wnuczka naprawdę pragnęła mieć tego zarozumiałego chudzielca za męża.

- Co się stało, moje dziecko? - spytała. - Czy on... zrobił ci krzywdę? - Charity potrząsnęła głową.

- Nie chciałaś wyjść za wicehrabiego, a wyjdiesz za barona. Nie rozumiem tego. Jestem pewna, że nie chcesz go poślubić.

- Nie. - Charity popatrzyła na babkę, a w jej oczach widoczne było cierpienie.

- Więc... dlaczego?

- Bo on jest najpodlejszym człowiekiem, jakiego znam, i zasługuje na żonę taką jak ja. - Z tymi słowami Charity wybiegła z pokoju.

Starsza dama załamała ręce. To była prawdziwa katastrofa. Zaszokowała ją też gorycz w gniewnym głosie Charity. Jej wnuczka wiedziała, że ciąży nad nią fatum i chciała wyjść za barona w nadziei, że sprowadzi na niego nieszczęście! Lady Margaret wielokrotnie szukała okazji do rozmowy, żeby ją pocieszyć, ale wnuczka unikała z nią kontaktu.

Dopiero teraz w pełni zrozumiała destrukcyjną moc złowieszczej skazy. Dotychczasowe kłopoty wydały się jej mało ważne w porównaniu z tym, co teraz dręczyło jej ukochaną wnuczkę.

Lady Margaret przeżyła tyle lat, ukrywając tę tajemnicę tak głęboko w sercu, że się prawie z nią zżyła, zajmując się swoimi amuletami i odczynianiem uroków. Nigdy nie pomyślała o tym, jaki szok mogłaby przeżyć Charity, gdyby się dowiedziała, że ponosi odpowiedzialność za nieszczęścia otaczających ją osób, nawet tych, które kocha. Teraz uświadomiła sobie, że była zbyt zaabsorbowana wszystkimi drobnymi kłopotami, żeby zastanowić się nad mogącą nastąpić prawdziwą katastrofą... która zniszczy wspaniałego ducha jej wnuczki.

Łzy spływały jej po policzkach, miała głębokie poczucie winy. Starła się uchronić Charity przed Rane'em Austenem, a teraz wnuczka chce zmarnować życie, wychodząc za mąż za człowieka, którego nienawidzi. Z wicehrabią mogłaby zaznać trochę szczęścia.

Doznała nagłego olśnienia: Charity odrzuciła Rane'a Austena, żeby uchronić go przed swoją zgubną aurą! Żeby go ocalić, złamała mu serce... Lady Margaret nie mogła pozwolić, żeby Charity zrujnowała sobie życie, a także życie tego obrzydłego barona, żeby jej czuła, kochająca wnuczka stała się zgorzkniałą, twardą kobietą. Trzeba temu przeciwdziałać. Ale czy zdobędzie się na tyle odwagi, żeby ingerować w zrządzenie losu? Jednak, przede wszystkim, musi ratować Charity!

Lady Margaret wezwała Gara i Percy'ego. Posadziła ich przy kuchennym stole i zaczęła wydawać rozkazy.

- Musicie jechać do Londynu - oświadczyła. - Musicie odnaleźć wicehrabiego i powiedzieć mu, że ślub Charity z baronem odbędzie się w następny piątek. Musicie mu też powiedzieć, że przekazujecie mu moje specjalne zaproszenie.

Gar i Percy spojrzeli po sobie zdumieni. Sami nie wiedzieli, co było bardziej szokujące, czy ślub panny Charity z tym

niewydarzonym baronem, czy perspektywa jazdy do Londynu i przekazanie tych nowin ich niedoszłej ofercie.

- Nie możemy tego zrobić, milady - odezwał się Gar. - Jego lordowska mość powiedział, że nie mamy prawa pokazywać mu się na oczy, bo się z nami policzy! A... a myśmy nigdy nie wyjeżdżali poza Devon.

Lady Margaret popatrzyła na niego surowym wzrokiem. Percy pospieszył z odsieczą.

- Jak my się tam dostaniemy?

- Końmi - odpowiedziała lady Margaret.

- Końmi? - przeraził się Percy.

- Wynajmę jakiś powozik i zaprzęgnie się do niego konie jego lordowskiej mości. Chyba są szybkie. Miał po nie przysłać, więc powiecie, że sami je przyprowadziliście - tłumaczyła, nie zważając na ich przerażenie. - Musicie to zrobić dla Charity, wszyscy musimy coś zrobić, żeby nie wyszła za barona i nie zniszczyła sobie życia!

- Ale... konie - wyjąkał Gar.

Chciał wysunąć jeszcze jakiś argument przeciwko tej podróży, ale zamilkł, widząc, jak lady Margaret robi jeden ze swoich cygańskich znaków. A ten, jak obaj wiedzieli, miał wyjątkowo silne działanie. Musieli przystać na jej żądanie.

- No cóż, i tak mam umrzeć - powiedział Gar.



Podróżnych, którzy znaleźli się wczesnym rankiem na londyńskim gościńcu, czekał zdumiewający widok pędzącej na złamanie karku dwukółki, ciągniętej przez dwa silne kare konie. Jakaś drobna postać trzymała kurczowo lejce, a druga patrzyła przed siebie przerażonymi oczami. Pojazd nie zatrzymywał się przy przydrożnych karczmach, widać było, że powożący nie panuje nad końmi.

Wreszcie konie się zmęczyły, zjechały na pobocze, przeszły w stępa i po pewnym czasie zatrzymały się z własnej woli nieopodal domku jakiegoś farmera. Gar i Percy zsunęli się z dwukółki, półprzytomni ze strachu i zmęczenia. Następnego rana, po nocnym odpoczynku, ruszyli w dalszą drogę. Percy powoził, a Gar siedział skulony z tyłu.

W dwa dni później znaleźli się na St. George Square, budząc zdumienie eleganckich przechodniów, których pytali o drogę. Stanęli wreszcie przed drzwiami imponującej rezydencji wicehrabiego Oxley. Otworzył im lokaj, któremu zaczęli nieskładnie wyjaśniać cel swojej wizyty. Po chwili pojawił się kamerdyner, musieli więc powtórzyć swoją opowieść, w końcu nadeszła lady Catherine, która kazała wyrzucić ich za drzwi.

Ale oni nie przyjechali do Londynu, narażając się na rozliczne

niebezpieczeństwa, żeby teraz zrezygnować z wypełnienia swojej misji. Podnieśli wrzask, który dotarł nawet do gabinetu Rane'a, a ten szybko zszedł na dół, żeby zobaczyć, kto zakłóca mu spokój.

To wy? - ryknął. - Co tu, u diabła, robicie?

- Plotą coś o koniach - wtrąciła lady Catherine. - To jacyś żebracy. Wyrzucicie ich! - Popatrzyła na służących surowym wzrokiem.

- Wasza lordowska mość - powiedział szybko Percy. - Przyprawiliśmy pana konie. Z rozkazu lady Margaret.

- Kazała nam też powiedzieć... - wyjąkał Gar. - Kazała nam zaprosić pana... specjalnie zaprosić...

Zamilkł, nie śmiejąc dokończyć zdania.

- Przyprawiliście moje konie? - powtórzył Rane. Jak te dwa nieszczęsne stwory dały sobie radę z tak silnymi końmi? - pomyślał. Obaj wyglądają okropnie. A lady Margaret kazała go zaprosić...

- Zaprosić mnie? Z jakiej okazji?

- Na... - Percy z trudem przełknął ślinę - ślub panny Charity.

- Charity co? - Rane zeszywniał nagle.

- Jej ślub - wykrztusił Gar. - W piątek wychodzi za mąż za barona Pinnowa. A lady Margaret jest zrozpaczona, bo nie może jej przekonać, żeby tego nie robiła. Więc posłała nas, żebyśmy zaprosili pana na ślub.

Rane patrzył na nich, nic z tego nie rozumiejąc. Charity? Wychodzi za mąż za barona? Ogarnęła go wściekłość. A na dodatek ta starucha ma czelność zapraszać go na ślub!

- Niech to szlag! Pinnow? Dlaczego, u diabła, miałyby wychodzić za niego za mąż? - ryknął. A nie za mnie, dodał w duchu.

Ten nagły wybuch wściekłości wicehrabiego dodatkowo przestraszył wysłańców. Zbledli i przysunęli się do siebie.

- Lady Margaret mówi, że ona... nie chce wyjść za niego za mąż - wyjąkał Percy.

- Oczywiście, że nie chce, ona kocha mnie!

Kiedy wykrzyczał te słowa, uświadomił sobie, że są prawdziwe. Całymi dniami zastanawiał się, dlaczego go odrzuciła, próbował o niej zapomnieć, żeby uśmierzyć swój ból. Dopiero teraz, pod wpływem tak niespodziewanej nowiny, wyrzucił z siebie te słowa i rozjaśniło mu się w głowie.

Przed jego oczami pojawił się obraz Charity, która się uśmiecha do niego, dotyka go, pomaga mu, bez fałszywego wstydu przychodzi do jego łóżka i każdym pocałunkiem i każdym dotknięciem obdarza go swoją miłością.

Oddała mu serce, oddała mu siebie. Nie ma nic do oddania innemu mężczyźnie! Poczul nagły przypływ rozpacz. Ona kocha jego, a wychodzi za mąż za barona?

Jeszcze czego! On nie odda jej temu głupiemu baronowi! Ołśniła go nagła myśl. Starsza dama nie zaprosiła go po to, żeby uczestniczył w ceremonii zaślubin, tylko po to, żeby nie dopuścił! Pospiesznie zebrał myśli. Piątek? Dobry Boże - dziś jest środa!

- Wynajmij dobry powóz i czwórkę szybkich koni - rozkazał kamerdynerowi. - Zajmij się też tymi dwoma, daj im jeść i pić.

*O co tu chodzi?* - Lady Catherine patrzyła na niego z dezaprobatą. - *Dokąd się wybierasz?*

- Do Devon, żeby nie dopuścić do ślubu.

- Chyba... chyba się nie ośmielisz!

- Na pewno to zrobię! Sam chcę poślubić pannę młodą!

Charity patrzyła przez okno swojej sypialni na szary, tonący w deszczu krajobraz. W najgorsze dni w jej życiu zawsze padał deszcz. Dzisiaj był dzień jej ślubu - ta pogoda była zapowiedzią ponurych lat małżeństwa. Wyprostowała się, wygładziła swoją czarną suknię i wyszła z pokoju - ostatni raz jako Charity Standing.

Lady Margaret stała u szczytu schodów, jej twarz nosiła ślady bezsennych nocy, a zarzucony na ramiona szal był wilgotny od deszczu - co chwila wchodziła na wieżę, wypatrując wicehrabiego. Była przekonana, że przyjedzie, żeby ocalić jej wnuczkę, nie wątpiła, że zależy mu na Charity. Ale teraz nie była już tego tak pewna.

Charity podeszła do niej, unikała jednak jej wzroku. Patrzyła na zawieszony na szyi babki amulet z półksiężycem.

- Nie zmieniałaś zdania? - szepnęła Charity. - Przyjdziesz?

- Nie. Nie przyjdę, żeby patrzeć, jak niszczysz swoje życie - odrzekła łamiącym się głosem. - Proszę cię, dziecko, nie rób tego. - Zaryzykowała jeszcze jedną prośbę, chociaż już tyle razy na próżno przemawiała do uczuć wnuczki.

- To jedyne wyjście - powiedziała Charity. - Mogę się jeszcze na coś przydać... jeśli... jeśli będę się trzymać z daleka od dobrych ludzi, a wiszące nade mną fatum będzie zagrażać złym.

- To szaleństwo... - zaczęła lady Margaret.

- Więc wskaż mi inną drogę! - Głos Charity nabierał rozpaczliwych tonów. - Powiedz mi, jak mam się pozbyć tego piętna! Daj mi jakiś nowy amulet albo powiedz, jakich rytuałów mam przestrzegać. Powiedz mi, babciu, że widzisz w księżycu jakąś nadzieję dla mnie, to za niego nie wyjdę!

Lady Margaret opuściła głowę. Przez te wszystkie lata chwyciła się wszelkich sposobów i żaden nie odniósł rezultatu. Nie miała wnuczce już nic do zaoferowania. Teraz straciła ostatnią nadzieję.

Usłyszały, że Melwin otwiera frontowe drzwi i wprowadza barona. Charity poczuła ucisk w gardle, skręcał się jej żołądek. Nadszedł czas - musi iść. Zaczęła już schodzić ze schodów, kiedy dogoniła ją lady Margaret.

- Zaczekaj, dziecko! Musisz zmienić suknię! Panna młoda nie może wystąpić w czerni - to przynosi nieszczęście!

Charity popatrzyła na babkę z wyrzutem. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie, że ma zamiar przyciągać zły los.

Zeszła na dół na spotkanie narzeczonego. Baron Pinnow był niemile zaskoczony jej czarnym strojem.

- To najlepsza suknia, jaką mam - powiedziała. Skrzywiła się, czując jak jego palce zaciskają się na jej ramieniu. - Zresztą wszyscy wiedzą, że jestem w żałobie. Przebiorę się potem.

Baron przyjął jej tłumaczenie i poprowadził do wynajętego powozu.

Lady Margaret powlokła się do swojego pokoju. Była zrozpaczona i nagle poczuła się bardzo stara. Patrzyła przez okno na odjeżdżający powóz, który kierował się do małej kaplicy, gdzie na młodą parę czekał pastor i kilku miejscowych notabli. To był prawdziwy kataklizm, tragedia złamanych serc.

Usiadła przy oknie, jej oczy napełniły się łzami. Straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, czy minęło dziesięć minut, czy też pół godziny, kiedy na drodze ukazało się duże czarne lando. Pograżona w swoim bólu nie zwróciłaby na nie uwagi, gdyby nie widok aż sześciu koni w zaprzęgu. Co za kretyństwo, pomyślała. I pędzą na złamanie karku. Wyprostowała się nagle, nie odrywając wzroku od zbliżającego się pojazdu. Wicehrabia!

Chwyliła szal i pospiesznie zeszła ze schodów w momencie, kiedy do domu wpadł jak burza Rane Austen, wołając głośno Charity.

- Pojechali do kaplicy! - krzyknęła lady Margaret.

- Ona rzeczywiście wychodzi za mąż za barona? - spytał.  
- Uważa, że tak powinna postąpić. Ale oddała się panu i...  
i na panu jej tylko zależy. - Lady Margaret, czując na sobie  
jego badawczy wzrok, nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć.

- To dlaczego...

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, bo może być za  
późno! Oni już są w kaplicy!

Łąpała go za rękę i wyciągnęła przed dom.

Chodźmy na skróty przez pole. Będziemy tam prędzej niż  
powozem!

Ruszyli przed siebie, moknąc na deszczu i wpadając co  
chwila w błotniste kałuże. Rane zacisnął zęby. Nie wiedział,  
co go czeka na końcu drogi. Czy ona będzie już żoną innego  
mężczyzny, zanim on tam dotrze? Nie zauważył biegnącego  
za nimi Wolframa i kiedy pies skoczył na niego, omal nie  
upadł z wrażenia.

- Idź sobie, ty zapchlona bestio! - mruknął, ale Wolfram  
nie dawał za wygraną. Skakał wokół niego, jakby cieszył się  
ze spotkania. - Mógłbyś się na coś przydać! - krzyknął wresz-  
cie. - Idź, znajdź Charity i pogryź baronowa!

Lady Margaret zatrzymała się, zdyszana, przyciskając dłonie  
do bijącego serca.

- Wolfram! Znajdź Charity! Jest w kaplicy! - Wyciągnęła  
rękę do przodu. - Znajdź Charity!

Wielki pies popatrzył na nią uważnie i po chwili pognął we  
wskazanym kierunku.

- Chyba nie zdążymy - wyjąkała. - Stracimy ją...

Te słowa wywarły na nim piorunujące wrażenie. Puścił się  
biegiem, w ślad za psem. Jego długie nogi szybko pokonywały  
przestrzeń, tak samo jak na Barbadosie, kiedy musiał uciekać  
przed niebezpieczeństwem. Teraz biegł w innym celu...

Charity stała przed ołtarzem, ale głos pastora docierał do niej jakby z oddali. Zerknęła na stojącego obok niej barona i przeniknęła ją zimny dreszcz. To była śmierć jej uczuć, nadziei i pragnień. Zagryzła wargę i zacisnęła dłonie. Do jej uszu dobiegło odległe szczekanie psa.

Po chwili rozległo się silne uderzenie w drzwi kaplicy, które zatrzęsły się pod tym naporem, wywołując niemiłe zdumienie wśród niewielkiej grupy świadków ślubu. Łomot nie ustawał ani na chwilę i pastor zmuszony był przerwać ceremonię i prosić jednego z dżentelmenów, żeby sprawdził, co się dzieje. Kiedy ten otworzył drzwi, do kaplicy wpadł wielki pies, który rzucił się do ołtarza i z przeraźliwym szczekaniem zaatakował pana młodego.

W kaplicy zapanował zamęt. Damy piszczały, panowie krzyczeli, pastor cofnął się, a Pinnow machał bezradnie rękami, usiłując się bronić. Wreszcie Charity wyprowadziła psa, a upokorzony, wściekły baron poprzysiągł sobie, że zgładzi tę piekielną bestię jeszcze tego samego dnia. Kiedy Charity wróciła do ołtarza, obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

Pastor był tak zdenerwowany, że stracił wątek i musiał zacząć uroczystość od początku. Minęło zaledwie kilka minut, kiedy drzwi kaplicy ponownie otworzyły się z trzaskiem. W progu stanął mokry, ubłocony, zadyszany Rane Austen.

- Wielebny ojcze! - krzyknął gromkim głosem. - Proszę mi wybaczyć to najście, ale działałem w imieniu babki panny Standing, która się tu zaraz pojawi. Prosiła mnie, żebym przekazał ojcu pewną informację.

- Oxley! - Baron odwrócił się od ołtarza, czerwony z wściekłości. - Jak pan śmie! To skandal!

- Ja również tak sędzę, Pinnow - stwierdził Rane, wywołując pastora na zewnątrz.

Wdali się w ożywioną dyskusję. Słowa Rane'a niewątpliwie zrobiły wrażenie na duchownym, był nimi wstrząśnięty. Po

chwili dołączyła do nich lady Margaret, trzymając się za serce i z trudem łapiąc oddech. Pastor wrócił do kaplicy i wziął barona na bok.

Po wysłuchaniu jego słów Pinnow zaczerwienił się gwałtownie i obrzucił Charity i Rane'a wściekłym spojrzeniem. Charity zadrżała, kiedy się do niej zbliżał, z wyrazem nienawiści w oczach.

- Ty ladacznico - wyjąkał. - Gdybym wiedział, nie brudziłbym sobie rąk! A do tego publicznie mnie upokorzyłaś! - Trzęsąc się ze złości, skierował się do wyjścia.

- Zapłacisz mi za to, Oxley! - rzucił w stronę Rane'a. - Przysięgam! - Z tymi słowami wypadł jak burza z kaplicy.

Zarumieniona, przerażona Charity podniosła oczy i napotkała spojrzenie Rane'a. Kiedy zaczął się do niej zbliżać, jej serce zabiło ze szczęścia, że znowu go widzi. Gdy stanął obok niej, z trudem powstrzymała się, żeby nie odgarnąć spadającego mu na czoło kosmyka mokrych włosów.

- Muszę z tobą porozmawiać - szepnął i wziął ją za rękę. Kiedy wyprowadzał ją z kaplicy, zwrócił się do zebranych, prosząc, żeby nie opuszczali swoich miejsc.

Miotwały nią sprzeczne uczucia. Radość z jego obecności, a jednocześnie gniew. Wpadł do kaplicy, żeby powiedzieć pastrowi coś, co go przeraziło i sprawiło, że duchowny odmówił kontynuowania ceremonii, a baron potraktował ją jak dziewczkę.

- Jak pan mógł zerwać ceremonię mojego ślubu? Co pan powiedział pastrowi? - Charity wyrwała mu rękę i skrzyżowała ramiona na piersi.

Rane wpatrywał się w jej pobladałą, mizerną twarz, noszącą ślady bezsennych nocy. Była tak samo nieszczęśliwa jak on, stwierdził z uczuciem ogromnej ulgi.

- Powiedziałem mu... że istnieje duże prawdopodobieństwo, że nosisz w łonie mojego potomka!



- Powiedziałaś... och, nie! - Szok pozbawił ją głosu, więc szybko wykorzystał tę okazję.

- Ponieważ świat zna już naszą tajemnicę, proponuję, żebyśmy natychmiast wzięli ślub.

- Nie! Nie wyjdę za ciebie. Nie zmusisz mnie. Nie boję się skandalu. Nie jestem w ciąży i nie potrzebuję męża, żeby bronił mojego dobrego imienia.

Serce jej krwawiło, ale nie mogła się poddać. Nie mogła zniszczyć człowieka, którego kochała.

- No więc tak - powiedział. - Upieraj się, ile chcesz, ale albo za mnie wyjdiesz, albo... poinformuję władze o interesach twojego ojca, Gara Davisa i Percy'ego Halla. Wiem też, że to oni mnie postrzelili. - Wziął ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Jeśli mi odmówisz, postaram się, żeby ponieśli za to karę... najwyższą karę.

Charity czuła, że jej determinacja słabnie. Był tak uparty, a ona tak bardzo go pragnęła.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Zrobię, jeśli odrzucisz moją propozycję - powiedział, ale po chwili twarz mu złagodniała. - Nie chcę cię skrzywdzić, Charity. - Dotknął palcami jej policzka.

Podniosła wzrok i w jego oczach dojrzała ból, a jednocześnie nadzieję. Patrzyła na jego ogorzałą twarz, wydane kości policzkowe i prosty, szlachetny nos. Był tak pięknym mężczyzną... i tak nieszczęśliwym. Czuła, że jej opór słabnie.

- Wyjdź za mnie, Charity. - Tym razem to nie był rozkaz, lecz błaganie.

Oświadczał się jej już po raz trzeci. A Cyganie uważają trójkę za magiczną cyfrę.

Charity skinęła głową.

Wrócili do kaplicy i stanęli przed ołtarzem. Miejscowa elita patrzyła na nich rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Rane mówił coś do pastora cichym głosem, a Charity skinęła głową, kiedy ten zwrócił się do niej. Duchowny otarł spocone czoło, wziął modlitewnik do ręki i oznajmił wymieniającym szeptem uwagi gościom, że ostatecznie panna Charity poślubi wicehrabiego Oxley. Siedzący w pierwszej ławce lady Margaret, Gar i Percy odetchnęli z ulgą.

Ledwie pastor ponownie zdażył rozpocząć ceremonię, lady Margaret zerwała się na równe nogi.

- Nie! Zaczekajcie! Ona nie może brać ślubu w czerni!

Rane zacisnął zęby.

- Dość już tych absurdów! Proszę nie przerywać ceremonii, wielbny ojczy.

Lady Margaret podbiegła do Charity.

- Nie możesz brać ślubu w tej sukni, dziecko! To przynosi nieszczęście. Musisz włożyć coś innego. Trzeba coś pożyczyć!

Charity dobrze wiedziała, co babka ma na myśli. Cyganie uważali, że pożyczone ubranie przynosi pannie młodej szczęście. Lady Margaret rozglądała się już gorączkowo po zebranych, żeby znaleźć dla Charity jakieś okrycie.

Jednak, ku jej rozpaczy, żadna z pań niczego takiego nie miała. Nagle wzrok jej padł na białą zasłonę przy drzwiach zakrystii. Zaskoczony duchowny poczerwieniał i zaczął protestować, kiedy ją ściągała, ale starsza dama już trzymała zasłonę w rękę, popychając wnuczkę w kąt kaplicy, żeby osłonić jej czarną suknię.

Wicehrabia Oxley i panna Charity Standing wymienili wreszcie słowa przysięgi małżeńskiej; on był potargany, ubłocony i ociekający wodą, a ona była owinięta białą zasłoną. On, patrząc w jej uroczą twarzyczkę, przysięgał miłość i wieczne przywiązanie i wypowiadał te słowa z najgłębszym przekonaniem. Ona patrzyła na jego przystojną, opaloną twarz i obie-

cywała mu miłość, szacunek i posłuszeństwo, przysięgając sobie w duchu, że zrobi wszystko, żeby go chronić. Jeśli nie będzie dzielić z nim łoża, jeśli ich życie będzie biegło osobnymi torami, może zdoła zapobiec katastrofie.

Ceremonia dobiegła końca. Pastor, z wyraźną ulgą, ogłosił ich mężem i żoną. Rane przyciągnął ją do siebie i pochylił się do jej ust.

Już miała rozchylić wargi, ale przecież złożyła przysięgę, że będzie go chronić. Ten pocałunek mógł przypieczętować jego los. Odepchnęła go od siebie. Spojrzał na nią, zdumiony. Odmówiła mu pocałunku przy ołtarzu! Wziął ją za rękę i poszli podpisywać akt małżeństwa.

- Na pewno spodziewali się państwo dalszego ciągu tej uroczystości - zwrócił się do zebranych gości. - Jednak w związku ze zmianą oblubieńców, nastąpiła też zmiana planów. Mam niecierpiące zwłoki zobowiązania w Londynie, będziemy więc musieli wyjechać w ciągu najbliższej godziny...

Wziął Charity w ramiona, wyniósł ją z kaplicy i ruszył w kierunku Standwell.

- Puść mnie! Zniszczysz mi suknię! - Jej głos dotarł do wystarczająco już zaszokowanych gości, a jeszcze bardziej zdumiała ich jego odpowiedź.

- Dziś wieczór nie będzie ci potrzebna suknia, mój aniele... a jutro kupię ci całe tuziny sukienek!

Zgodnie ze słowami Rane'a, po godzinie siedzieli już w eleganckim landzie. Charity rzuciła ostatnie spojrzenie na Standwell Hall. Przed domem, machając im na pożegnanie, stali Melwin wraz z Bernadette oraz Gar i Percy, którym powierzono opiekę nad majątkiem. Charity i Rane nie byli jednak sami. Naprzeciwko nich siedziała, obwieszona amuletami, lady Margaret i Wolfram, którego wielkie, zabłocone łapy drapały skórzane siedzenie, a mokra sierść wydzielała niemiły zapach.

Rane dał Charity trochę czasu, żeby się mogła przebrać,

i z tej okazji natychmiast skorzystała łady Margaret. Wpadła do domu, chwyciła swoje amulety i zioła i oznajmiła, że będzie im towarzyszyć, ponieważ musi zobaczyć na własne oczy nowy dom swojej wnuczki.

Rane próbował się temu przeciwstawić, ale kiedy zobaczył smutną twarz Charity, zgodził się na krótką wizytę starszej damy. Kiedy pomagał jej wsiąść do powozu, usiłował się tam również dostać Wolfram. Rane, używając całej swojej siły, starał się do tego nie dopuścić.

Wolfram warczał, skomlał, patrzył błagalnie na Charity, jednak w tym pojedynku zwyciężył Rane. Wicehrabia szybko wskoczył do landa, zamknął drzwi i kazał stangretowi ruszać. Wolfram pobiegł za nimi, szczekając na konie, które stanęły w miejscu.

Charity, patrząc na nachmurzoną twarz Rane'a, tak bardzo pragnęła go dotknąć, uśmierzyć jego gniew. Jemu wydawało się, że prosi go spojrzeniem o zabranie Wolframa, więc otworzył drzwi i pozwolił psu wskoczyć do środka.

To była długa, trudna podróż. Lando podskakiwało na wybojach, a Charity oblewały fale gorąca przy każdym, przypadkowym zetknięciu z muskularnym ciałem męża i przy każdym dotyku jego dłoni. Przypominała sobie delikatną pieśczętę jego palców i odczuwaną wtedy rozkosz. To była prawdziwa magia nocy.

Zaczerwieniła się, poprawiła na siedzeniu i zaczęła wygładzać swoją prostą, muślinową sukienkę. Miała tyle spraw do przemyślenia. Rane dał jej wyraźnie do zrozumienia, że wiele spodziewa się po ich nocy poślubnej, i będzie wściekły, kiedy się dowie, że nocy poślubnej nie będzie.

Rane poczuł, że Charity odsuwa się od niego, wtulając w kąt powozu. Niewątpliwie była zła, że zmusił ją do tak pospiesznego i w tak niezwykłych warunkach zawartego małżeństwa. Postanowił, że najpierw wyjaśni powstałe między nimi niepo-

rozumienia, a dopiero potem udowodni jej, że powinna być zadowolona z jego ingerencji. Patrzył na nią kątem oka, przypominając sobie jej drżenie, kiedy dotykał językiem jej ucha, pamiętał, jak gwałtownie reagowała, kiedy pieścił jej piersi. Znał miejsca na jej ciele, które lubiły delikatne pieszczoty... i miejsca, które domagały się bardziej zdecydowanych działań. Myśl o tych sekretnych zakamarkach wzbudziła w nim gwałtownie pożądanie. Oczekiwał z niecierpliwością nocy poślubnej.

## 16

Zajazd był niesamowicie zatłoczony. Rane musiał posłużyć się swoim tytułem, wzmacniając tę informację srebrną monetą, żeby karczmarz zaoferował mu dwa malutkie pokoiki. A kiedy zobaczył, że Wolfram również będzie jego lokatorem, trzeba było dorzucić jeszcze jedną monetę. Właściciel oświadczył im od razu, że nie ma czasu nosić jedzenia na górę. Musieli więc zjeść posiłek w ogólnej, hałaśliwej sali, pełnej woźniców, lokalnych farmerów i pasażerów dylizansu pocztowego.

To nie jest odpowiednia atmosfera na noc poślubną, pomyślał z irytacją Rane.

Świetne, pozbawione romantyzmu miejsce, doskonałe, żeby wymigać się od nocy poślubnej, stwierdziła z ulgą Charity.

Zanim dostali kopczą lampkę olejową i weszli na skrzypiące schody karczmy, Rane i Charity byli już wystarczająco zdenerwowani. Rane odprowadził lady Margaret do jej pokoju, po czym skierował Charity do ich wspólnego pomieszczenia. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Charity zebrała całą swoją odwagę - przygotowywała się do konfrontacji.

Zerknęła na niego - barczysta postać wydawała się wypełniać cały pokoiik. Zatrzymała wzrok na jego szerokich ramionach, spjrzała w szare oczy i znowu oblała ją fala gorąca.

- Ja... - Cofnęła się o krok, zbierając myśli i usiłując sobie przypomnieć, jakie wymówki obmyśliła. - Powinnam była poprosić babcię, żeby dała mi lekarstwo na migrenę. - Charity przybrała zboląły wyraz twarzy i zaczęła pocierać skronie.

- Migrenę? - Podeszedł do niej bliżej. - Boli cię głowa?

- Tak. Okropnie. - Charity odwróciła głowę. Chciała przejść za jego plecami, ale zastąpił jej drogę. - Może być...

Nie poruszył się. Kiedy wreszcie na niego spojrzała, jego szare oczy błyszczały, a usta wygięte były w uśmiechu.

- Nie sądzę, żebyśmy potrzebowali pomocy twojej babci. Zastosuję wypróbowane lekarstwo Austenów na bóle głowy podczas nocy poślubnej. - Zbliżył się do niej z wyciągniętymi rękami.

Charity cofała się pospiesznie, a on szedł za nią. Wreszcie wpadła na ścianę.

- To coś o wiele gorszego niż ból głowy - wyjąkała, czując dotyk jego palców na skroniach. Wsunął palce w jej włosy i delikatnie masował skórę głowy. - Proszę cię, zabierz ręce.

Rane oparł dłonie na jej ramionach.

- Powiedz, co cię boli? - spytał.

- Wszystko mnie boli. Czuję się jeszcze gorzej, kiedy mnie dotykasz. Bola mnie nogi, plecy i pęka mi głowa.

Cofnął się o krok i obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Po chwili posadził ją na krześle, ukląkł na jedno kolano, uniósł jej spódnicę i ujął jej stopę w obie dłonie.

- Co robisz? - Charity usiłowała oswobodzić nogę. On chciał...

- Masuję ci stopy i nogi. - Przesunął rękę wzdłuż jej łydki. - Wymasuję ci też plecy i ramiona. - Rzucił jej wyzywające spojrzenie. - Tak długo będę cię masować, aż zapomnisz o bólu i będziesz się mogła skoncentrować na przyjemniejszych rzeczach.

Charity czuła, że ogarnia ją rozkoszna niemoc. Przeniknął

ją dreszcz, znów pulsowało w niej życie. Jeszcze chwila, a jego dłoń dosięgnie wilgotnego sedna jej kobiecości.

- Nie, nie! - Ogarnęła ją panika i wyrwała nogę z jego rąk. Wystarczało, że jej dotknął, a już zapominała o tym, co sobie poprzysięgła, o swojej fatalnej aurze, o tym, że musi go przed sobą chronić. Zerwała się z krzesła.

- Nie potrafisz tego zrozumieć, więc muszę ci to wyraźnie powiedzieć. Nie możemy dzisiaj dzielić łóża. Jutro też nie ani pojutrze i będziesz się musiał z tym pogodzić!

Ogarnęła go wściekłość. Czuł, że jego dotyk wyzwała w niej pożądanie, a mimo to nadal go odrzuca?

- Nie mogę?... Nie będę? - Podniósł się na nogi i podszedł do niej. - Uważasz, że możesz mi w tym przeszkodzić? Jestem twoim mężem... twoim kochankiem. Jest oczywiste, że mój dotyk nie budzi w tobie obrzydzenia.

Znowu natrafiła na ścianę, a on blokował jej odwrót. Ogarnęła ją rozpacz.

- Teraz mam okres. Mój kobiecy okres - wyjąkała. - Dlatego byłam pewna, że nie jestem w ciąży. To się zaczęło dziś rano.

Rane osłupiał. Jej kobiecy okres? Podczas nocy poślubnej? Popatrzył jej w oczy. Nie było w nich fałszu. Czy mogłaby to wymyślić, żeby uniknąć jego dotyku? Może nadal była na niego zła, że zmusił ją do małżeństwa?

- Gdybyś wyszła za barona... czy jemu również odmówiłabyś prawa do nocy poślubnej?

- Tak. - Na wzmiankę o baronie Charity wzdrygnęła się. - To był jego pech, a teraz ty ściągnąłeś go na siebie! Sam tego chciałeś.

Patrzył na nią i nie wiedział, czy ma jej wierzyć. Ale gdyby to okazało się prawdą, jakby się czuł, posadzając ją o kłamstwo? Przecież Charity była jego ziemskim aniołem, jak również zmysłową, oddaną mu kochanką.

Wyszedł z pokoju. Zejdzie do karczmy, żeby się napić.



Kiedy Rane wrócił do sypialni, Charity leżała na łóżku, z zamkniętymi oczami. Stał obok i patrzył na nią uważnie. Dlaczego nie chciała wyjść za niego za męża? Dlaczego była na niego zła? Nie sądził, żeby się tak zachowywała z powodu urażonej dumy, na to była zbyt rozsądna. Może czuła się nieprzygotowana do nowej roli? Często martwiła się, że nie potrafi się zachowywać jak prawdziwa dama. Może przeraziło ją to, że tak nagle musiała opuścić rodzinny dom? Przecież dlatego zgodził się zabrać do Londynu lady Margaret i tego przeklętego kundla. Jednak żadna z tych rzeczy, a nawet wszystkie razem, nie tłumaczyły, dlaczego nie chciała za niego wyjść i dlaczego nie chciała się z nim kochać.

Charity czuła jego wzrok na sobie, ale udawała, że śpi. Po chwili Rane znalazł się w łóżku, otoczyły ją silne ramiona i poczuła ciepło jego ciała.

Leżała przy nim, marząc o tym, że móc go dotknąć, okazała swoją miłość, ale przed jej oczami zaraz pojawiał się przerażający obraz. Widziała śmiertelnie bladą twarz Rane'a - tak wyglądał, kiedy przywieziono go do Standwell Hall. Była przekonana, że zdarzy się jakaś nowa katastrofa, jeśli pozwoli mu dzielić swoje życie i swoje łóżko. Poruszyła się w jego ramionach.

- Spij dobrze, aniele - szepnął.

Po twarzy Charity spływały łzy.

Następnego ranka lady Margaret odczyniała czary nad powozem i końmi. Rane usadowił wreszcie damy, a kiedy sam stanął na stopniu, ten zarwał się pod jego ciężarem. Charity patrzyła z przerażeniem, jak się chwieje, szukając oparcia.

- Rane! Nic ci się nie stało? - Zerwała się z siedzenia, wyciągając do niego ręce.

Stanął na ziemi i odetchnął głęboko. Zobaczył przerażenie w jej oczach i twarz mu się zachmurzyła.

- Omal nie upadłem. Przy tych wysokich cenach te sakramenckie powozy powinny być w lepszym stanie.

Usiadła i zaczęła wygładzać suknię. Zatrzasnęła drzwi i okrzyk powóz, żeby wsiąść z przeciwnej strony.

Charity spojrzała na babkę. Już zaczynały się kłopoty.

Podróż była bardzo męcząca. Powóz wymagał częstych napraw, co irytowało Rane'a i wzbudzało niepokój Charity. Kiedy zatrzymywali się w karczmach, Charity nie rozbierała się przed położeniem do łóżka. Sfrustrowany Rane coraz częściej używał swojego „dialektu z Barbadosu”. Zwracał się do niej z mrukliwymi pytaniami, a ona odpowiadała monosylabami. Widząc jego nastrój, zaczynała mieć nadzieję, że on już żałuje swojej pochopnej decyzji. Rane widział często w jej oczach wyraz czułości i tęsknoty. Postanowił uporać się z tym problemem, kiedy wreszcie znajdą się w Londynie.

W słoneczne, wiosenne popołudnie St. George Square robił oszałamiające wrażenie. Kamienne, zdobione marmurem fasady domów i ich wysokie okna połyskiwały w słońcu. Na środku placu urządzono duży ogród. Z okien powozu widać było drzewa, żywopłoty i kamienne ławki. Dwu- i trzy piętrowe domy dokoła placu zbudowano przeważnie w stylu Tudorów. Zauważało się też wpływy architektury palladiańskiej - środkowe okna były szerokie i łukowato sklepione, a dwa krańcowe w kształcie wydłużonych prostokątów. Przed domami pyszniły się eleganckie ogródki, otoczone wymyślnie strzyżonymi żywopłotami. Wszędzie kwitły holenderskie tulipany.

To było wspaniałe, przechodziło najśmielsze marzenia. Charity rozglądała się dokoła, starając się nie okazywać zbyt wielkiej ciekawości, która nie przystoi damie. Lady Margaret nie miała

takich skrupułów, jak również Wolfram, który wychylał się z powozu, sapiąc z podniecenia. Kiedy lando zatrzymało się przed imponującą rezydencją, Rane, lady Margaret i Charity wspólnymi siłami starali się powstrzymać Wolframa, który chciał natychmiast wyskoczyć. Wreszcie Rane zawołał stangreta i kazał mu przytrzymać zwierzę, co ten niechętnie uczynił. Rane pomógł wysiąść damom i zaprowadził je do wejścia.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzwi się otworzyły. Charity miała wrażenie, że kryje się w nich jakaś tajemnicza siła. Tą tajemniczą siłą okazał się jednak starszy lokaj, Brockway, który wziął kapelusz Rane'a i powitał go ze zdziwieniem. Rane zaczął go właśnie przedstawiać Charity, kiedy nadbiegł Eversby.

- Milordzie! - Zatrzymał się na chwilę, żeby wygładzić kamizelkę. - Nie spodziewaliśmy się waszej lordowskiej mości. Lady Catherine powiedziała...

- To jest Eversby, bez którego nie potrafiłbym się obejść - przerwał mu Rane, zwracając się do Charity. - Eversby, to jest twoja nowa pani, wicehrabina Oxley. A to jej babka, lady Margaret Villiers.

Wzrok Eversby'ego zatrzymał się przez chwilę na pięknej blondynce w zmiętej muślinowej sukience i bez kapelusza. Złożył jej głęboki ukłon i serdecznie powitał w Oxley House, po czym ponownie zwrócił się do swojego pana.

- Proszę mi wybaczyć, wasza lordowska mość, ale nie poczyniliśmy żadnych przygotowań. Lady Catherine mówiła, że wyjechał pan na dłużej, a my byliśmy bardzo zajęci.

- Zajęci? Czym? - Rane zmarszczył brwi. Z wyrazu twarzy kamerdynera szybko wyczytał odpowiedź. - Co ta stara wrona znowu wymyśliła?

- Ona... my... wydawaliśmy przyjęcia.

-Przyjęcia? Tutaj? W moim domu?- Ta stara jędza,

pomyślał z wściekłością, natychmiast po jego wyjeździe zaczęła zapraszać gości, i to, oczywiście, na jego rachunek!

- Codziennie przychodzili goście, milordzie. - Eversby skrzywił się z niesmakiem. - Nasza sąsiadka, księżna Swinford, nawet jest tu teraz, w towarzystwie innych dam. Są w salonie, milordzie. Jedzą podwieczorek.

- Rozumiem. Kota nie ma, myszy harcują. - Rane chwycił Charity za rękę i pociągnął za sobą, rzucając przez ramię polecenie, żeby Eversby zajął się stangretem i bagażem. Nie zważał na gwałtowne protesty Charity, która usiłowała mu wytłumaczyć, że w takim stanie nie może pokazać się gościom.

- Pięknie wyglądasz - rzucił zdawkowo. - Zawsze pięknie wyglądasz.

Ton jego głosu sprawił jej przykrość. Dopiero po chwili zdobyła się na pytanie.

- Kim jest lady Catherine?

- To moja babka.

Charity nie zdążyła zareagować na tę wiadomość, nie miała nawet czasu, żeby przygładzić włosy - sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w otwartych drzwiach salonu, który przytłoczył ją swoimi rozmiarami. Jego ściany miały kremowy kolor, wisały na nich lustra w złożonych ramach i piękne pejzaże. W salonie były dwa kominki z jasnego florenckiego marmuru, zdobione szmaragdowymi kamieniami. Wiszące w oknach zasłony i obicia mahoniowych mebli również były zielone. Na podłodze leżały perskie dywany, a z sufitu zwieszały się kryształowe żyrandole.

Rane pociągnął Charity na środek pokoju, gdzie siedziało kilka eleganckich, starszych dam, które patrzyły na nich ze zdumieniem.

- Witam panie... lady Catherine.

Zabrzmiało to wyjątkowo szorstko. Charity spojrzała na niego - miał zaciśnięte zęby, a w jego oczach ukazał się

niebezpieczny błysk. Podażyła za jego wzrokiem i zobaczyła starszą damę, która miała równie kwadratową brodę jak on i równie szare oczy. To musiała być jego babka. A on był na nią wściekły!

- Miło mi panią wreszcie widzieć, hrabino - zwrócił się do damy w fioletach, siedzącej po prawej stronie jego babki. - Szkoda, że musiała pani tak długo zwlekać z wizytą, czekając, aż wyjadę. - W jego głosie słychać było z trudem hamowane wzburzenie. Pociągnął Charity do przodu i położył dłoń na jej ramieniu. - Jednak, przy okazji tych odwiedzin, będzie miała pani okazję poznać moją świeżo poślubioną małżonkę. To jest wicehrabina Oxley, córka wysoko urodzonego Uptona Standinga, lady Charity. Ponieważ nie znam pani przyjaciółek, lady Catherine, może zechce pani przedstawić te damy mojej żonie.

Lady Catherine nie posiadała się z oburzenia. Przyjechał do domu bez zapowiedzi i ma jeszcze czelność narzucać się jej przyjaciółkom. Musiała jednak zachować pozory. Wyprostowała się na krześle, budząc siedzącego na jej kolanach Caesara.

- Lady Atherton... księżna Ravenswood, lady Agnes... no i oczywiście hrabina Swinford...

W trakcie tej ceremonii rozzłoszczony Caesar wbijał pazury w jej jedwabną suknię, obserwując jednocześnie Rane'a żółtymi ślepiami.

Oszołomiona obecnością wytwornych dam, Charity dopiero po chwili zauważyła, że Rane'a nie ma już przy jej boku. Podszedł do drzwi, żeby wprowadzić jej babkę. Przedstawił ją jako lady Margaret Villiers, babkę wicehrabiny Oxley. Zgromadzone w salonie damy patrzyły szeroko otwartymi oczami na jej niebieski zawój, ogorzałą twarz, złote koła w uszach i suknię w jaskrawych kolorach.

Lady Margaret wyprostowała się i zacisnęła wargi. Doskonale wiedziała, co o niej myślą, kiedy bez żadnej żenady przypat-

rywały się jej ubraniu i rozlicznych amuletom. Widziały w niej cudaczną starą Cygankę. Już miała zamiar powiedzieć im coś kąśliwego, gdy jej uwagę zwróciła jedna z dam. Pochyliła się nagle nad księżną Ravenswood.

- Ellie Farquhar? To naprawdę ty? - Otaksowała ją uważnym spojrzeniem, co wprawiło w gniew nie tylko przedmiot jej zainteresowania, ale również inne damy. - Tak, to ty! - Lady Margaret wyprostowała się, a w jej oczach zapalił się złośliwy błysk. - Niech mnie, ledwie cię poznałam. Nieźle ci się powodzi. - Wykonała niedbały gest, wskazując tęgą postać księżny. - Jak widać, aż za dobrze. A zęby masz krzywe jak dawniej.

- Madame! - Lady Catherine zerwała się z krzesła, zrzucając Caesara na podłogę. - Jestem przekonana, że pani się myli...

- Nie sądzę, żebym się mogła pomylić. - Lady Margaret patrzyła zmrużonymi oczami na czerwoną jak burak księżnę. — Takich zębów się nie zapomina. Ugryzła mnie, kiedy nazwałam ją siusiumajtką, bo nigdy nie mogła zdażyć do...

Charity patrzyła na babkę rozszerzonymi oczami. Zbliżała się katastrofa. To wpływ jej fatalnej aury.

- Nie chcemy tego słuchać! - Lady Catherine cofnęła się, chwytając za serce i nadepnęła kotu na ogon.

Caesar wrzasnął jak opętany, zaczął skakać po stole i kolanach dam, wreszcie zabrał się do drapania nogi mahoniowego stołu.

- Och, moje biedactwo - zakwiliła lady Catherine. Damy wymieniały gorączkowe uwagi, babka Rane'a rozczuliła się nad kotem, a Charity serce podeszło do gardła - usłyszała szczekanie psa. Rzuciła Rane'owi rozpaczliwe spojrzenie, oboje odwrócili się do drzwi, w których już pojawił się Wolfie.

Zwierzył kota. Charity zauważyła wojowniczy błysk w jego oczach i podbiegła, żeby go zatrzymać. Prześlizgnął się jednak obok niej i po chwili gigantyczna włochata bestia, z głośnym

ujadaniem, wpadła pomiędzy siedzące damy. Przytknął nos do ziemi i skierował się wprost na lady Catherine, która usiłowała osłonić siedzącego pod stołem kota. Szybko się jednak wycofała, porzucając swojego ulubieńca na pastwę losu. W pełnej napięcia ciszy Wolfram i Caesar patrzyli na siebie, oceniając swoje siły.

Caesar wygiął grzbiet, najeżył się i wściekle fuknął na psa. Wolfram zawarczał w odpowiedzi. Caesar parsknął, syczał, wreszcie wyciągnął łapę i uderzył przeciwnika w nos. Wolfram wpadł pod stół, żeby dopaść kota. Stół się przewrócił, a oni gonili się zapamiętale po całym salonie. Damy piszczały ze strachu, filiżanki wypadały im z rąk i rozbijały się na podłodze. Wolfram nie zwracał uwagi na Charity, która bezskutecznie usiłowała go schwytać. Purpurowa ze wstydu, zwróciła się o pomoc do Rane'a i zobaczyła, że... on się śmieje!

Stał pochylony i śmiał się serdecznie. Patrzył na tłustego Caesara, który nieudolnie usiłował wspiąć się na gzyms kominka. Wolframowi udało się już dwa razy dopaść kota, ale ten zdołał się wymknąć, zostawiając mu w pysku tylko trochę białej sierści. Psu jednak najbardziej podobała się sama pogoń.

Wreszcie Charity podeszła do drzwi, nie przestając go nawoływać. Pierwszy był Caesar, który przemknął koło niej jak strzała. Wolfram chciał go gonić dalej, ale tym razem Charity udało się go przytrzymać. Rane podbiegł, żeby jej pomóc, wołając jednocześnie na pomoc Brockwaya i Eversby'ego, którzy

- Co mamy z nim zrobić, milordzie?

Rane spojrzał na sapiącego, zadowolonego z siebie Wolframa i postanowił wykorzystać jego niechęć do kotów.

- Zaprowadźcie go do mojego gabinetu.

Charity wyprostowała się i wygładziła sukienkę. Czuła na sobie wzrok Rane'a. Była przerażona - ledwie weszła do jego domu, już sprowadziła na niego kataklizmy. Kiedy podniosła

wzrok, zobaczyła, że jest rozbawiony. Jak mógł tak lekko traktować to upokarzające, katastrofalne wydarzenie!

Damy oglądały oblane herbatą suknie, mamrocząc słowa przeprosin za swoją niezręczność. Lady Catherine głośno się użalała nad ich zniszczonymi toaletami i swoim „biednym maleństwem”.

Panie szybko opuszczały salon, usprawiedliwiając się z pośpiechu. Kiedy już wyszły, lady Catherine zmierzyła wnuka gniewnym spojrzeniem, oświadczając, że jeszcze nigdy w życiu nie została tak upokorzona. Jak śmiał wpuścić tę bestię do domu?

- To jest jego dom, nieprawdaż? - odezwała się lady Margaret, ściągając tym samym gniew lady Catherine na siebie.

- A pani obraża moich gości! Jak pani śmie? Nie ma pani wstydu?

- Mam dość wstydu, żeby nie krzyżeć na mężczyznę w jego własnym domu, przy jego świeżo zaślubionej żonie i jej rodzinie, której pani nie była nawet łaskawa przywitać!

Doszło do konfrontacji pomiędzy elegancką damą z londyńskiego towarzystwa i ekscentryczną, obwieszoną amuletami pół-Cyganką. Charity słuchała z przerażeniem ich sprzeczki i spojrzała na Rane'a z niemym błaganiem o interwencję. Patrzył zafascynowany na kłótnię tych dwóch kobiet, a jego usta wyginały się w uśmiechu. Wreszcie lady Catherine dała za wygraną i wybiegła z salonu, rozpaczliwie wołając swojego Caesara.

Rane, z rozjaśnioną z zadowolenia twarzą, wziął Charity pod rękę i poprowadził w stronę mahoniowych schodów.

- Chodźmy na piętro - powiedział. - Powinnaś trochę odpocząć. - Był w niezwykle dobrym humorze.

Na górze spotkali Eversby'ego, który oznajmił im, że lady Catherine rozgościła się w pokojach, tych naprzeciwko sypialni wicehrabiego, które powinna teraz zająć wicehrabina.



Wolne były tylko mniejsze pokoje gościnne albo apartament na wyższym piętrze, który jednak nie był odpowiednio przygotowany.

- Z przyjemnością zajmę mały pokój gościnny - odezwała się Charity. Rane skwitował to ponurym spojrzeniem.

- Nie jesteś tu gościem, Charity. To twój dom - powiedział sucho.

Uderzyła go niemile jej chęć zajęcia pokoju gościnnego. Nagle wpadło mu do głowy najlepsze możliwe rozwiązanie. Charity będzie musiała zamieszkać w jego apartamentach i każdej nocy dzielić z nim łóżce! Uśmiechnął się szeroko. Dzięki zaborczej naturze babki, będzie miał Charity przy sobie. Poczul nagły odruch sympatii do starszej damy.

- Nie ma potrzeby niepokoić mojej drogiej babki. Powiedz, żeby zanesiono rzeczy wicehrabiny do moich apartamentów. Przez najbliższy czas będziemy z nich korzystać wspólnie.

Charity nie miała pojęcia, jak te sprawy są rozwiązywane w arystokratycznych małżeństwach, jednak z wymiany zdań i z wyrazu twarzy kamerdynera mogła się już domyślić, że małżonkowie nie mają wspólnej sypialni. Zanim zdążyła zaprotestować, Eversby zwrócił do Rane'a już z innym pytaniem.

- Czy bagaż wicehrabiny zostanie dostarczony później?

- To jest bagaż wicehrabiny, Eversby. - Rane wskazał mu stojący w holu zniszczony sakwojaż. Kamerdyner zerknął na Charity, która się zarumieniła i spuściła wzrok. - A przy okazji, Eversby - ciągnął Rane - trzeba jutro sprowadzić najlepszą londyńską krawcową, żeby zajęła się garderobą wicehrabiny. Poślij też po szewca i modystkę. Kiedy to będzie załatwione, ja sam zabiorę wicehrabinę na zakupy.

Zdumiony Eversby unióśł brwi i już miał odejść, ale Rane znów go przywołał.

- Potrzebna też będzie kąpiel, Eversby, dla nas wszystkich, i świeże ubrania. Nie udało ci się chyba znaleźć bananów? -

**Lr**

Kamerdyner potrząsnął tylko głową. - No to przynieś nam pomarańcze.

Rane wprowadził Charity do swojego apartamentu, a Eversby otworzył przed lady Margaret drzwi jednego z pokoi gościnnych. Sypialnia Rane'a odznaczała się wyjątkowo eleganckim wystrojem. Wysokie okna osłonięte były kotarami koloru czerwonego wina, koło kominka stały skórzane fotele, na ścianach rozwieszono były obrazy przedstawiające sceny polowań. Solidne, mahoniowe meble nie przytłaczały pomieszczenia. Na środku pokoju stało ogromne łóżko, z rzeźbionymi kolumnkami i bogato zdobionym baldachimem. Na łóżku leżały jedwabne poduszki. Cudownie byłoby położyć się tam... z nim, pomyślała Charity.

Natychmiast odrzuciła od siebie tę myśl. Rane, który nie spuszczał z niej wzroku, zauważył jej reakcję, kiedy zerknęła na łóżko. Charity zaczerwieniła się i zebrała siły do kolejnej walki.

- Tak być nie może- stwierdziła stanowczym tonem.- Nawet twój kamerdyner poczuł się zażenowany. Co o mnie pomyśli twoja babka, kiedy się dowie, że mieszkamy w jednym apartamencie? Babcia i Wolfram już mnie wystarczająco upokorzyli!

Charity szybko wyszła z sypialni i zaczęła rozglądać się po holu. Zanim zdążył ją zatrzymać, stała już w drzwiach jednego z pokoi gościnnych.

- Ten całkowicie zaspokaja moje potrzeby - oświadczyła.

- Ale nie moje! - rzucił, łapiąc ją za ramiona. - Jesteś moją żoną, Charity! Dość tego!

Rane pochylił głowę, szukając jej warg. Ten gwałtowny, namiętny pocałunek był jednocześnie delikatny i czuły. W silnych ramionach męża, z jego ustami na swoich wargach, Charity poczuła, że ogarnia ją rozkoszna niemoc. Kiedy potarł szorstkim policzkiem o jej jedwabistą skórę, przywarła do

niego, chwytając oddech i drżąc z podniecenia. Jeszcze chwila... jeszcze jeden dotyk... Odepchnęła go od siebie.

- Nie! Czyżbyś zatracił poczucie przyzwoitości? Mówiłam ci dlaczego. I to potrwa jeszcze trzy dni.

Rane oddychał ciężko. Widziała drgający mięsień jego policzka. Rozpalony pożądaniem, ledwie hamował wściekłość.

- W porządku - powiedział ochrypłym głosem. - Będziesz miała te swoje sakramenckie trzy dni. A potem... - Nie dokończył zdania, odwrócił się gwałtownie i zniknął w drzwiach swojego apartamentu.

Charity została sama. Musi doprowadzić do tego, żeby odesłał ją do domu, a przynajmniej zgodził się, żeby odjechała. Każde jego spojrzenie, każde dotknięcie dłoni, każdy pocałunek pozbawiał ją woli oporu. Przecież ona równie gorąco pragnęła się z nim kochać. Jedynym wyjściem i jedyną nadzieją był powrót do domu.

Rozejrzała się po ładnie umeblowanym pokoju. Po raz pierwszy od ślubu będzie spać sama. Zaskoczył ją widok Eversby'ego i pokojówki, którzy przyszli zmienić pościel i rozpakować jej skromny bagaż. Zwróciła się do kamerdynera, który patrzył rozszerzonymi oczami na jej amulety.

- Czy mogłabym dostać trochę soli?

Nikt nie spał dobrze tej nocy. Wolfram czekał w gabinecie Rane'a, dopóki Charity nie zeszła na dół i nie zabrała go do swojego pokoju. Lady Catherine użalała się przez pół nocy nad swoim biednym Caesarem, który na skutek walki z psem stracił część swojej pięknej, długiej sierści. Rane przemierzał sypialnię nerwowym krokiem, zerkając na puste łoże i szukając pociechy we francuskim koniaku, szmuglowanym do Anglii przez Uptona Standinga. A lady Margaret zajęta była wytwarzaniem amuletów.

Rano było jeszcze gorzej. Lady Margaret wstała o świcie i rzuciła się w pogoń za zajęta porannymi czynnościami, rozbieganą służbą, wieszając im na szyjach nanizane na sznurek żołądziej, saszetki z końskim włosiem i różnorodne kamyki. Później obeszła cały dom, przestawiając delikatne przedmioty z niższych półek na wyższe, przewieszając lustra, angażując służbę do pomocy w zabiegach, który miały chronić dom przed nieprzewidywanymi „wypadkami”. Zdumieni służący szukali aprobaty u Eversby'ego, który wyraził ciche przyzwolenie.

O dziewiątej rano pojawiła się krawcowa z całym zastępem szwaczek i posłańców z paczkami. Przez cały ranek na piętrze domu roiło się od dostawców i ich pomocników. Omawiano

kolory, fasony, dyskutowano o sukniach, szalach i kapeluszach. Lady Catherine zamknęła się w swoich apartamentach, nie chcąc mieć z tym nic do czynienia.

Rane przechadzał się po holu, spoglądając od czasu do czasu na Charity, kiedy otwierały się drzwi jej pokoju. Czy będzie zadowolona ze swoich strojów? Jak będzie wyglądać w jedwabiach i koronkach? Czy przytuli się do niego? Nie mogąc już dłużej znieść napięcia, postanowił wejść do kobiecego sanktuarium.

Charity stała na środku pokoju w halce i gorsecie. Peszył ją fakt, że jej osoba jest w centrum uwagi, i żenowała myśl o związanych z tym wydatkach. Czy będzie tu wystarczająco długo, żeby nosić te kosztowne stroje?

- Nie zdejmę swoich talizmanów - oświadczyła francuskiej krawcowej. - One przynoszą szczęście.

- Ależ, milady, one niszczą obszycie dekoltów.

- A więc obszycie będzie zniszczone - upierała się Charity.

Rozejrzała się po pokoju. Szpilki, ostre nożyczki, łatwopalna gaza, porozrzucone kawałki materiałów, rozgrzane żelazka... doskonała sceneria dla jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Zacisnęła dłonie...

Po chwili zerknęła na drzwi. W progu stał Rane. Na jego widok serce podeszło jej do gardła. Nie mogła oderwać od niego oczu, kiedy się do niej zbliżał. Przesunął wzrokiem po jej twarzy, wargach, szyi i piersiach, obwieszonych wszelkiego rodzaju amuletami. Przyglądał się jej, a na jego twarzy malował się wyraz pożądania.

- Ja... ja nie potrzebuję tylu ubrań. To tylko strata pieniędzy. Nie będę ich nosić - wykrztusiła.

- Nie martwi mnie perspektywa, że będziesz chodzić bez ubrania - powiedział, nie zważając na obecne w pokoju kobiety.

- Och, nie! - Ciszę, która zapadła po wypowiedzi Rane'a, przerwał rozpaczliwy okrzyk. Jedna z pokojówek, którą zain-

teresowała wymiana zdań pomiędzy jej chlebodawcą a jego żoną, nie dopilnowała żelazka i spaliła kosztowne koronki. Krawcowa podniosła głośny lament, pokojówka rozpaczała, a Charity usiłowała zaprowadzić spokój. Wreszcie odwróciła się do Rane'a.

- Byłoby o wiele lepiej, gdybyś zostawił nas same - powiedziała z irytacją.

Spojrzał na nią zwężonymi ze złości oczami.

- W porządku. Zostało ci jeszcze dwa dni, Charity. Dwa dni - podkreślił, wychodząc z pokoju.

Zszedł ze schodów i wyszedł na ulicę. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza i odpocząć od zamętu, jaki zapanował w jego domu. Zamyślony, doszedł aż do swojego klubu. Nie zwracając uwagi na karcący wzrok portiera, że wchodzi bez kapelusza i rękawiczek, skierował się do bocznej sali i zagłębił w fotelu, mając nadzieję, że nikt go tam nie odnajdzie.

Stało się jednak inaczej. Zaraz podeszło do niego dwóch, elegancko ubranych młodych dżentelmenów, hrabia Meckton i Everly Harrison, syn hrabiego Brainerd.

- Dobry Boże, Oxley, całe miasto mówi o tobie! - wykrzyknął Meckton, patrząc na Rane'a z nieskrywaną ciekawością.

- Ożeniłeś się, i to tak nagle. Wyjechałeś i zaraz poślubiłeś jakąś słodką wiejską panienkę. Musi być niezła, skoro tak szybko się zdecydowałeś! - uśmiechnął się Harrison. - Bardzo sprytnie zrobiłeś, wydając za mąż swoją metresę, zanim przywoziłeś tu żonę. Zaoszczędziłeś sobie całej fury kłopotów... Od razu wiedziałem, że coś się szykuje, kiedy twoja Fanny Deering wyszła za tego faceta z Southampton.

Rane wytrzeszczył oczy. Sprytnie wydał Fanny za mąż? Co on miał z tym wspólnego?

Usiedli, wypytyując go szczegółowo o konkury i okoliczności ślubu, ale Rane nadal myślał o tym, co Harrison powiedział

o Fanny. Wtedy wiadomość, że go porzuciła, wstrząsnęła nim do głębi. Teraz dostrzegł w tym szczęśliwe zrządzenie losu. Gdyby wrócił do Londynu ze świeżo poślubioną Charity, musiałby tłumaczyć się przed Fanny i zrywać ich związek. Ominęła go „fura kłopotów”, jak to ujął Harrison. Zresztą to mało powiedziane. Niezadowolona kochanka potrafi dobrze dać się we znaki. Jakie to dziwne, pomyślał, że to, co wtedy uważał za największego pecha, okazało się po pewnym czasie niesłychanie fortunnym wydarzeniem.

Przyszła mu na myśl jeszcze inna sprawa. Najazd na jego dom władczej, zaborczej babki oznaczał, że Charity nie mogła korzystać z apartamentów pani domu i za dwa dni będzie musiała dzielić z nim sypialnię.

Początkowo oba wydarzenia wydawały mu się katastrofalne, a teraz okazało się, że mają nadspodziewanie dobre strony. Może wszystko zależy od tego, jak się traktuje wszelkie zrządzenia losu? Skan i przerobienie pona.

Tego dnia obiad zupełnie się nie udał. Pstrąg był suchy, cielęcina przypalona, a deser nie nadawał się do jedzenia. Zrozpaczona kucharka zalewała się łzami, Eversby miotał się w popłochu, a Rane zaciskał zęby ze złości. Lady Margaret, przeczuwając, że ten obiad jest wstępem do jeszcze gorszych wydarzeń, przywiązywała do krzeseł żołądździe i suszone zioła. Zaproponowała też, że zamiecie kuchnię nową miotłą, żeby odwrócić pecha od kucharki. Lady Catherine pojawiła się dość późno, trzymając na rękach z lekka wyliniałego Caesara. Skwitowała gniewnym spojrzeniem uwagę lady Margaret, że obecność kotów przy stole sprowadza nieszczęście.

Charity czuła na sobie spojrzenie Rane'a, który patrzył z dezaprobata na jej starą, muślinową sukienkę. Kiedy lady Catherine napomknęła o kłopotach, jakie niespodzianie pojawiły

się w kuchni, Charity zaczerwieniła się, dłonie jej zdrząły, a jedzenie stanęło w gardle. Nowe zmartwienia, które będą się potęgować, dopóki nie opuści tego domu. Z trudem odpowiadała na pytania Rane'a o przymiarki i odrzuciła jego propozycję, żeby po obiedzie poznała resztę służby i obejrzała cały dom.

Odwróciła wzrok od nachmurzonej twarzy Rane'a i spojrzała na Caesara, a ten natychmiast zmrużył swoje żółte ślepia i zeskoczył z kolan lady Catherine, kierując się w stronę kominka. Wdrapał się po krzesło na gzyms, jak to zwykle robił po obiedzie. Tym razem gzyms kominka wypełniony był kryształowymi świecznikami i innymi cennymi przedmiotami, które lady Margaret pościagała z miejsc, gdzie mogły być narażone na ewentualną katastrofę. Kiedy wypasiony kocur zaczął się między nimi przeciskać, jeden po drugim lądowały na podłodze.

Wszyscy zamarli, patrząc w milczeniu na porozbijane świeczniki i kryształowe flakony. Zaskoczony Caesar stracił równowagę i stoczył się z gzymsu, przy okazji ogałacając go z pozostałych drobiazgów. Zrobił salto w powietrzu i upadł na grzbiet! Lady Catherine wydała zduszony okrzyk przerażenia i rzuciła się swojemu ulubieńcowi na ratunek.

- Skąd się, u diabła, to wszystko wzięło na kominku? - ryknął Rane, zrywając się na nogi.

- To ja... ja kazałam służbie postawić tu wszystkie cenne przedmioty - przyznała lady Margaret. - Żeby się... nie stłukły.

- Do jasnej cholery! -jeszcze głośniej krzyknął Rane. - To nie Standwell Hall. Proszę nie przestawiać rzeczy z powodu jakichś idiotycznych przesądów! Niedobrze mi się robi od tego kretyńskiego „szczęścia i pecha”. To te idiotyzmy narobiły tyle szkody! Wszystko ma pozostać tak, jak było, a moi służący nie będą nosić żadnych głupich amuletów! - Rzucił serwetkę na stół i wyszedł z jadalni.

Charity spojrzała na babkę. Rane się mylił. To nie babka



była przyczyną tylu szkód, a nawet nie Caesar, tylko ona sama. Jej aura. Co innego mogłoby spowodować, żeby kot upadł na grzbiet? Niedługo fatum, które nad nią wisiało, dosięgnie Rane'a! Kiedy lady Catherine wyszła z jadalni, Charity zwróciła się do babki.

- Co ja mam robić? Poradź mi, babciu.

- Może powinnaś powiedzieć mu o swojej nieszczęsnej aurze. Może on mógłby...

- On tego nie zrozumie, przecież nawet nie wierzy w szczęście. Będzie wściekły i będzie chciał... Nie, nie mogę mu powiedzieć.

Zasepiona lady Margaret dotknęła swojego amuletu w kształcie półksiężycy. Dzisiaj w nocy spróbuje wyczytać coś z gwiazd...

Przedłużające się milczenie babki rozzłościło Charity. Przez całe życie lady Margaret wmawiała jej, że potrafi pokonać wszelkie trudności i ma na wszystko swoje czarodziejskie sposoby. Przekonywała Charity, że dzięki życiu wśród Cyganów poznała najtajniejsze tajemnice natury. A teraz, w najbardziej istotnym momencie, w najważniejszej życiowej sprawie, tajemna cygańska wiedza babki na nic się zdała.

- Nie będę czekać, aż stanie mu się coś złego - oświadczyła Charity. - Zrobię wszystko, żeby go uchronić przed moją fatalną aurą.

Zapadający zmierzch zastał Charity w apartamentach Rane'a. Poprzywiązywała już jemiotę do kolumnienek jego łoża, powkładała suszone łydgi arcydzięgla do jego ubrań i poustawiała jego buty w ten sposób, żeby ich czubki zwrócone były na północ. Zapełniła żołądkami i pestkami jabłek kieszenie jego płaszczy i surdutów oraz rozsypała sól na parapetach i wzdłuż kominka, żeby bronić dostępu złym mocom. Wstawiła

mu pod łóżko naczynie z wypalonym węglem, a pod materac położyła nożyczki, żeby przecięły jego pasmo niepowodzeń. Nie miał starych butów, więc zdjęła własne pantofle; jeden wstawiła pod łóżko, a drugi postawiła na parapecie, za zasłoną. Chętnie zawiesiłaby jeszcze kilka podków i umieściła gdzieś kawałki spalonego od pioruna drzewa, ale nie udało się jej tego zdobyć.

Rozejrzała się po pokoju, przygryzając wargę. Chyba o niczym nie zapomniała. Jej wzrok zatrzymał się na łóżku, na miękkich poduszkach i eleganckiej kołdrze. On tu sypiał. Wyobraziła sobie, że sama leży na tym jedwabnym prześcieradle, w jego ramionach. Nagle ogarnęło ją pragnienie, żeby poczuć jego silne, nagie ciało na swoim ciele. Na tę myśl poczuła przenikający ją do głębi dreszcz podniecenia.

Zaczerwieniła się i szybko ruszyła do drzwi. Wyjrzała na korytarz, ale był tam tylko lokaj, który zapalał świece w ozdobnych kinkietach. Szybko sięgnęła do kieszeni, wyjęła torebkę soli i rozsypała ją, robiąc obwódkę przy drzwiach jego sypialni. Skupiona na tym zajęciu, powtarzając wymawiane przy tej okazji słowa, nie usłyszała zbliżających się kroków.

Rane zatrzymał się, patrząc na jej schyloną postać, ale nie mógł dostrzec, co robiła. Kiedy się wyprostowała, podszedł do niej.

- Och! - Zarumieniona Charity szybko schowała coś do kieszeni.

- Co tam robiłaś? - spytał.

Jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- Ja... zgubiłam szpilkę do włosów i... szukałam jej - wykrztusiła

- Charity, musimy porozmawiać. Szedłem właśnie do twojego pokoju.

- Nie! Nie teraz, proszę! - Pobiegnęła do swojej sypialni, zamykając mu drzwi przed nosem i przekręcając klucz w zam-

ku. Rane podniósł zaciśnięte pięści, gotów rozwalić drzwi, opanował się jednak. Jeszcze dwa dni, pomyślał. Postanowił przebrać się i iść do klubu. Zatrzymał się przy drzwiach swojego apartamentu, wpatrując się w podłogę. Wzdłuż drzwi ciągnął się szlak z jakichś białych ziarenek. Schylił się, wziął je w palce, powąchał i dotknął językiem.

Sól! Ona rozsypała sól przed jego drzwiami. Ściągnął brwi. Przypomniał sobie, że lady Margaret używała soli, by, jak twierdziła, odpędzać złe moce. Kiedy wszedł do sypialni, uderzył go widok pęczków jemioły przy kolumnkach łóżka. Jemioła na szczęście? To ona ją przywiązała? Przecież Charity nie wierzy w przesady lady Margaret...

A jednak... kiedy spotkał ją pod drzwiami swojej sypialni, zauważył, że z jej szyi zwieszały się amulety. Miała je również przy przymiarkach, słyszał, jak mówiła krawcowej, że nie zamierza ich zdejmować. Zaczęła nosić talizmany i podzielać zwariowane przesady babki. Co się z nią, u diabła, dzieje?

Wybiegł do holu i był już w połowie drogi do sypialni Charity, kiedy na schodach ukazała się lady Margaret, obciążona pęczkami ziół i innymi dziwnymi przedmiotami. Zatrzymał się, spojrzął na niesiony przez nią koszyk i oczy mu pociemniały. Chwycił ją za ramię i zaciągnął do pokoju.

- Chcę wiedzieć, co się stało z Charity tuż przed moim wyjazdem ze Standwell - syknął przez zaciśnięte zęby, pochylając się nad nią. - Co spowodowało, że nie chciała za mnie wyjść? Mam prawo wiedzieć, co się, do cholery, zdarzyło!

Lady Margaret cofnęła się, mierząc go niespokojnym wzrokiem. Jego miłość do Charity była wystarczająco silna, przyjechał przecież do Devon, wywołał skandal w kaplicy, kiedy stała już przed ołtarzem u boku barona, i sam ją poślubił. Czy jest jednak na tyle silny, żeby sprostać temu wyzwaniu?

- Tak, ma pan prawo - powiedziała lady Margaret, siadając przy kominku. - Ale to się panu nie spodoba. - Charity ma

szczególne piętno, roztacza wokół siebie fatalną aurę. - Zachnął się, ale starsza dama uciszyła go gestem. - Wiem, że uważa mnie pan za starą wariatkę, ale ja kocham wnuczkę nad życie.

Rane zauważył wyraz cierpienia w jej oczach i zrozumiał, że ona naprawdę wierzy w swoje słowa.

- Ze wszystkich możliwych idiotyzmów...

- Nawet kiedy była małym dzieckiem, ciągnęły się za nią mniej lub bardziej katastrofalne wydarzenia. Nigdy nie dotyczyły jej samej, zdarzały się tylko w jej obecności. Czasem były to tylko drobiazgi, stłuczona filiżanka, oderwany guzik. Czasem o wiele poważniejsze wypadki, rozbite powozy, połamane kości, albo podróżny postrzelony w... w...

- Tyłek - podsunął ze złośliwym uśmiechem.

- Właśnie tak. Upton nie chciał w to wierzyć, chociaż nie potrafił wytłumaczyć tego wszystkiego, co się wokół niej działo. W każdym razie zabronił nam wspominać o tych sprawach w jej obecności. Staraliśmy się uchronić dom przed ewentualnymi szkodami, które mogła wywołać, i pilnowaliśmy, żeby nigdy nie przyszło jej do głowy, że te rzeczy dzieją się z jej winy. Zawsze miała dobre serce. Nie wiedzieliśmy, co by się stało, gdyby się dowiedziała, że sama jest przyczyną kłopotów ludzi, którym zawsze starała się pomóc.

- Charity nie wierzy w takie... - Nie dokończył zdania. Nie wierzyła w te bzdury. Ale teraz nosi amulety i rozsypuje sól na progu. - Co się z nią stało?

- Dowiedziała się o wszystkim. Słyszała, jak pan rozmawiał z Garem i Percym w jaskini. Ta wiadomość nią wstrząsnęła.

- Nie wierzę! Pani mówi, że ona nie chciała za mnie wyjść tylko dlatego, że dwóch kretynów mówiło o jakiejś aurze?! Nie ma takiej rzeczy, jak jakaś idiotyczna aura! - Rane zacisnął pięści. Ogarnął go gniew; oni rzeczywiście wierzyli, że Charity była w jakiś sposób odpowiedzialna za zdarzające się wokół

niej nieszczęścia - ta Charity, której sama obecność uśmierzała wszelki ból!

- A jednak to prawda. Wyczytałam to z księżycy w noc jej urodzin. Nic pan nie wie o tych wszystkich wypadkach, kłopotach i nieszczęściach, które się stale wydarzały. Ale ona, kiedy się dowiedziała o fatum, które nad nią ciąży, natychmiast to sobie wszystko przypomniała i tym tłumaczyła wszystkie wypadki, które się panu u nas przytrafiały. Bała się, że jeśli wyjdzie za pana, to ściągnie na niego nieszczęście.

- Ona myślała...

- Chciała pana chronić. - Lady Margaret potrząsnęła głową. Nie wierzył w to, zupełnie jak Upton. - Staralam się trzymać was z daleka od siebie. Nie chciałam, żeby się w panu zakochała... albo pan w niej. Właśnie straciła ojca i nie mogła otrząsnąć się z rozpacz.

Z tego wszystkiego, co plotła starsza pani, tylko ta wiadomość do niego trafiła. Charity właśnie straciła ojca. Rozpacz czasem tak działała na ludzi. Zaczynali w coś wierzyć albo tracili tę wiarę.

- A Pinnow? - Rane usiłował wydobyć jakiś sens z tej bezsensownej sytuacji. - Dlaczego, u diabła, zgodziła się za niego wyjść?

- Zgodziła się, ponieważ nim pogardzała. Powiedziała, że on zasługuje na to, by mieć taką żonę.

Nagle wszystko stało się dla niego jasne. On nie wierzył tym bzdurcom... ale Charity uwierzyła w nie. Uwierzyła w swoją fatalną aurę i dlatego odrzuciła człowieka, którego kochała, żeby poślubić innego, znienawidzonego mężczyznę.

Znał destrukcyjną siłę wiary w przesady; widział jej działanie już jako mały chłopiec, na Barbadosie. Kiedy te wierzenia splatały się z chorobami lub niszczyielskimi siłami natury, jak na przykład tropikalne burze, zarówno tubylcy, jak i właśc-

ciciele plantacji popadali w obłąd. Nie wyłączając jego ojca. Gdyby nie wrodzony sceptycyzm, sam mógłby paść ofiarą tych przesądów.

Musi temu przeciwdziałać! Jego dobra, kochająca Charity ma poczucie winy i odcina się od tych, których kocha, żeby ich chronić. Ona zasługuje na to, żeby być szczęśliwa i kochana, więc on musi stoczyć walkę z jej przesądami i obawami.

Charity stała w swoim pokoju, przesuwając wzrokiem po rozlicznych pudłach, belach materiałów, paczkach i paczuszkach. Na wieszakach wisiały pofastrygowane suknie z miękkich, drogich materiałów. Na ten widok odczuła jeszcze większy ciężar w sercu. On jej to wszystko dał, a ona nie miała mu nic do zaofiarowania, przyniosła mu tylko nieszczęście.

Zdjęła swoją starą muślinową sukienkę i halkę i zaczęła rozsznurowywać gorset, kiedy usłyszała głos Rane'a.

- Charity! Otwórz drzwi!

Serce jej waliło jak oszalałe. Wiedziała już, że jego cierpliwość się wyczerpała. Nadszedł moment, którego się obawiała. Zastukał znowu, żądając, żeby wyszła z pokoju albo on do niego wejdzie. Nie mogła się odezwać, miała ściśnięte gardło. Po chwili zapanowała cisza, jeszcze bardziej przerażająca niż jego wołanie. Zaraz wyważy drzwi. Usłyszała tylko cichy brzęk. To klucz wypadł z dziurki i drzwi się otworzyły.

W progu stał Rane, trzymając w ręce metalowe kółko z kluczami.

- Drzwi w tym domu są bardzo grube - powiedział, bawiąc się trzymanym w ręku kluczem. - A ja chcę mieć dostęp do tego, co do mnie należy. Mam klucze do wszystkiego, mój aniele.

Charity czuła na sobie jego zaborczy wzrok. Chciał jej powiedzieć, że do niej również posiada klucz. Doskonale wiedział, jak wyzwolić jej pożądanie.

Włożył klucze do kieszeni i podszedł do niej.

- Nie, nie możesz...

- Mogę, mój aniele. I zrobię to. - Chwycił ją na rękę i wyniósł do holu

- Zostaw mnie. Mówiłam ci, jeszcze dwa dni. - Charity miotała się w jego żelaznym uścisku.

- Nie mam zamiaru czekać dwóch dni, żeby z tobą porozmawiać - stwierdził. - Nie będę też już dłużej czekać na to, żebyś znalazła się w moim łóżku,

Jej babka wybiegła do holu, a lady Catherine stała w otwartych drzwiach swojego apartamentu. Patrzyły na tę scenę rozszerzonymi oczami. Charity poczuła się okropnie upokorzona - wyciągnął ją z pokoju półnagą, żeby zanieść do swojego łóżka. Zakryła twarz rękami, najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Wchodząc do swojej sypialni, Rane zwolnił kroku i rzucił lady Margaret rozkazujące spojrzenie.

- Może by pani zechciała zamknąć za mną drzwi. Jak widać, nie mam wolnych rąk.

Lady Margaret spojrzała na niego z oburzeniem. Po chwili jednak na jej twarzy ukazał się domyślny uśmiech i szybko wypełniła jego polecenie. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, usłyszała pełen oburzenia głos lady Catherine:

- No nie. Ja nigdy...

Lady Margaret obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- No tak, myślę, że pani rzeczywiście nie... A to na pewno dobrze by pani zrobiło.

## 18

pokoju paliła się tylko jedna świeca. Rane położył Charity na łóżku i przygniół swoim ciałem, uniemożliwiając ucieczkę. Z trudem chwytiała oddech, próbując się wyrwać.

- Jak śmiałeś coś takiego zrobić... na oczach mojej babki i lady Catherine? Zachowałeś się jak barbarzyńca. - Charity wiała się pod ciężarem jego ciała.

- Wcale nie. Jestem tylko spragnionym miłości mężem w noc poślubną - roześmiał się. - Jestem twoim mężem, Charity. A teraz jest nasza noc poślubna.

Charity każdym nerwem czuła bijące od niego ciepło. Powinna panować nad sobą. Odsunęła głowę na bok.

- Niosłeś mnie prawie naga przez cały hol... - Zebrała resztkę sił i usiłowała odepchnąć go od siebie. Wkrótce nie będzie miała dość energii, aby oprzeć się swojemu pożądaniu. Bez skutku - jego silne ciało o twardych mięśniach jeszcze bardziej przygniotło ją do łóżka, a zalewające ją fale gorąca docierały do każdego zakamarka jej ciała.

- Musiałem to zrobić. - Charity słyszała jego aksamitny głos i wiedziała, że jego twarz ma teraz namiętny wyraz. W noc poślubną pan młody zawsze przynosi pannę młodą przez próg... to przynosi szczęście.



To słowo w jego ustach dziwnie ją uderzyło, spojrzała na niego. Ogorzała twarz, pałające szare oczy, wygięte w uśmiechu usta, dołek w policzku, opadający na czoło kosmyk czarnych włosów... Ogarnęła ją nowa fala namiętności. Odczuwała gwałtowną potrzebę zaspokojenia swojej tęsknoty i udręki. Zaczęła odpychać go od siebie ze zdwojoną siłą.

- Bez względu na „szczęście”, którego oczekujesz, musisz jeszcze czekać dwa dni - upierała się.

Rane roześmiał się głośno. Przesunął się trochę, jego nabrzmiały członek uciskał teraz jej łono.

- Mam wiadomość z bardzo dobrego źródła, że twoja niedyspozycja nigdy nie trwa aż siedem dni. Uważam, że to nie byłoby w porządku, żebym musiał czekać przez cały tydzień, kiedy tobie nic już nie dolega.

- Kto ci o tym powiedział? - Charity oblała się ciemnym rumieńcem.

- Rozmawiałem z twoją babką...

- Rozmawiałeś z babką o... och, nie! - Tym razem naprawdę chciała się mu wyrwać. Jej duma została zraniona. Jak on śmiał rozmawiać na tak intymne tematy z jej babką! Ona też nie była lepsza, wtajemniczając go w takie szczegóły. Wiła się pod nim ze zdwojoną energią, ale on nie reagował.

Były to daremne zmagania, które doprowadziły tylko do bliższego kontaktu ich ciał. Charity przymknęła oczy, odczuwając coraz silniejsze pożądanie.

Nie powinna się temu poddawać, powinna się opierać, zrobić to dla jego dobra, tak bardzo chciała go chronić. I ulec mu... też dla jego dobra, przecież tak bardzo chciała go zadowolić. Zanadto go kochała, żeby mu na to pozwolić... Zanadto go kochała, że mu się oprzeć.

- Mój aniele...- Głos Rane'a przerwał bieg jej myśli. Delikatnie przesunął jej głowę na poduszce. - Spójrz na mnie, Charity.

Powoli podniosła powieki. W jego wzroku wyczytała siłę jego pożądania i wielką czułość.

- Chcę zaznać z tobą magii nocy - szepnęła, pochylając się nad nią.

Jego usta delikatnie dotknęły jej warg, jakby to był ich pierwszy pocałunek. Potem lekko muskał je językiem, a ona, nie mogąc już znieść tej rozkosznej męki, podniosła głowę, czekając na głęboki, namiętny pocałunek. On jednak wciąż przesuwał ustami po jej wargach.

- Powiedz to - nalegał.

- Kochaj mnie - szepnęła.

Charity wydała cichy jęk, kiedy poczuła, że jego język błądzi we wnętrzu jej ust. Objęła męża i przyciągnęła do siebie. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej wyszukane, ale ona pragnęła już czegoś więcej.

Zsunął się z niej i zaczął rozwiązywać sznurówki jej gorsetu. Najpierw jego wargi dotknęły jej nagich piersi, a potem poczuła, jak delikatnie pieści je językiem. Kiedy jego usta zacisnęły się na jej sutkach, poddawała się tej rozkosznej pieszczocie, wyginając ciało i dając mu do zrozumienia cichym jękiem, że pragnie jeszcze silniejszych doznań. Wydała pomruk rozkoszy, kiedy zacisnęła zęby na jej stwardniałej brodawce.

Krew pulsowała jej w skroniach, każde dotknięcie przemawiało ją drzeniem. Ocierała się o niego, wchłaniała go w siebie, nie mogąc się nim nasycić. Jej ciało wibrowało trudną do opisanego rozkoszą. Wygięła się jeszcze bardziej i przylgnęła do niego, nieświadomie poruszając biodrami.

Rane odsunął się od niej nagle, pocałował ją lekko w usta i usiadł na łóżku. Charity otworzyła oczy, czując, jak przenika ją chłód.

- Co... co się stało? - Uniosła się na łokciach,

- To zła wróżba, jeśli pan młody musi sam sobie rozpinąć guziki, mój aniele - poinformował ją ochrypłym szeptem. -

Jestem uwięziony we własnym ubraniu... chyba że mnie z niego oswobodzisz. - Przyciągnął jej dłoń do swojej kamizelki. - Będziesz musiała mi pomóc.

Po chwili siedziała już przy nim na łóżku, jej obnażone piersi wychylały się z wycięcia koszuli, a długie włosy opadały na ramiona. Drżącymi palcami rozpinała perłowe guziczki jego kamizelki, a on całował ze śmiechem koniuszki jej palców.

- Nie ma pośpiechu, kochanie. - W jego oczach lśniło, tłumione siłą woli, pożądanie, a ona już wyzbyła się wstydu. Odetchnęła głęboko i coraz szybciej rozpinała guziki.

Rane zdjął surdut i rzucił go na podłogę, po czym zsunął buty z nóg. Charity rozpięła mu kamizelkę i zobaczyła z przerażeniem koszulę z dwoma rzędami guzików. Szybko zabrała się do ich rozpinania, wreszcie zrzucił z siebie kamizelkę i koszulę.

Głaskała jego ogorzałą, muskularną pierś, dopóki nie zsunął jej ręki niżej, do guzików spodni.

- To też.

Charity przełknęła ślinę i zaczęła powoli rozpinać guziki. Chwytał jej dłoń i przycisnął do swojej sztywnej, pulsującej męskości. Zadrżał, kiedy poczuł, jak jej palce zaciskają się na niej.

Odrzucił spodnie, ściągnął jej koszulkę. Leżała teraz całkowicie naga, wyciągając do niego ramiona. Ale on szukał czegoś przy kolumnienkach łoża, a kiedy się przy niej położył, oparł się na łokciu, napawając się widokiem swojej ogorzałej skóry przy jej alabastrowym ciele. Podniósł rękę, w której trzymał gałązkę jemiioły.

- Jeśli całowanie się pod jemiiołą ma być dobrą wróżbą, to co dopiero kochanie się pod jemiiołą - oświadczył, składając pocałunek na jej wargach.

Charity przymknęła oczy. Poczowała nagle, że gałązka przesuwa się po jej twarzy, szyi, nabrzmiąłych brodawkach piersi.

- Rane... - wykrztusiła, ale on już przesunął jemiółą po jej brzuchu, który natychmiast zareagował na dotyk

- To przynosi szczęście, mój aniele. Nie czujesz, jakie to przyjemne?

Och, tak, to było rozkoszne uczucie. Rane powoli przesunął jemiółą po jej brzuchu, zbliżając ją ponownie do piersi. Charity odczuwała coraz silniejsze podniecenie. Skóra zaczęła ją palić. Gałązka trochę ją łaskotała, chciała położyć się na boku, ale roześmiał się tylko, przygniatając ją znowu swoim ciałem. Po chwili zaczął przesunąć jemiółę w dół. Charity wygięła biodra i rozsunęła nogi. Dotykał gałązką delikatnym ruchem ciemnego trójkąta między jej nogami. To wystarczyła, żeby poczuła tam nagłą wilgoć.

- Rane, proszę cię, teraz - szeptała, chwytając go za ramiona. Ucisk, jaki odczuwała w dole brzucha, przekształcił się w bolesną potrzebę, którą tylko on mógł zaspokoić. Jego nabrzmiąły członek ocierał się o jej łono, jej biodra zaczęły się poruszać... Rane zamknął pocałunkiem jej rozchylone wargi, wsunął język do jej ust, ujął w obie dłonie jej piersi i wszedł w nią cały. Wchłaniała go w siebie... tworząc z nim jedność.

Ich ciała poruszały się w zgodnym rytmie namiętności, dopóki nie osiągnęły radosnego poczucia spełnienia. To było wspaniałe! Charity wtuliła się w niego - to było coś więcej niż zwykłe zaspokojenie zmysłów. Spojrzała na jego rozjaśnioną twarz, on też to wiedział.

- Czuję się tak, jakbym miała skrzydła - szepnęła.

- A ja czuję się tak, jakbym mógł przenosić góry. - Pocałował jej obrzmiałe wargi. Jej piękne oczy wyzwały w nim emocje, których nigdy przedtem nie kojarzył z fizyczną miłością.

- Przed chwilą dałaś mi tyle rozkoszy, mój aniele, a ja wciąż cię pragnę. Pragnę cię dotykać, całować, sycić tobą moje zmysły.

Wyraz jej oczu wystarczył mu za odpowiedź. Zanurzył twarz w jej włosach.

- Czy wiesz, że taki pocałunek podczas nocy poślubnej przynosi mężczyźnie szczęście? - mruczał, całując jej piersi. - A ten jest wyjątkowo pomyślny - szeptał, przesuwając wargami po sutkach.

Charity śmiała się, kiedy pokrywał ją pocałunkami, wymieniając wszystkie szczęśliwe miejsca na ciele panny młodej.

Zesztywniała, kiedy poczuła, że wargi Rane'a prześlizgują się po wewnętrznej stronie jej uda. Wiedziała, dokąd zmierzał w poszukiwaniu szczęśliwego miejsca.

- Rane, nie... Nie możesz...

Podniósł głowę.

- Zamknij oczy i zdaj się na mnie. - Charity oblała się ciemnym rumieńcem. Była tak zaszokowana, że szybko zrezygnował ze swojego zamiaru. - Zaufaj mi, mój aniele. Nie zrobię niczego, co by cię mogło zawstydzić. Zamknij oczy i pozwól, żebym cię kochał.

Charity położyła się i zamknęła oczy, czuł jednak pod wargami jej napięte mięśnie. Rozluźniła się, kiedy poczuła, jak jego usta prześlizgują się z uda na brzuch.

Kiedy wniknął w nią, poprzednie uczucie zaspokojenia już się gdzieś ulotniło i Charity niesiona była ponownie falą pożądania. A Rane razem z nią. Leżała z uniesionymi wysoko biodrami. Poddawała mu się skwapliwie, a on wchodził w nią coraz głębiej, upajając się jej otwartością i urywanym oddechem, aż wreszcie wbił się w nią tak głęboko, jak tylko zdołał. Za każdym razem, kiedy się z niej wycofywał, ścisnęła go mocno, usiłując zatrzymać, aż wreszcie zadrżała. Charity krzyknęła, kiedy poczuła w sobie wybuch wulkanu, sama jednocześnie osiągając orgazm.

Wyczerpana, z radosnym poczuciem całkowitego zaspokojenia, wtuliła się w ramiona Rane'a i zapadła w sen.

Kiedy się zbudziła, Rane leżał na boku, patrząc na nią z czułością. Przesunęła koniuszkami palców po jego wargach.

- Mówiłem ci, że piersi są bardzo szczęśliwym miejscem. Teraz mi wierzysz? - spytał, głaszcząc jej brzuch i piersi.

- Tak. Szczęśliwe piersi, uda... jemioła i mnóstwo guzików do rozpinania. - Charity przytuliła jego dłoń do swojej piersi. - Jeszcze nigdy nie słyszałam o rozpinaniu panu młodemu guzików.

- Jeszcze nigdy nie miałaś nocy poślubnej.

- Ty też nie. Skąd wiedziałeś o guzikach?

- Mężowie... mają swoje źródła informacji.

- Nie wiedziałam, że wierzysz w szczęście. - Spojrzała na niego podejrzliwym wzrokiem.

- Nie wierzę.

Te słowa wprowadziły ją w niepokój.

- Jeśli nie wierzysz, to dlaczego...

- Wiem, że ty w to wierzysz. Zaczęłaś nosić amulety. Przywiązałaś jemiołę do kolumnienek mojego łóżka. Rozsypałaś sól przed moimi drzwiami i postawiłaś stare buty na kominku. Nigdy przedtem tego nie robiłaś.

Charity poczuła nagłą suchość w ustach, serce waliło jej jak oszalałe.

- Byłaś gotowa poślubić barona, którego dotyk napawał cię wstrętem. Co spowodowało tę zmianę, Charity? Co wiesz teraz, czego nie wiedziałaś przedtem?

Patrzyła na niego, czując zimne dreszcze.

On wiedział wszystko. Dowiedział się o jej fatalnej aurze. Jak babcia mogła...! Usiłowała wyrwać się z jego objęć, uciec jak najdalej.

- Charity! Posłuchaj...

Przygotowany był na taką reakcję, nie spodziewał się jednak, że będzie aż tak gwałtowna. Chwycił ją za ręce, a kiedy się nie poddawała, przygniótł do łóżka całym swoim ciężarem.

- Puść mnie!

- Charity! Spójrz na mnie! Mój aniele! Nie masz żadnej fatalnej aury. Taka rzecz nie istnieje!

- Istnieje i ja ją mam! Czy jesteś ślepy? Nieszczęście postępuje w ślad za mną jak cień. I niech Bóg ma w swojej opiece tego, na kogo on padnie... Gar i Percy, baron, Wolfie, mój ojciec... i ty! Nikt nie jest przy mnie bezpieczny - dodała zdławionym głosem.

- Nie wierzę w to, mój aniele...

- Nie jestem twoim aniołem. - Popatrzyła na niego z rozpaczą. - Czy nie widzisz, co się dzieje, kiedy wejdę do domu, a nawet pokoju? Bibeloty spadają z półek, a ludzie ze schodów. Dławią się albo przewracają o własne nogi. Krzesła się łamią, konie wpadają w panikę, ktoś się parzy gorącym płynem, wybucha ogień... To się stale zdarza w mojej obecności! To się też przydarzyło tobie!

- Mnie? Posłuchaj, kochanie. Jedyna katastrofa, jaka mnie spotkała, to fakt, że uwierzyłaś w te bzdury i że chciałaś *odsunąć mnie od siebie. Ja cię kocham*, Charity.

- Nie! - Zaczęła szybko wykonywać jakieś ruchy dłonią, domyślił się, że kreśliła szczęśliwe cygańskie znaki. - Nie mów tego! Nigdy mi tego nie mów! - załkała. Marzyła, żeby usłyszeć te słowa, ale nie mogła pozwolić, żeby przyniosły mu nieszczęście. - Właśnie ty powinienes wiedzieć, jak fatalną roztaczam aurę. Spowodowałam wypadek twojego powozu...

- Mówisz głupstwa! Jechałem jak szalony po okropnej drodze...

- A ja przebiegłam przed *powozem* i wystraszyłam twoje konie.

- Ty? Koło się złamało w jakiejś przeklętej koleinie, konie się spłoszyły i nie mogłem już nad nimi zapanować...

- A od tej chwili - wyszeptwała - spotykały cię same kłopoty. Postrzelono cię w... siedzenie.

- To zrobili ci dwaj kretyni, Gar Davis i Percy Hall.  
- Oni nie chcieli cię trafić, Rane - jęknęła Charity. - Po raz pierwszy w życiu trafili wtedy do jakiegoś celu! Przyniesiono cię potem do Standwell Hall...

- Wprost w twoje kochające ramiona...

- Rane... - Nie chciał jej wysłuchać, nie chciał niczego zrozumieć. - Wypadłeś z łóżka, poparzyłeś się, skaleczyłeś sobie stopę...

- Za sprawą twojego przekłętego psa! Kiedy się tylko ruszyłem, zaraz się na mnie rzucił. Jeśli ktokolwiek w tym domu roztaczał fatalną aurę, to tylko on. Jest chodzącą katastrofą!

- Stale uderzałeś się w głowę i chwiałeś na nogach! - Charity nie dawała za wygraną.

- Przecież miałem zraniony pośladek! - wykrzyknął. - Miałem sztywne biodro i niesprawną nogę. A do tego wzrok zamglony pożądaniem. To nie twoja aura, Charity, to moja żądza!

- A co powiesz o podwieczorku dla przyjaciółek twojej babki? - Charity też podniosła głos. - Czy to zamieszanie sprawiła twoja żądza?

- Nie. Zrobił to Wolfram! - wybuchnął. - Każdy indywidualnie ocenia wydarzenia. Ja, na przykład, uważałem, że to było cholernie śmieszne przedstawienie.

Zapanowała cisza. Położył się obok niej, sfrustrowany jej uporem. Przez głowę przebiegały mu gorączkowe myśli. Przypomniał sobie rozmowę z Mecktonem i Harrisonem w klubie. Wydarzenia, które traktował jak prawdziwe katastrofy, po upływie czasu wykazały swoje dobroczynne działanie. Jego chciwa, narzucająca się babka, utrata kochanki... rana pośladka... sezon towarzyski bez jego udziału... to wszystko sprawiło, że mógł znaleźć się w jej ramionach. Rzeczywiście, wszystko zależy od tego, jak się ocenia wydarzenia!



- Posłuchaj mnie, Charity! - Usiadł na skraju łóżka i przyciągnął ją do siebie. - Wiara w dobry lub zły los to tylko sposób traktowania rzeczywistości. Wypadki się zdarzają, bo ludzie są nieostrożni, nieprzygotowani albo głupio postępują, kładą na przykład wszystkie delikatne przedmioty na gzymsie kominka albo trzymają tak ogromnego psa, że mógłby ciągnąć pług, nie mającego przy tym krzty rozumu. - Zauważył błysk niedowierzania w jej oczach i zacisnął zęby.

- Ty tego nie rozumiesz. Przez całe moje życie... - Jej oczy napełniły się łzami. Nie potrafiła sobie przypomnieć tych wszystkich incydentów, zresztą on i tak by jej nie uwierzył, znalazłby dla nich jakieś racjonalne wytłumaczenie.

- Proszę cię, Rane. Pozwól mi wrócić do domu, do Standwell.

- Nie! - Wstał z łóżka, a ona szybko zakryła się prześcieradłem. Ogarnęła go furia na samą myśl, że ona mogłaby się zamknąć w tym ponurym domu, odciąć od świata na skutek idiotycznych przesądów jej babki.

- Błagam cię, Rane. Nie chcę, żeby cię spotkało coś złego. A jeśli tu zostanę, na pewno się tak stanie.

Zrozumiał wreszcie destrukcyjną siłę tych przesądów. Charity kochała go, ale była święcie przekonana, że jej obecność sprowadzi na niego nieszczęście.

Kiedy wziął ją w objęcia, wiedziała już, jaką podjął decyzję. Przytuliła się do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

- Nie pozwolę ci odejść, Charity. Nie mogę tego zrobić. Jesteś moją żoną, moją miłością.

- Proszę, nie mów...

- Kocham cię, Charity. - Odchylił jej głowę, patrząc na zalaną łzami twarz. - Wymawianie czy niewymawianie tych słów niczego nie zmienia. To nie jest magiczne zaklęcie. Wyrażam tylko to, co czuję.

Charity wstrzymała oddech. Potrzebował jej, chciał, żeby

dzieliła z nim życie. A ona nie mogła wyznać mu swojej miłości - te słowa przypieczętowałyby jego los.

- Powiedz to, Charity - nalegał.

Potrząsnęła tylko głową.

W jego oczach ukazały się błyskawice gniewu, zacisnął pięści. Musiał to usłyszeć, dla swojego i jej dobra. Dopóki nie wyzna mu swojej miłości, oboje staną się więźniami jej przesądów i obaw.

Jak on ma walczyć z iluzją... z jej ślepa, zabobonna wiara? Może zwalczyć ją prawdą, wiara w coś rzeczywistego? W co jeszcze wierzyła Charity? Rozmyślając gorączkowo, przesuwając wzrokiem po jej nagich ramionach, opuchniętych od pocałunków wargach i skłębionej pościeli. Wiedział już. Było coś, w co wierzyła, co pozwoliłoby jej zapomnieć o fatalnej aurze - przynajmniej na chwilę.

Siła miłości. Magia nocy.

- Jesteś moją żoną, Charity. Wicehrabiną Oxley. - Zaczął głaskać jej ramiona. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak długo musiałem czekać, żeby móc wypowiedzieć te słowa, jak długo czekałem, żeby wprowadzić żonę do swojego domu? Kupiłem ten dom trzy lata temu, tylko nie było panny młodej, która by miała przestąpić jego próg. W tym domu nie było też miłości ani radości. - Delikatnie otarł jej łzy z twarzy. - Czy wiesz, co znaczy dla mnie twoja obecność? Fakt, że przy obiedzie patrzą na mnie twoje złociste oczy, że mogę ubierać twoje rozkoszne ciało w jedwabie i koronki? Czy wiesz, co znaczy dla mnie świadomość, że wieczorem mogę się znaleźć w twoich ramionach?

Nie przekonałby jej żadnym logicznym wywodem, ale te słowa docierały wprost do jej serca. Był samotny w tym ogromnym domu. Nie miał nikogo, z kim mógłby dzielić życie.

- Kocham cię, Charity. - Pochylił się nad nią. - Bez względu na taką czy inną aurę, chcę cię mieć w swoim domu i przejść

z tobą przez życie. Jesteś panią tego domu, moją żoną i kochanką, będę walczyć o ciebie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Muszę jednak wiedzieć, czego ty chcesz, Charity?

Zagryzła wargę. Miała teraz wszystko, o czym naiwnie marzyła, kiedy była młodziutką dziewczyną... i o wiele więcej. Piękny dom, eleganckie ubrania, służbę... i mężczyznę, którego kochała. Strach walczył w niej z tęsknotą. On nie pozwoli jej odejść, nie chce, żeby go chronić. Żąda, żeby dzieliła z nim życie, bez względu na to, gdzie ono ich zaprowadzi. Nie mogła się przed tym bronić. Sama tego pragnęła.

- Ale gdyby coś ci się stało...

- Charity, nasze życie będzie zależeć od tego, co sami z nim zrobimy. Tu nie ma żadnych gwarancji. Każda spędzona z tobą chwila będzie miała dla mnie szczególne znaczenie. Chcę cię kochać w każdej minucie, która będzie tak ważna jak całe moje życie. Chcę, żeby twoja „magia nocy” była również „magią dnia”. A ty, czego pragniesz, Charity?

Podniosła na niego oczy, błyszczące od łez.

- Chcę... mieć niebieską suknię z haftowanym spencerkiem. Chcę, żeby Wolfie miał skórzaną obrozę i smycz. Chcę też doświadczać twojej magii, Rane Austen... każdego dnia i każdej nocy, przez całe życie!

## 19

Lady Margaret krążyła niespokojnie po swoim pokoju, czekając na pojawienie się księżyca, który był właśnie w nowiu. Narodziny nowego księżyca to ważny moment, wtedy najwięcej można z niego wyczytać. Chciała go zobaczyć, kiedy tylko się ukaże, jeśli na londyńskim niebie uda się jej cokolwiek dojrzeć.

Kiedy nadeszła odpowiednia pora, lady Margaret powędrowała ze świecą na strych, a stamtąd wyszła na otoczony drewnianą balustradą gzyms. Zaczęła przepatrywać niebo, a kiedy dojrzała księżyc, skoncentrowała na nim całą uwagę.

Wyteżała wzrok, ale sierp księżyca nie miał zwykłego blasku. Lady Margaret przecierała oczy i przechylała głowę, nie wiedząc, czy przykrywa go cień, czy jest opiekuńczy, czy groźny. Nie potrafiła na nim dostrzec żadnych znaków - ukrywał przed nią swoje tajemnice.

Wiedziała, że nie ma już tak bystrego wzroku jak dawniej, nie przypuszczała jednak, że nie będzie w stanie odczytać znaków na księżycu. Co ma teraz zrobić? Musi być jakiś sposób, żeby pomóc Charity i jej upartemu mężowi.

Będzie musiała znaleźć kogoś, kto się równie dobrze jak ona zna na księżycu, a może nawet jeszcze lepiej.

Charity obudziła się w rozświetlonym słońcem pokoju, w szerokim, wspaniałym łożu, z rozkosznym uczuciem zaspokojenia. To była prawdziwa magia nocy. To jest zbyt wspaniałe, przemknęło jej przez głowę. Szybko jednak pozbyła się tej myśli. Obiecała Rane'owi, że będzie mu prawdziwą żoną i pragnęła dotrzymać tej obietnicy.

W sypialni pojawiła się pokojówka, niosąc tacę ze śniadaniem. Zawiadomiła Charity, że krawcowa już od dwóch godzin czeka, aż ona się obudzi... tak zarządził Rane. Charity chciała natychmiast pobiec do swojego pokoju, ale służąca zasugerowała taktownie, żeby najpierw wzięła kąpiel i ubrała się.

Charity zarumieniła się - nie jest łatwo być wicehrabiną. Nie wiedziała, że na spotkanie z krawcową należy przyjść całkowicie ubranym. Pokojówka zaprowadziła ją do sąsiedniego pomieszczenia, wyłożonego biało-niebieskimi kafelkami. Pośrodku stała miedziana wanna, napełniona gorącą wodą, z której unosił się różany zapach.

- To pokój kąpielowy - wyjaśniła pokojówka, odwracając wzrok, kiedy Charity wchodziła do wanny. - To teraz bardzo modne - dodała, wychodząc z łazienki.

Pojawiła się po pewnym czasie, żeby pomóc Charity w toalecie i poślizgnęła się na kawałku mydła, który spadł na podłogę. Wylądowała na siedzeniu, bardziej zdumiona niż potłuczona. Kiedy podniosła się na nogi, zdziwiła się jeszcze bardziej, bo Charity zbladła i zaczęła ją gwałtownie przeproszać.

Zanim się ubrała w nową koszulkę, haftowaną halkę i domową suknię, które przyniosła jej pokojówka, zaczęła już odczuwać lekki niepokój. Prawdziwym ciosem była wiadomość, że bardzo drogi włoski jedwab na suknię został źle skrojony. Rozzłoszczona krawcowa popchnęła szwaczkę, która wpadła pomiędzy pudła na kapelusze, niszcząc elegancki toczek.

Ten ciąg niepowodzeń można było, oczywiście, wytłumaczyć racjonalnie. Jednak kiedy krawcowa lamentowała, nie mogąc

zrozumieć, jak to się stało, Charity wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Spowodowała to jej fatalna aura. Nie miała na to innego wytłumaczenia. Podniosła jednak dzielnie głowę do góry, starając się nie myśleć o ciężarze, jaki przytłaczał jej serce. Obiecała Rane'owi, że będzie z nim żyć i będzie jego żoną, ale to nie znaczyło, że miałyby zapomnieć o jego bezpieczeństwie... i bezpieczeństwie jego domu.

Tego ranka Rane wstał wcześniej i udał się do biura, żeby załatwić kilka pilnych spraw. Po powrocie do domu dowiedział się, że u Charity jeszcze jest krawcowa, więc poszedł do swojego gabinetu i wezwał kamerdynera. Kazał mu zaprowadzić Wolframa do rymarza po smycz i obrozę, żeby łatwiej można było go opanować. Eversby popatrzył na masywną sylwetkę psa, jego odsłonięte zęby pod zniekształconą wargą i zawołał lokaja i jego pomocnika. Kazał im też przynieść mocny sznur. Po chwili ta wielka bestia pociągnęła za sobą ucepionych tej prowizorycznej smyczy mężczyzn.

Rane patrzył na tę scenę z uśmiechem. To był pierwszy krok zmierzający do uregulowania życia w tym zwariowanym domu. Następnie kazał Eversby'emu poprosić do siebie lady Margaret, żeby podjąć kolejne kroki.

- Nie wolno pani wspominać o fatalnej aurze Charity, dopóki mieszka pani pod moim dachem - zaczął. - Proszę umieścić wszystkie delikatne przedmioty, które pani przedstawiała, na poprzednich miejscach i nie zapełniać mojego domu szczątkami roślin i zwierząt. A jeśli chce pani nadal z nami mieszkać, to musi nosić przyzwoite ubrania i pozbyć się tych obrzydliwych rzeczy, które widzę na pani szyi.

Starsza dama pobladła i skuliła się na krześle. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Tego się nie pozbędę! - Podniosła do góry amulet ze

srebrnym półksiężycem. - Mam go od lat i nie wydziela żadnego zapachu. Tego kamyczka też nie ani szczęśliwej monety. - Broda jej drżała, a w oczach pojawił się bolesny wyraz. Czuł, że powoli opuszcza go uczucie irytacji.

- No dobrze, niech będzie. - zgodził się, a lady Margaret odetchnęła z ulgą. - Niech pani zatrzyma te, które nie śmierdzą. Ale będzie musiała je pani nosić za dekoltem swoich nowych sukien.

- Nowych sukien? - Lady Margaret najeżyła się, krzyżując ramiona na swoim ulubionym ciemnoczerwonym fartuchu. - Nie mam żadnych nowych sukien.

Rane wstał zza biurka i pochylił się nad nią, obrzucając starszą kobietę jednym ze swoich najbardziej uwodzicielskich spojrzeń.

- Będziesz je miała, babciu - powiedział.

Następnie posłał po lady Catherine, która wpadła do gabinetu, szeleszcząc szarą jedwabną spódnicą, oburzona, że wnuk ją wzywa w momencie, kiedy ona powinna już wyruszyć na swoje poranne wizyty. Rane poprosił ją, żeby usiadła, i od razu przeszedł do rzeczy.

- Ostatnio było, wiele zamieszania w tym domu - zaczęła. Lady Catherine zmrzyła oczy i cichym chrząknięciem wyraziła aprobatę. - Wiem, że mówi się o moim „pospieszonym małżeństwie”, a moja żona wzbudza niezdrową ciekawość.

- Nic dziwnego, że twój lekkomyślny postępek budzi zainteresowanie. Zawdzięczasz to sobie. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- To nieprawda. - Rane zachmurzył się nagle. - To wszystko jest również pani sprawą; jest pani moją babką, wdową po wicehrabim Oxley, a teraz mieszka pani w moim domu. - Wstał z fotela i usiadł na skraju biurka.

- Chciałbym, żeby wprowadziła pani Charity do towarzystwa. Ona powinna mieć swoje zajęcia, poza tym musi poznać

tutejsze zwyczaje i przystosować do nowego trybu życia. Plotki ucichną, kiedy pokażemy się wspólnie na jakimś obiedzie... albo na balu u księcia Sutherland. Pani mogłaby załatwić nam zaproszenie.

- Wprowadzić ją do towarzystwa? Załatwić wam zaproszenie? Wykluczone! - Lady Catherine zerwała się z krzesła. - Pojechałeś do Devon, nie pytając nikogo o zdanie, nie dopuściłeś do małżeństwa, które byłoby bardziej odpowiednie dla tej dziewczyny. Sam wywołałeś głośny skandal, żeniąc się bez chwili zastanowienia z tą córką kmięcia! Ona zdaje sobie sprawę ze swojej niskiej pozycji, nawet jeśli ty tego nie zauważasz. Sam tego chciałeś, to twoje zmartwienie! - Lady Catherine obróciła się na pięcie, ale zanim wyszła z gabinetu, postanowiła zadać mu ostateczny cios. - Jesteś tak samo jak twój dziadek, bezmyślną, rozpustną bestią. Dobrze cię oceniałam. Nie zasługujesz na to, żeby zostać przyjętym do przyzwoitego towarzystwa.

Ogarnął go tak niepohamowany gniew, że był gotów wyrzucić babkę za drzwi.

- Może jestem za mało podobny do dziadka. On z łatwością potrafił się pani pozbyć.

Lady Catherine gwałtownie złapała oddech i wstrząsnęła się, jakby uderzył ją w twarz. Wybiegła z gabinetu, nie zauważysz nawet stojącej przy drzwiach Charity.

Charity zeszała na dół, żeby szukać pociechy u Rane'a po tych wszystkich niefortunnych wydarzeniach, a także, żeby mu pokazać nową, gotową już suknię i podziękować mu za nią. Trafiała jednak na jego kłótnię z babką, i to na swój temat.

Do tej pory myślała tylko o tym, że jej fatalna aura może sprowadzić na niego jakieś nieszczęście. Nie zdawała sobie sprawy, że sam fakt małżeństwa miał dla niego katastrofalne skutki. Na tę myśl ugięły się pod nią nogi. Nowe kłopoty. On chciał zostać wprowadzony do elity, żeby ukrócić plotki



o swoim ślubie z panienką ze wsi, nie posiadającą ani pieniędzy, ani stosunków towarzyskich. A lady Catherine odmawia jego prośbie właśnie z tego powodu, i uważa, że zbyt pochopnie podjął decyzję małżeństwa z dziewczyną bez grosza przy duszy, bez dobrych manier, która nie jest jego godna.

Skierowała się w stronę schodów.

- Charity? - Rane zauważył, jak przechodziła koło drzwi, i wybiegł do holu. - Charity, co tu robisz? Myślałem, że będziesz zajęta przymiarkami przez całe przedpołudnie.

Z radosnym uśmiechem na twarzy zaprowadził ją do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Charity obrzuciła wzrokiem duże biurko, skórzane fotele i półki z książkami. Ten gabinet pasował do jego właściciela, był bardzo męski i solidny.

- Pomyślałam, że może będziesz chciał zobaczyć, na co wydajesz pieniądze. - Ujęła w dłonie muślinową spódniczkę i kilkakrotnie się obróciła. - Obawiam się, że to jest dość drogie.

Oczy mu zabłyśły, zauważył jednak, że żona ma jakieś strapienie.

- Czy coś się stało, Charity?

- Nie, nic się nie stało. - Zarumieniła się jednak i opuściła wzrok. - Tylko te przymiarki są bardzo męczące. Trzeba wciąż podejmować jakieś decyzje.

Rane wiedział już, że coś przed nim ukrywa, że coś ją niepokoi. Może nie radzi sobie ze swoją nową rolą? Może powinien z nią porozmawiać albo użyć swojego „magicznego” dotyku?

- Pozwól mi sprawdzić. Piękny, miękki materiał... - Przesunął dłonią po krótkim bufiastym rękawie, potem jego palce zaczęły buszować w okalających dekolt ręcznie robionych koronkach, przemieściły się na piersi i zsunęły na talię.

- Piękna, miękka skóra...

Charity zdrząła pod tym dotykiem, a na jego ustach ukazał się łobuzerski uśmiech.

- Widzę, że już zaczęłaś naśladować nieobyczajne londyńskie zwyczaje, mój aniele. - Charity patrzyła na niego, zdumiona. - Nie nosisz gorsetu - dodał.

- Pani Carstens, krawcowa, mówi, że gorsety wyszły z mody już kilka lat temu.

- Na pewno wie, co mówi. Chociaż, muszę przyznać, a patrzę na to z pozycji żonatego mężczyzny, że zaczynam doceniać rolę gorsetów. To będzie szalenie rozpraszać moją uwagę, kiedy już wiem, że twoje piersi i biodra są tak łatwo dostępne. - Kiedy zacisnął palce na brodawce jej piersi, chętnie poddała się tej pieszczocie.

Przymknęła oczy, wstrzymując oddech. Jego palce przesuwają się po całym jej ciele, żeby powrócić do naprężonych sutek i pieścić je przez miękki materiał sukni. Podała mu usta do pocałunku. Jej jedwabista skóra promieniowała ciepłem. Oplótł ją ramionami, a ona wtuliła się w niego, unosząc się na palcach, żeby mógł pogłębić pocałunek.

- Chcę się z tobą kochać, mój aniele - powiedział niskim, gardłowym głosem. Wyprowadził ją z gabinetu i skierował się na schody, prowadzące do ich apartamentu.

- Rane! - usiłowała protestować Charity. - Rane, jest dopiero południe!

Roześmiał się i przytulił ją do siebie.

- Pod tym względem dzień niczym nie różni się od nocy - powiedział. - Nie pamiętasz? - Wprowadził ją do sypialni, zamykając drzwi na klucz.

Wziął ją w ramiona, drażniąc jej wargi delikatnymi, zmysłowymi pocałunkami. Jego dłonie przesuwają się po jej wyzwoleonym z gorsetu, miękkim ciele. Charity zerknęła na ogromne łożo, ale on uśmiechnął się tylko, przytrzymując obiema rękami jej biodra.

- Czy wiesz, jaka jest jeszcze moda wśród bezwstydných londyńskich dam?

Zanim Charity zdołała wydobyć głos ze ściśniętego gardła, podniósł jej muślinową spódnicę, rozwiązał tasiemki halki, która opadła na podłogę.

- One nie noszą halek, żeby suknia bardziej przylegała do nóg - wyjaśnił, pieszcząc przez cienki materiał jej biodra i pośladki.

- Ale to jest... czuję się taka...

- Naga - szepnął, zbliżając wargi do jej szyi. - To właśnie na tym polega, żeby kobieta czuła się i wyglądała, jakby była naga, na ile to jest możliwe, będąc jednocześnie ubraną. Chcesz dowiedzieć się jeszcze czegoś?

Charity skinęła głową. Zaprowadził ją do pokoju kąpielowego i zanim się zorientowała, co zamierza zrobić, została oblana strumieniem chłodnej wody z dzbanka.

- Rane! Co ty wyprawiasz? Zniszczysz moją...

- Woda nie niszczy muślinu - odrzekł, przytulając ją mocno do siebie. - Zaufaj mi, mój aniele. Coś ci pokażę.

Wtuliła się w jego objęcia, grzejąc się w ciepłe jego ciało, ale on po chwili się odsunął. Strużki wody spływały teraz swobodnie po jej ciele, ukazując wszystkie krągłości.

- Bezwstydne londyńskie damy moczą swoje suknie, żeby przylegały im do nóg i bioder, jak dotyk kochanka.

Oczy Rane'a błyszczały intensywnym blaskiem, kiedy przesuwając wzrokiem po jej wyraźnie zarysowanych piersiach, sterczących pod mokrym materiałem brodawkach, zarysie brzucha, zakończonego kuszącym trójkątem. Po chwili badał już kontury jej ciała swoimi silnymi dłońmi, a jego usta dotykały jej piersi, rozpalając w niej pożądanie.

- Chcę zobaczyć, jak się w tym poruszasz, mój aniele - szepnął.

Charity stwierdziła, że miał rację. Mokry materiał pieścił jej rozpaloną skórę, poczuła się naga. Pod jego wzrokiem wzbierało w niej erotyczne napięcie. Prężyła się i wyginała, poruszała

zmysłowo biodrami, podtrzymywała dłońmi piersi, ofiarowując mu swoje ciało, budząc w nim coraz silniejsze pożądanie.

Zatrzymała się przed nim, ocierając się o niego piersiami i brzuchem, drażniąc powolnymi ruchami jego męskość.

Chwycił ją w ramiona i obsypywał namiętnymi pocałunkami, zsuwając mokry materiał z jej ramion i piersi, żeby czuć pod wargami nagą skórę.

Wreszcie dotarli do łóżka, zrzucając po drodze ubranie. Charity, mając na sobie tylko pończochy i koronkowe podwiązki, padła na łóżko, pociągając go na siebie. Jego naprężony członek ocierał się o wrażliwy wzgórek, gdzie koncentrowało się jej pożądanie, żeby po chwili zagłębić się w jej wilgotnym wnętrzu.

Charity zarzuciła mu ramiona na szyję, oplatając nogami biodra. Wdzierał się w nią, dopóki oboje nie doznali zaspokojenia.

Leżeli wyczerpani, z trudem łapiąc oddech. Charity westchnęła cicho. Spoczywała w jego ramionach, pragnąc, żeby ta chwila trwała wiecznie. Rane pocałował ją w czoło, a ona nadstawiła mu policzek i wygięła się, podsuwając do pocałunku szyję. Chociaż czuła się wyczerpana, ten pocałunek ją pobudził.

- Wiedziałem, że twoim zapachem powinna być róża - mruknął, nie odrywając od niej ust.

- Skąd wiesz, że bezwstydne londyńskie damy nie noszą halek pod swoimi wilgotnymi sukniami? - spytała.

- No... mówiono mi o tym - oświadczył, przesuwając językiem po jej uchu.

- Ty bestio - roześmiała się Charity. - Nie tylko słyszałeś o tym.

- Bestie... dowiadują się o różnych sprawach. - Uśmiechnął się łobuzersko.

- Założę się, że to robisz... robiłeś - poprawiła się szybko.

- Robiłem - przyznał. Roześmiał się i przytulił ją do siebie.

"Bestia", powtórzyła sobie w duchu. Tak jego babka nazywała swojego męża oraz jego, Rane'a. Nazwała go rozpustną bestią czy coś w tym rodzaju.

- Dlaczego twoja babka tak bardzo cię nie lubi? - spytała Charity.

Zaśmiał się nieprzyjemnym śmiechem. Wiedziała już, że dotknęła bolesnego miejsca. Uniosła się na łokciu, patrząc na niego czułym wzrokiem.

- Powiedz mi, proszę.

- Nie zna mnie na tyle, żeby mogła mnie nienawidzić - zaczął - ale jej to nie przeszkadza. Przede wszystkim nienawidzi swojego męża, mojego dziadka, chociaż on już dawno nie żyje. A ja jestem do niego podobny i stale go jej przypominam. Rzucił ją dla innych kobiet, nie tylko dla jednej kobiety. Miał mnóstwo kochanek. Był też strasznym utracuszem i szybko roztrwonił cały majątek. Wywoływał skandal za skandalem, wreszcie król poprosił go, żeby zechciał opuścić Anglię. Wyjechał na Barbados. Mój ojciec poszedł w jego ślady, tyle że całą swoją napiętność skoncentrował na jednej kobiecie. Była księżną, niesłychanie bogatą... i zamężną. On też musiał wyjechać na Barbados. Moja matka umarła, kiedy miałem sześć lat, i ojciec zabrał mnie do siebie. Wychowywałem się na tym nieformalnym wygnaniu, a nazwisko Oxley napiętnowane było skandalem.... Słońce spaliło mi skórę, nie miałem okazji nauczyć się dobrych manier. - Zamilkł na chwilę, widać było, że myślami jest daleko. - Po śmierci ojca wróciłem do Londynu. Na Barbadosie bywało czasem ciężko, jednak nie tak ciężko jak w eleganckim świecie Londynu.

Patrzyła na niego ze ściśniętym sercem. Wychował się na dalekiej wyspie, na salonach niekorzystnie wyróżniał się swoją ciemną skórą i rosłą sylwetką, jego dziadek i ojciec zostali wygnani z powodu niemoralnego trybu życia, ich żony były

nieszczęśliwe - a więc to nie jej fatalna aura spowodowała kłopoty na jego rodzinę, to były dawne sprawy.

- Więc to nie przeze ranie? - szepnęła z niedowierzaniem. - Ona nie przeze mnie cię nienawidzi?

- Tak myślałaś? Wierzyłaś, że babka mnie nie cierpi z twojego powodu? - Pogłaskał ją po policzku. - Jak mogłaś... - Uświadomił sobie nagle, że ona tak silnie wierzy w swoją zdolność przywoływania nieszczęść, że natychmiast czuje się odpowiedzialna za wszystkie problemy.

- Babka i jej przyjaciele nigdy nie chcieli mnie zaakceptować. To się zaczęło dawno temu, przed naszym ślubem, przed moim przyjazdem do Devon. - Roześmiał się gorzko. - Pewnie jeszcze zanim się urodziłem.

Charity odczuła niesłyszana ulgę. Możliwe, że jej obecność zaogniła sytuację, ale to nie ona była przyczyną antypatii, którą odczuwała jego babka. Uderzyła ją nagła myśl - obwiniła się za problemy rodziny, które powstały za życia dziadka Rane'a, na długo przed jej urodzeniem!

- Charity, nie możesz brać odpowiedzialności za wszystko, co się wokół ciebie dzieje. To sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Twój ojciec o tym wiedział. Dlatego nie pozwalał, żeby babka robiła jakieś aluzje do fatum, które jakoby na tobie ciążyło.

Miał rację. Ona nie mogła być odpowiedzialna za wszystkie problemy, z którymi się stykała, a mimo to brała tę odpowiedzialność na swoje barki. Po raz pierwszy, od wielu tygodni, zaświtała jej isierka nadziei. Nie była przyczyną wszystkich kłopotów, może tylko niektórych. Przypomniała sobie słowa Rane'a, że na wszystko można znaleźć rozsądne wytłumaczenie.

- To prawda. Ja nie jestem za wszystko odpowiedzialna - przyznała.

Uszczęśliwiona, wtuliła się w jego ramiona. Oczywiście, to

nie zmieniało faktu, że w jej obecności płoszyły się konie, koty spadały na grzbiet, zamiast na cztery łapy, naczynia spadały z półtek... Miała jednak cudowną świadomość, że to nie z jej powodu babka nienawidzi Rane'a.

Przypomniął się jej nagle pogardliwy głos lady Catherine i jej szydercze słowa. Ogarnął ją gniew. Nie była córką kmiecia. Była córką właściciela ziemskiego, z dobrego starego rodu, a jej babka była córką księcia... i siostrą księcia!

Popatrzyła na męża - był taki czuły, hojny i opiekuńczy, nie tylko dla niej i jej babki, ale nawet dla jej nieżnośnego, wielkiego psa. Zaslugiwał na coś lepszego; zasługiwał na to, co najlepsze. Poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, żeby mógł wejść do tego wspaniałego towarzystwa, czego tak bardzo pragnął. Zrobi wszystko, żeby mu pomóc!

- Charity? - Zdumiał go niespodziany błysk radości w jej oczach.

- Zastanawiałam się właśnie, czy będziesz polewał mnie wodą, kiedy będziemy chodzić z wizytami?

- Muszę przyznać, że tym razem przesadziłem. Bezwstydne damy tylko zwilżają swoje suknie, a nie zalewają wodą. Ale jak zacząłem, nie mogłem już przestać.

- To zawsze mi się u ciebie podobało - wymruczała, coraz mocniej się w niego wtulając.

- Co takiego? - wykrztusił, przewracając ją na plecy, żeby zaspokoić jej żądanie.

- Że nie przestajesz.

Po południu Charity pojawiła się w pokoju lady Margaret. Oczy jej błyszczały; miała misję do spełnienia.

- Babciu, czy znasz kogoś w Londynie? - Usiadła na stołeczku przy fotelu babki.

- Chyba nie. - Lady Margaret ściągnęła brwi. - Tylko Ellie

Farquhar, tę z krzywymi zębami. Nie wiem, co się dzieje z tą całą resztą. Och! - Twarz jej się rozjaśniła. - Jest jeszcze Teddy. Boże, jak już dawno go nie widziałam!

- Teddy? - Charity uniosła brwi.

- Twój wuj Teddy, mój młodszy brat.

- Nie wiedziałam, że mam wujka Teddy'ego. Dlaczego nigdy o nim nie mówiłaś?

- Czasem go wspominałam. To ksiączę Clarendon.

- Wujek Teddy. - Charity rozpromieniła się. - Och, babciu, to nie do pomyślenia, żebyś go nie odwiedziła, będąc w Londynie! A przy okazji, czy on nie ma wobec ciebie jakichś zobowiązań?

W dwa dni później lokaj księcia Clarendon wprowadził do salonu jego rezydencji przy Grovenor Square bardzo natarczywego gościa.

Siwowłosy ksiączę podniósł wzrok znad gazety, zerknął na żonę, potem na drzwi, w których stała lady Margaret w nowej sukni i nowym turbanie, ozdobionym kitą ze strusim piórem. Tylko wielkie koła w uszach tej starej damy coś mu przypominały...

- Dobry Boże - zawołał, odrzucił „Timesa” i wstał z fotela.

- Teddy? - Lady Margaret patrzyła zmrużonymi oczami na brata i szwagierkę. Wyglądali o wiele starzej niż wtedy, kiedy ich ostatni raz widziała. Boże, ile to już czasu upłynęło!

- Gdyby nie ten twój nochal, to nie wiem, czybym cię jeszcze poznała.

Książę patrzył z niedowierzaniem na stojącą w drzwiach starą kobietę. Nikt nie nazywał go „Teddym” ani nie wspominał o jego „nochal”, z wyjątkiem...

- Kim... kim jest ta kobieta? - wykrztusiła zdumiona księżna. Skan i przerobienie pona.



- Myślę, że to jest... moja starsza siostra, Margaret.

- To ja, Teddy. - Lady Margaret zrobiła kilka kroków i zatrzymała się na środku salonu, ogarnięta nagłym wzruszeniem. Księżciu zamgliły się oczy, uśmiechnął się, wyciągając do niej rękę.

- Maggie!

## 20

Następnego dnia, kiedy wszyscy zgromadzili się w jadalni, lady Margaret wyjęła z kieszeni elegancką kopertę i z uśmiechem wręczyła ją Rane'owi. Lady Catherine obserwowała tę scenę przymrużonymi oczami, a zaskoczony Rane poszukał wzrokiem Charity. Widok jej radosnej twarzy tak go zaabsorbował, że zapomniał o trzymanej w ręku kopercie.

- Trzeba ją otworzyć - przypomniała mu lady Margaret.

Rane złamał pieczęć, zobaczył książęcy herb, który zdobił wytworne zaproszenie. Zdumiony, przebiegał wzrokiem tłoczone litery, zatrzymując się na nazwisku nadawcy, które brzmiało „książę Sutherland” i na słowach „bal na zakończenie sezonu”. Nie wierzył własnym oczom.

- Czy to jest aż tak ważne, że jeszcze nie każesz podawać obiadu? - spytała lady Catherine, starając się ukryć zaciekawienie.

- Jak pani... skąd...? - Rane spojrzał na lady Margaret, po czym przeczytał powtórnie nazwisko adresata, żeby się upewnić, że nie padł ofiarą pomyłki. Wicehrabia Oxley, czytał, wicehrabina Oxley i lady Margaret Villiers. Nie kryjąc radości, zwrócił się do Charity, pokazując jej zaproszenie.

- Wiesz, co to jest? - Wyczytał odpowiedź z jej oczu.

- To sprawiła babcia i wujek Teddy. - Charity uśmiechnęła się do niego. Była szczęśliwa, że udało się jej dać mu to, czego sam nie mógł zdobyć.

- Zachowujecie się bardzo niegrzecznie - wybuchnęła lady Catherine. - Może i ja mogłabym się dowiedzieć, o co chodzi?

- To jest zaproszenie. - Lady Margaret wyprostowała się na krześle, mierząc babkę Rane'a nieprzyjaznym wzrokiem. - Na bal do księcia Sutherland. Pani należy przecież do towarzystwa, a przynajmniej sama tak twierdzi. Chyba słyszała pani o księciu Sutherland i jego...

- Książę Suth... Nie wierzę. W jaki sposób, gdzie mogłaby pani zdobyć takie zaproszenie?

- Właśnie - włączył się Rane. - Jak się to pani udało? - Obserwował z rosnącym zainteresowaniem nasilający się konflikt pomiędzy starszymi paniami.

- Dostałam je od mojego brata, Teddy'ego. - Lady Margaret skrzyżowała ręce na piersi, dzielnie wytrzymując wzrok lady Catherine, która patrzyła na nią z oburzeniem.

- Pani brata! - Lady Catherine zerwała się z krzesła, zrzucając Caesara z kolan. - Ona na pewno je ukradła - wykrzyknęła do Rane'a. - Albo ona sama, albo jej Cyganie.

- Ja ukradłam?! Teddy nie jest Cyganem ani złodziejem, ty stara sekutnico! - Lady Margaret zatrzęsała się ze złości. - On jest księciem Clarendon. To on, na moją prośbę, postarał się o zaproszenie dla jego lordowskiej mości i dla Charity.

- Pani brat... księciem? - Lady Catherine prychnęła pogardliwie. - To absurd.

- Clarendon jest pani bratem? - wyjąkał osłupiały Rane. Charity skinęła głową. Przypomniał sobie, że mówiła mu już o powiązaniach rodzinnych lady Margaret. - Dobry Boże, dlaczego książę chciałby wprowadzać mnie na salony? Nigdy go nawet nie widziałem.

- Odwiedziłam go wczoraj, żeby odnowić więzi rodzinne. - Lady Margaret zwracała się do Rane'a, ale jej przemowa skierowana była przede wszystkim do lady Catherine. - Słyszał już o pana małżeństwie, ale kiedy dowiedział się, że jego cioteczna wnuczka, Charity, jest pana żoną, wystąpił z propozycją wprowadzenia pana do towarzystwa, ponieważ nie ma pan rodziny, która mogłaby to zrobić.

- On ma własną rodzinę! - wybuchnęła lady Catherine. Zapominając o dobrych manierach, przechyliła się przez stół, piorunując wzrokiem lady Margaret.

- Ale to ja załatwiłam mu zaproszenie, czego rodzina nie chciała... albo nie mogła zrobić! - Lady Margaret również wychyliła się do przodu. Spotkały się nos w nos, czerwone z wściekłości.

- Mogłam sama zdobyć to zaproszenie.

- Ale nie zrobiła pani tego! Tak samo jak nie załatwiła mu pani jutrzejszej wizyty u księcia Clarendon, gdzie razem z Charity mają poznać kilku jego najbliższych przyjaciół! Potem już wszystkie drzwi będą przed nimi stały otworem!

Lady Catherine wyprostowała się - podjęła wyzwanie. Nie pozwoli tej cudacznej pół-Cygance dać się prześcignąć na swoim własnym terenie.

- Będą musieli wcześniej wrócić, żeby przyjąć hrabinę Swinford... i księżnę Ravenswood... - Przebiegała myślą znajomych, którzy zgodziliby się pojawić, otrzymując z dnia na dzień zaproszenie.

- Ellie Farquhar? - Lady Margaret prychnęła pogardliwie. - Mają się spieszyć do domu z wizyty u księcia Clarendon dla tej podstarzałej siusiumajtki?

Charity rzuciła mężowi błagalne spojrzenie. Ale jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymywać duszący go śmiech. To była walka na zęby i pazury pomiędzy ekstrawagancko ubraną starą Cyganką i wykwintną znawczynią dobrego tonu, walka o to,

żeby wprowadzić jego i jego żonę do towarzystwa! Zagryzał wargi, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Oxley- usłyszał głos babki. - Nie wyobrażam sobie, żebyś chciał zostać wprowadzonym do towarzystwa przez... - wskazała gestem lady Margaret, z trudem powstrzymując się od wybuchu - dyletantkę. Powinieneś powierzyć to zadanie osobie doświadczonej.

- Takiej jak pani? - Lady Margaret skrzyżowała ręce na piersi. - Teraz niech to pani zostawi godniejszym od siebie, stara piekielnico.

To był groźny moment. Nie wiadomo było, czy za chwilę rozpęta się piekło, czy przeciwniczki opuszczą pole walki. Wreszcie purpurowa ze złości lady Catherine, rzuciła lady Margaret ostatnie, mordercze spojrzenie.

- Ja przynajmniej wiem, kto jest godniejszy ode mnie, śmierzcząca wiedźmo. Oxley, straciłam już apetyt.

Opuściła jadalnię z podniesioną głową, a Caesar podreptał za nią. Kiedy zatrząskiwiała za sobą drzwi, jej ulubieniec wydał przeraźliwy wrzask - nie zdążył uciec z ogonem. Usłyszeli głos lady Catherine, która pocieszała swoje „kochane maleństwo”.

Rane roześmiał się głośno. A kiedy zauważył, jak lady Margaret wyjmując zza dekoltu „nielegalny” amulet, żeby go powąchać, zaczął wręcz pokładać się ze śmiechu. Lady Margaret szybko schowała woniejący czosnkiem talizman i obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, wiedząc, że tym razem śmieje się z niej. Opuściła jadalnię z równie godną miną jak lady Catherine, mrucząc coś na temat „niewdzięczników” i „zaproszeń”.

- Boże, dawno się tak nie ubawiłem. Przynajmniej od czasu, kiedy Wolfram chciał pożreć Caesara! Przepraszam cię, Charity. Nie chciałem obrazić twojej babki, ale ten widok, kiedy obie...

Zorientował się nagle, że Charity wcale nie jest rozbawiona. Zerwał się od stołu i podbiegł do niej. Wziął ją za rękę, podniósł z krzesła i otoczył ramieniem.

- Na pewno ty się do tego przyczyniłaś - powiedziała, czule się do niej uśmiechając. - Nie wyobrażam sobie, żeby twojej babce przyszło do głowy, że trzeba nas wprowadzić do towarzystwa. Ty ją do tego namówiłaś.

- Tak, trochę w tym pomogłam. - Charity przytuliła się do niego. - Poddałam jej pomysł wizyty u księcia... powiedziałam też, żeby wspomniała o balu.

Rane rozpromienił się. Charity powróciła chęć udzielania pomocy, jej szlachetne serce pokonało przesądny strach.

- Dziękuję ci, mój aniele.

Pochylił się nad nią, całując jej skronie i powieki, a kiedy dotknął jej ust, rozchyliła wargi, wtulając się w jego muskularne ciało, nie pamiętając, że są w jadalni.

Usłyszeli dyskretne pochrząkiwanie. Eversby stał przy stole, nie patrzył na nich, ale na jego twarzy malował się wyraz zażenowania.

- Obiad, milordzie?

- Oczywiście. Każ podawać, Eversby.

Rane wziął Charity na rękę, zaniósł ją do stołu i posadził sobie na kolanach, nie zważając na jej ciche protesty i zaszokowanego kamerdynera.

- Wydaje mi się, że lady Catherine i lady Margaret nie zejdą na obiad. Możecie im później zanieść jedzenie do pokoi - poinstruował zgorzonego kamerdynera. - Ja jestem bardzo głodny. Postawcie wszystko na stole i dokładnie zamknijcie za sobą drzwi.

Eversby skinął głową, na twarz wystąpił mu jeszcze silniejszy rumieniec. Dał znak służącym, którzy szybko wnieśli półmiski, postawili je na stole i jeszcze szybciej wyszli, zamykając za sobą drzwi.

- R a n e! - Spłoniona Charity odważyła się wreszcie otworzyć oczy. - Co oni sobie pomyślą? Biedny Eversby, który może służyć za wzór dobrych manier...

- Jakoś to przeżyje - roześmiał się Rane. W jego oczach pojawił się szelmowski błysk. - To może być ostatnia okazja, kiedy mamy jadalnię tylko dla siebie i koniecznie musimy ją wykorzystać. Kiedy wejdziemy do towarzystwa, będziemy musieli się godnie zachowywać.

Charity wtuliła się w jego objęcia i zarzuciła mu ręce na szyję. Wkładali sobie wzajemnie do ust kęsy jedzenia, przeplatając tę czynność coraz bardziej intymnymi pieszczotami. Zrezygnowali wreszcie z obiadu, żeby zaspokoić bardziej dojmujący głód.

Rane wziął ją na ręce i zaniósł na górę, w pełnym świetle dnia. Kiedy znaleźli się w swoim apartamencie, ściągnął z niej wytworną, nową suknię i przykrył ją własnym ciałem, spowijając ją siłą swojego pożądania i swojej miłości.

W Oxley House zapanował wreszcie względny spokój. Rane nakazał służbie zwiększyć ostrożność, żeby unikać drobnych katastrof domowych, a jeśli się już coś wydarzy, to powiadamiać o tym wyłącznie Eversby'ego. Wolfram miał przebywać w jego gabinecie i nie spotykać się z Caesarem. Pies był zadowolony; polubił spacerować w parku, gdzie towarzyszyło mu dwóch lokajów. Natomiast Caesar wyładowywał gniew z powodu ograniczonego terytorium na meblach w apartamencie lady Catherine.

Rane wstawał wcześniej i spędzał poranki w biurze i w porcie, a Charity przymierzała nowe suknie, zapoznawała się ze sztuką prowadzenia domu i przyzwyczajała do życia w Londynie. Lady Catherine składała coraz więcej wizyt i rzadko ją widywano.

Spokojny tryb życia zakłócały jedynie coraz częściej napływające zaproszenia, rezultat rywalizacji pomiędzy lady Catherine a lady Margaret. Przyjmował je lokaj, przekazywał kamerdynerowi, a ten przynosił je Charity, która szybko rzucała je na biurko Rane'a, jakby parzyły jej palce.

Jednak dopiero wizyta u księcia i księżnej Clarendon uświadomiła Charity, co oznacza zwrot „należeć do towarzystwa”. Rane, w swoim szarym stroju, spokojny i opanowany, wyglądał na prawdziwego dżentelmena. Tworzyli piękną parę z Charity, która włożyła na tę przedpołudniową wizytę swoją wymarzoną niebieską suknię i spencerek z granatowymi ozdobami. Gospodarze powitali ich niesłychanie serdecznie, księżę przedstawił ich niewielkiej grupie przyjaciół, prosząc, żeby nie zważali na piętnaście minut, zwyczajowo przewidzianych na pierwszą wizytę, tylko zostali z nimi dłużej.

Charity, mimo niepokoju i napiętych nerwów, uśmiechała się i brała udział w rozmowie. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie obrzucać niespokojnym spojrzeniem delikatnej porcelany i stojących na gzymsie kominka weneckich figurek. Widok babki, która dyskretnie przesuwała kruche przedmioty i wazony z kwiatami, wystawiał jej stargane nerwy na jeszcze większą próbę.

W pewnym momencie hrabia Albermarle postawił na kanapie swoją filiżankę i talerzyk, żeby zademonstrować jakiś szczególnie interesujący szczegół polowania, a lady Priscilla Granville zaraz na tym usiadła, zgniatając porcelanę i oblewając herbatą kanapę i swoją suknię.

Korzystając z powstałego zamieszania, pobladła Charity odsunęła się na bok. Rane podszedł do niej i wyczytał z jej twarzy, że obwinia za ten incydent swoją fatalną aurę. Wziął ją za rękę i spojrzał w jej pełne przerażenia oczy.

- Charity - wyszeptał. - To nie ma z tobą nic wspólnego. To wina Albermarle'a i jego sakramenckiego gapiostwa.



Poprowadził ją za sobą, żeby podziękować księciu za przyjęcie i zaprosić go do Oxley House. Charity udało się wypowiedzieć kilka słów do księżnej i przyjąć zaproszenie na bardziej prywatną pogawędkę. Wreszcie Rane, Charity i lady Margaret opuścili salon, obiecując swoim nowym znajomym, że znowu spotkają się w sobotę, na balu u księcia Sutherland.

Po przyjeździe do domu Charity oświadczyła, że ma migrenę i musi odpocząć. Rane zastanawiał się, czy nie iść za nią, przewrócić ją na łóżko i wybić jej z głowy ten głupi przesąd wypróbowaną już metodą. To pomagało, ale tylko na chwilę. Zawsze coś musiało się wydarzyć, żeby jej o wszystkim przypomnieć. Jak długo to ma jeszcze trwać? Czy ona kiedykolwiek się od tego uwolni? Już sam zaczął uważać tę sprawę za beznadziejną. Zaraził się jej sposobem myślenia!

Szybko wyszedł z domu. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza i uporządkować myśli.

Charity leżała na łóżku, ale nie mogła zasnąć. Zasmucił ją wyraz przygnębienia, który zauważyła na twarzy Rane'a. Tak bardzo chciałaby dzielić z nim jego sceptycyzm, przyjąć jego racjonalne tłumaczenie... i zapomnieć o reszcie. Mówił, że wszystko można bardzo prosto wyjaśnić i to pewnie było prawdą. Przecież wiele rzeczy się tłukło na skutek nieuwagi służących albo gapiowatych arystokratów. Panie niszczyły sobie kosztowne suknie, bo nie patrzyły, gdzie siadają. Nie było jednak logicznego wytłumaczenia faktu, że takie rzeczy zdarzały się zawsze w jej obecności. W domu Rane'a ostatnio panował spokój, co uspiło jej czujność. Wystarczyła jednak jedna wizyta, aby jej o wszystkim przypomnieć.

Niepokój zaprowadził Charity do gabinetu Rane'a, gdzie entuzjastycznie przywitał ją Wolfram. Podeszła do biurka i popatrzyła na stos zaproszeń. Ten widok przejął ją dreszczem.

Kiedy wpadła na pomysł zdobywania zaproszeń dla męża, nie pomyślała, że będzie musiała mu towarzyszyć. Każda z leżących na biurku kopert była dla niej zapowiedzią katastrofy, a jednocześnie spełnieniem marzeń Rane'a.

Zmusiła się do otworzenia kilku z nich - za dwa dni obiad u markiza Weymoutha, soiree... cokolwiek by to miało znaczyć, u hrabiego Brainerda. Nie mogła już dalej czytać, kręciło się jej w głowie. Otworzyła drzwi i wpadła wprost na Rane'a, który wracał ze swojego klubu.

- Charity? - Chwycił ją za ramię, widząc, że chwieje się na nogach. - Co się stało?

- Nic takiego - uśmiechnęła się blado. - Zeszłam na dół, żeby odpowiedzieć na zaproszenia, i nagle odczułam zawrót głowy.

- Co się stało? - powtórzył, chociaż znał już odpowiedź.

- Rane... ja nie mogę tam pójść. Coś się na pewno wydarzy... przyniosę ci wstyd albo... tobie się coś stanie.

Stał bez ruchu, patrząc w jej oczy, które, oprócz strachu, wyrażały miłość. Miłość, którą musiał wyzwolić, żeby zapomnieć o tych przeklętych przesadach. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Otworzył kopniakiem drzwi i kazał wyjść zaskoczony tym widokiem pokojówce. Położył Charity na łóżku i stał, patrząc na nią pociemniałymi oczami. Przeniknął ją dreszcz trwogi i... podniecenia.

- Rozbierz się, mój aniele - zażądał. - Chcę zobaczyć twoją jasną angielską skórę pod moimi dłońmi. Chcę poczuć twoje miękkie, chłodne ciało pod moim spalonym żarem Barbadosu torsem.

Charity zawahała się, więc zerwał jej spencerek z ramion i zaczął szarpać suknię. Szybko rzuciła się na ratunek swojego ulubionego stroju i już po chwili stała przed nim w samych pończochach. Ujął jej dłonie, przyciskając je do zapięcia spodni.

Drżącymi palcami rozpięła mu koszulę, potem spodnie. Po

chwili jego nabrzmiała męskość znalazła się w jej dłoni. Charity uniosła się na palcach, rozchylając wargi. Rane szybko zrzucił z siebie ubranie i zaniósł ją do dużego lustra, wiszącego po przeciwnej stronie pokoju.

- Rane, co ty...

- Przyjrzyj się nam - zażądał, trzymając ją za ramiona. Zaszokowana Charity szybko zamknęła oczy.

- Nie mogę, to przynosi nieszczęście, dwie osoby nie mogą jednocześnie spoglądać w lustro!

- To jest tylko pokryta od spodu srebrem tafla szkła, która odbija znajdujące się przed nią przedmioty. Czy kiedykolwiek widziałaś siebie naga? Czy wiesz, jaka jesteś piękna? - Pochylił się i szeptał jej do ucha. - Popatrz na nas, Charity... popatrz jak kontrastują ze sobą kolory naszej skóry. Patrz na swoje piękne piersi... popatrz na moje ciało.

Odbierała jego bliskość każdym nerwem swojego ciała, jego ciepło przenikało ją na wskroś. Czowała znajome pulsowanie pomiędzy nogami. Otworzyła oczy. Zdumiał ją widok własnej nagości na tle jego ciemnej postaci.

Jego opalone dłonie przesuwały się po jej jasnej skórze, biodrach, brzuchu, drażniły piersi. Charity położyła dłonie na jego rękach, wtulając się w niego całym ciałem.

Rane gwałtownie złapał oddech. Obrócił ją w swoich ramionach i przesunął się tak, że ich ściśle przylegające do siebie ciała odbijały się teraz z profilu. Plecy, zarys pośladków, jej białe piersi przy jego ciemnej skórze, jego uda i jej zgrabne nogi. To było dla niej nowe, bezwstydnie erotyczne doświadczenie.

- Patrz, jak się wzajemnie dopełniamy - szepnął.

Wsunął jej dłonie pod pośladki, poczuła dotyk jego sztywnego członka i instynktownie rozchyliła nogi.

- Mój aniele - usłyszała ochryple szept. - Daj mi siebie. Kochaj mnie...

- Rane, och, Rane... - Charity uniosła biodra, gotowa go przyjąć. Kiedy już był w niej, zerknęła do lustra. Zafascynował ją widok ich złączonych ciał.

Rane zaniósł ją na łóżko i opadł na nią. Całował ją i pieścił, a ona wiała się pod jego ciężarem, napierała na niego i przyciągała do siebie, odpowiadając ruchami bioder na każdy jego ruch. Należała do niego, a on należał do niej. Byli jednością. Zatracili się w poczuciu pulsującej rozkoszy i wspólnie osiągnęli szczyt upojenia.

- Kocham cię, Charity - szepnął. - Chcę spędzić z tobą życie i dawać ci moją miłość. Muszę cię mieć przy sobie we wszystkich okolicznościach, czy to będzie praca, podróże, czy też życie towarzyskie, cokolwiek nam los przyniesie. Nie zgodzę się na żadne ograniczenia. Zawsze musisz być przy mnie.

- A jeśli ja nie potrafię temu sprostać? Jeśli będzie się za mną ciągnąć pasmo katastrofalnych wydarzeń? A jeśli tobie przydarzy się coś okropnego, i to z mojej winy, tak jak to się stało z moim ojcem?

- Charity, nie mogę ci obiecać, że będę żył wiecznie. - Rane nie zauważył, że ona obwinia się o śmierć ojca. - Mogę cię tylko zapewnić, że nie popełnisz żadnej gafy w towarzystwie, której ja już nie popełniłem. Nigdy nie będę się za ciebie wstydził, mój aniele. Jest coś, co może nas rozdzielić, ale to zależy tylko od ciebie. - Przygarnął ją mocniej. - To twoje lęki, Charity. - Chciała się odsunąć, ale nie wypuszczał jej z objęć. - Ta fatalna aura istnieje tylko w twojej wyobraźni, ale niszczy cię lęk, jaki odczuwasz, niszczy nas oboje. Doprowadził cię do tego, że omal nie poślubiłaś znenawidzonego mężczyzny, i nie pozwala ci żyć tak, jakbyś tego pragnęła. Powstrzymuje cię przed okazywaniem mi całej swojej miłości. - Jej oczy zaszklily się łzami. Pogłaskał ją po policzku. - Jak mówił twój ojciec? Strach pomniejsza. Kiedyś mi to powie-

działaś. Miał świętą rację. Strach ściska ci serce swoją lodową dłońią, a wtedy człowiek czuje się bezradny.

Tak, to prawda, pomyślała Charity. Wydawało się jej, że słyszy głos ojca. Strach jest narzędziem diabła, mówił. Zabije w tobie życie, jeśli mu na to pozwolisz. Pomniejszy cię i osłabi. Jest zawsze silniejszy od tego, co go wywołuje. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego tak często o tym mówił, dlaczego nie pozwolił, żeby dowiedziała się o swojej fatalnej aurze. Chciał ją uchronić od strachu, który stałby się nieodłączną częścią jej życia. Łzy spływały jej po policzkach.

- Ja też się bałem, Charity. Bałem się pajaków. Bałem się też tego, że pozostanę samotny do końca życia. - Obejmował jej wstrząsane łkaniem ramiona, mając nadzieję, że jego słowa i jego miłość przyniosą jej ulgę.

- Uwierz we mnie i w moją miłość - powiedział. - Albo uwierz w siebie i w swoje przepełnione dobrocią, wielkie serce. Albo uwierz w naszą magię nocy Miłość jest magiczną siłą, mój aniele, tak silną, że potrafi wszystko pokonać.

- Wierzę w ciebie - wyszeptła, patrząc na niego zażawionymi oczami. - Wierzę w twoją siłę, dobroć i w twoją miłość. Chcę dzielić z tobą życie, Rane. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Pójdę na bal, będę chodzić na przyjęcia, przyjmować gości... wszystko, co będzie trzeba. I nie będę się bać... jeśli będziesz przy mnie.

Miał nadzieję, że wreszcie usłyszysz te słowa, które przepęłniały jej serce. Nie mogła się jeszcze na to zdobyć, wiedział jednak, że go kocha. A każdy akt miłosny uwalniał ją od myśli o fatum i otwierał jej serce.

Tego samego wieczoru lady Margaret wyruszyła z tajemniczą wizytą na odległe peryferie Londynu, gdzie obozował tabor cygański. Na polu stały wozy, otaczając szerokim kręgiem

palące się w środku ognisko. Poczwała znajomy zapach dymu i gotującego się nad ogniskiem pożywienia.

Szukała tam księżnej Janow, starej i bardzo mądrej Cyganki, biegłej w odczytywaniu znaków na księżycu. Zaprowadzono ją do stojącego na uboczu wozu. Wyszła jej na spotkanie młoda dziewczyna, prawnuczka księżnej, której lady Margaret wytłumaczyła cel swojego przybycia. Po uzgodnieniu wartości podarunku, jaki miała otrzymać księżna za udzielenie pomocy, dziewczyna wprowadziła gościa do słabo oświetlonego wozu. Lady Margaret wkroczyła w świat swojego dzieciństwa, które spędziła w takim samym cygańskim wozie.

Stara Cyganka siedziała na łożku, a ściany wozu pokryte były przynoszącymi szczęście znakami; lady Margaret udało się rozpoznać tylko kilka. Księżna Janow wpatrywała się w gościa swoimi czarnymi oczami, a kiedy lady Margaret wspomniała o „fatalnej aurze”, zaczęła kreślić dłonią znaki, których lady Margaret nie potrafiła odczytać. Kiedy skończyła swoją opowieść, księżna nadal milczała, uważnie się w nią wpatrując.

- Prawdziwie fatalna aura bardzo rzadko występuje i jest wielkim nieszczęściem - odezwała się wreszcie przyciszonym głosem. - Taki człowiek rodzi się raz na sto lat. Mówią o tym znaki na księżycu. - Zamilkła, a po chwili wysłała prawnuczkę po ogień do fajki.

- Jestem pewna, że moja wnuczka ma taką aurę - zaczęła lady Margaret. - Wspominałam przecież o karych koniach, które się jej wystraszyły. A te wszystkie problemy i kłopoty, od czasu kiedy była jeszcze maleńką dziewczynką... Próbo- wałam wszystkich znanych mi środków. Czy nie ma nicze- go, co mogłoby zniszczyć to fatum? - spytała z rozpaczą w głosie.

Stara księżna potrząsnęła głową. Złote koła w jej uszach zamigotały w półmroku.

- Jest tylko jeden sposób.

Groza, którą lady Margaret wyczuła w jej głosie, pozbawiła ją tchu.

- Życie za życie. - Lady Margaret ugięła się pod ciężarem tych słów. - Życie oddane z miłości. Ofiara serca. W ten sposób szczęście pozostaje w równowadze.

Przerażona lady Margaret wyszła z wozu, gorzko żałując, że się tu w ogóle pojawiła... żałując, że odczytywała znaki na księżycu. O wiele lepiej byłoby nic nie wiedzieć! Owinęła się szczelnie szalem i ruszyła do czekającej dorożki.

Stara księżna podeszła do drzwi wozu, patrząc za oddalającą się lady Margaret.

- Amatorzy... ignoranci - prychnęła. - Żyją z nami przez chwilę, a potem wydaje się im, że potrafią czytać znaki na księżycu. Trzeba się uczyć przez całe życie, żeby zrozumieć tego starego przechebę, a on i tak potrafi cię oszukać. - Splunęła na ziemię. - Nie cierpię ignorantów!

Prawnuczka, która przyniosła rozżarzoną głownię i właśnie przypalała jej mosiężną fajeczkę o krótkim cybuchu, patrzyła z podziwem na staruszkę.

- Myślisz, prababciu, że ta dziewczyna ma prawdziwie fatalną aurę?

- Kto to wie? - Wiekowa Cyganka z ciężkim westchnieniem usiadła na schodkach wozu. - Ale ta stara ignorantka już jej to wmówiła. To wystarczy, żeby zaczęły się dziać różne dziwne rzeczy. - Widząc zdumioną minę dziewczyny, poleciła jej gestem, żeby usiadła na niższym schodku.

- Jeśli uzna się, że jakiś człowiek, albo jakaś rzecz, ma szczególną właściwość, to wszyscy zaczynają w to wierzyć, bez względu na to, czy naprawdę tak jest. A po pewnym czasie ta wiara i zachowanie otoczenia doprowadzają do tego, że to złudzenie staje się rzeczywistością. Nauczysz się tego, moje dziecko, kiedy zaczniesz wróżyć z kart i z dłoni... ludzie widzą

tylko to, co spodziewają się zobaczyć... i słyszą to, co spodziewają się usłyszeć. - Popatrzyła w dal, ale lady Margaret już zniknęła z jej pola widzenia. - Ta stara ignorantka wierzy, że wyczytała fatalną aurę swojej wnuczki ze znaków na księżycu, a pewnie sama ją roztacza.



## 21

Przez kilka dni w Oxley House panował niezwykły spokój. Charity z radością przyjęła propozycję Rane'a, żeby chwilowo nie przyjmować zaproszeń i przygotowywać się bez pośpiechu do balu u księcia Sutherland. Lady Catherine, w zaskakującym przepływie dobrej woli, obiecała się zająć wszystkimi gośćmi, którzy będą składać wizyty w Oxley House. Lady Margaret przebywała głównie w swoim pokoju, narzekając na lumbago. Charity była zaniepokojona wyjątkowo ponurym nastrojem babki, wkrótce jednak lady Margaret zaczęła schodzić do salonu, gdzie lady Catherine przyjmowała gości. Charity i Rane mogli codziennie spędzać ze sobą kilka godzin.

Rane zabrał ją na wycieczkę powozem po Londynie, żeby zobaczyła te wszystkie miejsca, o których opowiadał jej w Standwell. Zawiózł ją też na nabrzeże i pokazał swoje biuro. Wyprowadzali Wolframa na spacer do parku; Rane nabierał stopniowo sympatii do tej wielkiej bestii.

Panujący spokój nie przynosił odprężenia Charity. Zastanawiała się nieustannie, czy Rane miał rację, że jego miłość pokona jej fatum, czy też była to tylko cisza przed burzą.

Rezydencja księcia Sutherland, w modnej dzielnicy Londynu, otoczona była prywatnym parkiem i przypominała posiadłość ziemską. Raz do roku, na wiosnę, ksiądz przyjmował u siebie cały elegancki świat Londynu. Tym razem Rane Austen, wicehrabia Oxley, był mile widzianym i oczekiwanym gościem. Jego pospieszne małżeństwo wzbudzało zaciekawienie całego towarzystwa.

Krążyły przeróżne, fantastyczne wersje tego wydarzenia. Mówiono o małżeństwie z wielkiej miłości; mówiono również o małżeństwie zawartym w atmosferze wielkiego skandalu. Jego żona była piękną blondynką, dla której całkowicie stracił głowę; jego wybranka była przebiegłą uwodzicielką, która wykorzystwała jego słabość do kobiet. Czułe opiekowała się nim w chorobie; omamiła go miłosnym napojem. Porwał ją sprzed ołtarza, odbierając długoletniemu narzeczonemu; ocalił ją przed wymuszonym małżeństwem z jakimś przypadkowym łotrem.

Wszyscy gubili się w najbardziej fantastycznych domysłach, ale zgodni byli co do jednego - tak niezwykle, romantyczna historia nie powinna być osądzana według sztywnych zasad dobrego tonu. Impulsywny wicehrabia zasługiwał na całkowite rozgrzeszenie.

W stojącym przed bramą posiadłości księcia powozie panowała cisza. Przed nimi była jeszcze długa kolejka pojazdów. Lady Margaret mamrotała coś cicho pod nosem, a lady Catherine miała gniewnie zaciśnięte usta. Rane rozstrzygnął właśnie sprzeczkę pomiędzy starszymi damami, która z nich ma go przestawić księciu. Postanowił oddać się pod opiekę księcia i księżnej Clarendon, wytrącając tym samym obu broń z ręki.

Miał wrażenie, że wyczuwa w powozie jakiś nieprzyjemny

zapach, ale kiedy mocniej pociągnął nosem, niczego już nie poczuł. Zerknął na lady Margaret - poprawiała właśnie koronkową chustkę, który przykrywała jej dekol. Starsza dama zaczerwieniła się z lekka i odwróciła głowę. Jeszcze raz pociągnął nosem, ale doleciał go tylko zapach różanych perfum Charity.

Nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy pomagał jej wysiąść z powozu. Wyjątkowo pięknie wyglądała w jedwabnej sukni koloru kości słoniowej, z krótkimi, bufiastymi rękawkami i złoto-zielonym haftem przy dekolcie. Jej pantofelki ozdobione były jedwabnymi kokardkami, a na ramionach miała przepiękny, przetykany złotem szal. Wspaniałe blond loki były zebrane na czubku głowy, ale parę kosmyków opadało na ramiona.

Wydawało się, że jest zadowolona i pewna siebie, ale kiedy wchodzili na piętro do sali balowej, Rane czuł, że pod długimi rękawiczkami ma lodowate dłonie. Podniosła na niego oczy, kiedy lokaj miał anonsować ich wejście, i odprężyła się trochę pod jego ciepłym spojrzeniem. Był niesłychanie elegancki. Miał na sobie dwurzędowy frak, długie nankinowe spodnie i brokatową kamizelkę. Stał w drzwiach, przewyższając o głowę otaczających go mężczyzn.

Wszystkie oczy były na nich zwrócone. Książę i księżna Clarendon pospieżyli im na powitanie, a inni goście, doceniając wymowę tego gestu, otoczyli ich zwartą grupą.

Charity czuła na sobie taksujące spojrzenia, które oceniały jej fryzurę, sposób trzymania wachlarza, każdy ruch i każde wypowiedziane przez nią słowo. To samo zresztą dotyczyło Rane'a. Zapomniała na chwilę o swoim zażenowaniu, przypatrując się niskim, grubawym dżentelmenom, którzy obrzucali jej męża krytycznym wzrokiem.

Przemawia przez nich zazdrość, pomyślała Charity. Rane Austen wyróżniał się wśród tych ludzi, którzy nie uznawali

odmienności. Stanowił dla nich zagrożenie, nie przystawał do ich ideału mężczyzny. Był zbyt duży, zbyt ciemny, zbyt impulsywny... i zbyt interesujący. Charity była z niego dumna, postara się, żeby on również był dumny z niej.

Lady Catherine cierpliwie czekała, żeby przedstawić wnuka i jego żonę grupie swoich przyjaciół, zanim ją ktoś w tym uprzedzi. Lady Margaret nie odstępowała Charity, wykorzystując bez żenady swoją pozycję księżęcej siostry. Kiedy Rane i Charity oraz książę i księżna Clarendon wydostali się z otaczającego ich kręgu i zaczęli się przechadzać po sali, obie starsze damy przepychały się tak gwałtownie w ich kierunku, że aż zwróciło to ogólną uwagę.

Zdesperowany Rane zdradził towarzystwu, że lady Margaret umie wróżyć z dłoni. Starsza dama popatrzyła na niego z przerażeniem. Natychmiast otoczyły ją młode panienki, poważne matrony i młodzi dżentelmeni. Rane zniweczył cały jej plan - chciała być blisko niego i Charity, chronić ich za pomocą bardzo silnych amuletów, które ukryła na piersiach.

Pozbyli się lady Margaret, ale zaraz podeszła do nich lady Catherine, której wnuk stał się ośrodkiem zainteresowania całego towarzystwa. Wreszcie młody hrabia Meckton i Everly Harrison przedarli się przez otaczających Rane'a i Charity gości i zaprowadzili ich do jednego ze stołów. Charity została ponownie poddana dokładnym, żenującym oględzinom. Harrison chwycił ją za rękę i zaczął całować koniuszki jej palców, a Meckton poszedł za jego przykładem, wpatrując się w jej zarumienioną twarz.

- Oxley - wykrztusił Meckton - mówiłeś, że jest urocza, ale nie powiedziałaś, że jest skończenie piękna. Ona jest boska... ona jest...

- Moją żoną, Meckton - stwierdził dobitnie Rane. Meckton zaczerwienił się i puścił dłoń Charity.

- Czy on wspominał pani o nas, swoich lekkomyślnych

przyjaciołach? - wtrącił Harrison. Charity potrząsnęła głową. - Czyżbyś się nas wstydził, Oxley? - zwrócił się do Rane'a z szelmowskim uśmiechem. - A może nie chciałeś jej zgorszyć opowieściami o naszych wspólnych wyczynach?

- Byłem... zajęty - odrzekł Rane, patrząc porozumiewawczo na Charity. - Życie małżeńskie jest bardziej absorbujące, niż przypuszczałem. A ostatnio zacząłem się jeszcze interesować magią.

Charity zarumieniła się ze wstydu, ale kiedy się zorientowała, że ta aluzja jest zrozumiała tylko dla niej, przebiegł ją dreszcz miłego podniecenia.

Po pewnym czasie dołączyła do nich lady Catherine oraz kilka innych dam, oddzielając Charity od Rane'a.

- Czy to prawda, że wicehrabia został postrzelony przez bandytów i dochodził do zdrowia w pani domu? - zwróciła się do Charity młoda blondynka.

- Tak, sędzia pokoju przywiózł wicehrabiego do naszego domu - powiedziała Charity, zdumiona wrogim wyrazem twarzy kobiety.

- To koszarne. Ale w jego stylu. Zawsze miał skłonność do niewłaściwych znajomości - stwierdziła blondynka. Charity była przekonana, że ona również należy do tych „niewłaściwych znajomości”. - Czy przyczyną tego wypadku nie był jego... niepoohamowany temperament?

- Oxley zawsze jakimś cudem wychodzi cało z opresji, panno Sutterfield. - Lady Catherine obrzuciła młodą damę znaczącym spojrzeniem, wzięła Charity pod rękę i wyprowadziła do holu.

- Jak panna Sutterfield śmie mówić w ten sposób o moim mężu? - Charity trzęsła się z oburzenia. - Nazwała jego zachowanie „koszmarne” i zaliczyła mnie do jego „niewłaściwych znajomości”! Czy pani zna tę wstrętną dziewczynę?

- Tak. Nie tak dawno Oxley publicznie oświadczył, że chce ją poślubić.

- Na...naprawdę?

- Odrzuciła go, jak słyszałam, ona czy też jej ojciec, co zresztą na jedno wychodzi.

- Odrzuciła go? - wykrzyknęła Charity. - Nie był dość wytwornym dżentelmenem dla podobnej do chomika panny Sutterfield? Co za głupota z jej strony! Jest najprzystojniejszym, najlepszym, najbardziej szlachetnym człowiekiem, jakiego znam. Jest dżentelmenem do szpiku kości, bez względu na to, jakiego czasem używa języka. Jest dzielny, prawym człowiekiem, chociaż niesłychanie uparty. Muszę też przyznać, że bywa despotyczny. Ale nie ma bardziej opiekuńczego i troskliwego mężczyzny niż on. Kto ma dobry wzrok, potrafi dostrzec jego wartość!

Charity zarumieniła się i opuściła oczy. Dopiero po wygłoszeniu tej tyrady w obronie Rane'a, uświadomiła sobie, że mówi do jego babki, która również nie ma o nim dobrego zdania. Nie cofnęłaby jednak swoich słów.

Słowa Charity zrobiły wrażenie na lady Catherine. Mówiła o swoim mężu z miłością, nie ukrywając jego wad. Starszą damą, która ją uważnie obserwowała, przekonała się już, że Charity nie była naiwną panienką, którą zaślepiła tytuł i nowe stroje. Nie mając żadnego doświadczenia, uczyła się szybko, jak należy prowadzić dom i zachowywać w towarzystwie.

Lady Catherine zamyśliła się. Ona sama zaczęła ostatnio patrzeć na wnuka innym okiem. Udało mu się zgromadzić przyzwoity majątek, poślubił tę kobietę, którą chciał, w przeciwieństwie do swojego ojca i dziadka, którzy żenili się dla majątku i pozycji towarzyskiej. Może ona też powinna wyteńczyć wzrok i dobrze mu się przyjrzeć.

- To zastanawiające, jak wiele rzeczy, które w danym momencie wydają się katastrofalne, wychodzi nam potem na

dobre - powiedziała po chwili milczenia. - Gdyby panna Sutterfield go nie odrzuciła, nie mógłby się ożenić z tobą, moja droga. Musisz o tym pamiętać.

Rane zawsze tak mówi, pomyślała Charity, że pechowe wydarzenia często przynoszą dobre skutki. Dopiero po chwili zorientowała się, że lady Catherine mówi o małżeństwie Rane'a, które wyszło mu na dobre.

- Zapamiętam to, milady - odrzekła.

Czy to panna Sutterfield rozmawia z twoją żoną, Oxley?- spytał Harrison.

Rane odwrócił głowę. Zauważył, że Charity jest wyraźnie wytracona z równowagi, a babka odciąga ją od panny Sutterfield i wyprowadza ją do holu. Przeprosił towarzystwo i poszedł za nimi. Powitały go uśmiechem.

Rane zostawił obie damy pod opieką księżnej Clarendon, a sam włączył się do dyskusji na temat trudności gospodarczych, spowodowanych konfliktem z Francją. Nie mógł jednak oderwać wzroku od Charity, zerkał również od czasu do czasu na Głorię Sutterfield, bladą, sztywną i bez wyrazu, która pod żadnym względem nie mogła równać się z jego piękną żoną. Nie rozumiał, jak mógł dla tej cherlawej pannicy stracić głowę.

Myślał wtedy o swojej przyszłej żonie jak o zdobyczy, mającej stanowić dowód jego statusu społecznego. Nie przyszło mu nawet do głowy, że potrzebuje prawdziwej kobiety, która dzieliłaby z nim życie, że potrzebuje również miłości. Dopiero Charity wskrzesiła jego duszę i serce.

Rozejrzał się dokoła. Wszyscy mieli wymuszone uśmiechy na ustach i czujne spojrzenia, ważyli słowa, żeby zrobić na

rozmówcy odpowiednie wrażenie. Jak to możliwe, że tak bardzo pragnął znaleźć się w tym świecie fałszu i obłudy?

Nie ominęła go jednak konfrontacja z panną Sutterfield i jej przyszłym mężem, podobnym do żaby, wicehrabią Harrowfordem. Wszyscy patrzyli z nieskrywanym zainteresowaniem na Harrowforda, który zbyt długo przetrzymywał rękę Charity w swojej dłoni i zbyt natarczywie wpatrywał się w jej uroczą twarzyczkę. Panna Sutterfield zaczerwieniła się ze złości.

- Trzeba wybaczyć jego lordowskiej mości to roztargnienie - zwróciła się do Rane'a. - Niedawno wrócił ze wsi. Pan na pewno wie, że wiejskie powietrze wywiera szkodliwy wpływ na cerę... i dobre manierey.

Charity już otwierała usta do ostrej riposty, kiedy Rane oświadczył chłodnym tonem, że wzywa ich gospodarz, muszą więc odejść.

- Ona wychodzi za niego za męża? - wybuchnęła Charity, kiedy znaleźli się w holu. - Ktoś powinien jej powiedzieć, że od zabawy z żabami można dostać kurzajek.

- Lady Charity, jestem pewny, że świetnie sobie pani poradzi w towarzystwie - roześmiał się Rane.

Podczas kolacji, którą podano o północy, Charity czuła na sobie wrogie spojrzenie Glorii Sutterfield i słyszała jej niepochlebne komentarze. Nigdy jeszcze nie spotkała się z tak jawnie okazywaną niechęcią. A Rane musiał to znosić przez całe lata, pomyślała.

Czując rękę męża na swojej dłoni, przywołała na usta dzielny uśmiech i wysoko podniosła głowę. Jednak kiedy Gloria wyraziła głośno swoją opinię o „córkach kmieci i śmiesznych starych Cygankach”, Charity miała już tego dość.

Oczy jej się zwięziły, zacisnęła dłonie w pięści i obrzuciła Głorię Sutterfield morderczym spojrzeniem. Chętnie zrobiłaby jej krzywdę!



Gloria, kiedy już wywołała zamierzoną reakcję, oświadczyła, że musi się trochę przejść.

Harrowford, z lekka oszołomiony wypitym szampanem, podniósł się, żeby odsunąć jej krzesło. Potknął się, wpadł na nią, a kiedy chciał się odsunąć, rozległ się trzask pękających szwów - rozerwała się muślinowa halka panny Sutterfield.

Wściekła Gloria odsunęła się od niego gwałtownie, potracając służącego, który dzierżył tacę z owocami w syropie. Wszystkie kompotierki roztrzaskały się na podłodze, a Gloria, trzymając w ręku opadającą halkę, ruszyła do drzwi, żeby zaraz się poźlizgnąć na rozgniecionej truskawce i wylądować na marmurowej podłodze wśród kawałków owoców i szkła.

Charity obserwowała z satysfakcją purpurową ze złości i upokorzenia Glorię, którą szybko wyprowadzono z sali. Spojrzała na Rane'a, który przygryzał wargę, hamując wybuch śmiechu. Popatrzyli sobie w oczy - ta katastrofa nastąpiła w najbardziej odpowiedniej chwili.

Katastrofa, powtórzyła sobie w myśli. Przed chwilą pragnęła, żeby pannę Sutterfield spotkało coś złego, a już po kilku sekundach doznała tak strasznego upokorzenia!

To tylko zwykły upadek, tłumaczyła sobie w duchu, chociaż serce podchodziło jej do gardła. Przypadkowy zbieg okoliczności, pocieszała się. Zauważyła zatroskane spojrzenie lady Margaret i poczuła ucisk w żołądku. Przywoływała na myśl słowa Rane'a, który powiedziałby, że ona nie miała nic wspólnego z wypadkiem Glorii Sutterfield, jednak nie potrafiła sobie tego wyperswadować.

Kiedy całe towarzystwo powróciło na salę balową, znowu rozpoczęły się kłopoty. Księżna Ravenswood upuściła wachlarz, a schylającemu się po niego, otyłemu hrabiemu de Brionesse pękły spodnie. Nieszczęsny hrabia, cofając się, potracił lichtarz, który potoczył się pod okno. Po chwili od palących się świec zajęły się zasłony. Zerwano je z okna i natychmiast ugaszono

ogień, mimo to niektóre damy dostały spazmów ze strachu. Książę Sutherland szybko opanował sytuację, każąc służącym zrobić porządek, a orkiestrze zagrać do tańca.

Charity stała przy ścianie, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu. Po chwili pojawił się Rane w towarzystwie Everly 'ego Harrisona. Obaj brali udział w gaszeniu ognia, wycierali teraz chusteczkami ubrudzone sadzą dłonie.

- Czy... jest już bezpiecznie? - wyjąkała. Bijący od nich zapach dymu wzmógł jej niepokój.

- Ogień został całkowicie zduszony - oświadczył z uśmiechem Rane.

- Mogłeś się okropnie poparzyć.

- Ale się nie poparzyłem. - Wyczuł znajomą nutę przerażenia w jej głosie i wziął ją za ręce. - To były stare firanki, niedawno farbowane. Wydawałoby się, że księcia powinno być stać na coś lepszego.

- Sutherland kazał poustawiać dodatkowe świeczniki, bo uważa, że to stwarza „atmosferę” - dodał Harrison. - To musiało się zacząć od tego kandelabru, przewróconego przez Brionesse'a... kiedy mu pękły spodnie. Stary hrabia to chodząca katastrofa.

Katastrofa. To słowo przeszło ją na wskroś. Spodnie, świecznik i ogień. Ogień, który mógł ogarnąć płomieniem całą rezydencję księcia! W zaciszu Oxley House Rane potrafił ją przekonać swoimi rozsądnymi argumentami. Ale teraz, kiedy po raz pierwszy znalazła się w wielkim świetle, nie potrafiła już dać im wiary.

Rane wiedział, co się z nią dzieje, i dzielił jej niepokój. Z radością rzuciłby się do walki o swoją żonę, tyle tylko że nie miał z kim walczyć. Jego przeciwnikiem w walce o miłość Charity był jej własny strach i przekonanie, że jej obecność rujnuje mu życie.

Zauważył, że zbliża się do nich lady Margaret z wyrazem

przerażenia na twarzy. Szybko wyprowadził Charity z sali balowej.

Kiedy schodzili ze schodów, minęli dwóch młodych elegantów, zapatrzonych w idące przed nimi panny. Jeden z nich poślizgnął się nagle, chwycił za ramię swojego towarzysza, który z kolei wpadł na ścianę, opierając się o portret jednego z przodków księcia. Obraz ześlizgnął się ze ściany i zaczął spadać w dół kręconych schodów.

Na dole, w wyłożonym marmurem holu, jeden ze służących zajęty był opuszczaniem w dół ogromnego kryształowego żyrandola, żeby przyciąć knoty znajdujących się w nim świec.

Rane pociągnął Charity o kilka stopni w górę, w momencie kiedy obraz uderzył w służącego, który wypuścił z ręki podtrzymującą świecznik linę. Osłonił Charity własnym ciałem, kiedy brzęk tłuczonego kryształu i łoskot spadającej na marmur miedzi odbił się głośnym echem w całej rezydencji. Spojrzeli w dół i zobaczyli rozbity żyrandol, wokół którego tłoczyło się mnóstwo gości, spoglądających z niechęcią... właśnie na nich.

Charity kurczowo trzymała się Rane'a, wstrząsały nią dreszcze. Przeprowadził ją szybko przez hol, potem szli długimi korytarzami, aż wreszcie znalazł spokojne miejsce w galerii obrazów. Wziął ją w ramiona.

- R...Rane! - Odsunęła się od niego, obmacując gorączkowo jego głowę, ramiona i piersi. - Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku, mój aniele.

Na twarzy Charity ukazał się wyraz ulgi, ale zaraz w jej oczach pojawiło się przerażenie. Rane poczuł ucisk w piersiach. Dobry Boże, ona znowu myśli o jakiejś katastrofie.

- Rane omal... nie postradałeś życia!

- Charity, przecież nic mi się nie stało! To był tylko drobny wypadek. - Z trudem opanowywał nagły gniew. - Jestem zdrowy i cały.

- Ale to nie potrwa długo! Nie rozumiesz? Gloria, potem

ogień, a na koniec żyrandol! Nie powinnam była tu przychodzić! Musimy zaraz stąd wyjść. Proszę cię, Rane.

- Charity - wykrzyknął, chwytając ją za ramię. - Nie jesteś odpowiedzialna za to, co się stało. Ci niezdarni głupcy zrzucili obraz, który poleciał...

- Nie wiesz, co to oznacza? - spytała ochryłym szeptem. - To oznacza śmierć. Spadający portret wróży rychłą śmierć, a on spadał wprost na ciebie.

- Następnym cholernym przesad! - Miał ochotę potrząsnąć nią mocno, a jednocześnie pragnął utulić ją w ramionach. Miotał nim gniew i zalewała go fala współczucia.

- Jeśli nie zabierzesz mnie do domu, to pójdę pieszo. Dojdę aż do Standwell!

Przestał nad sobą panować. Nie był już w stanie przemawiać jej do rozsądku, wytaczać logicznych argumentów, a nawet uciekać się do swoich uwodzicielskich praktyk. Przedstawiła mu ultimatum, więc teraz on postawi jej swoje warunki! Chwytał ją za ramiona, a w jego oczach ukazały się niebezpieczne błyski.

- Już mi się rzygać chce od tej twojej przekłetej fatalnej aury, Charity Austen. - Wściekły ton jego głosu przejął ją zimnym dreszczem. - Nie istnieją żadne fatalne aury. Zaraz ci to udowodnię!

Puścił ją tak gwałtownie, aż się zachwiała. Zobaczyła ze zdumieniem, że zdejmuje frak i wkłada go na lewą stronę.

- R...Rane, co ty wyprawiasz?!

- Udowadniam ci, że nie ma niczego takiego jak szczęście czy też jakieś fatalne aury. - Pochylił się, zdjął but i odrzucił go od siebie. Wziął ją pod ramię i pociągnął za sobą, idąc tylko w jednym bucie.

- Rane, czy postradałeś rozum? Włóż drugi but! - Starła mu się wyrwać, żeby wrócić po jego but. - Chodzenie w jednym bucie przynosi nieszczęście.

- Wiem. - Uśmiechnął się złośliwie, przytulając ją do siebie.

Ciągnął ją przez cały hol, wymieniając uprzejme ukłony z napotkanymi gośćmi. Charity omal nie spaliła się ze wstydu, kiedy dotarli do salonu, a jej mąż, w tym osobliwym stroju, zaczął się żegnać z księciem i księżną i przeproszać ich za wcześniejsze wyjście.

- Czy pan wie, Oxley, że nosi pan frak odwrócony na lewą stronę? - wyjąkał oszołomiony książę.

- Oczywiście, wasza książęca wysokość - uśmiechnął się czarująco Rane. Ucałował dłoń księżnej i szybko wyprowadził Charity za drzwi, ignorując palące spojrzenie lady Margaret.

Starsza dama widziała ogień, zauważyła Rane'a i Charity, kiedy wychodzili z sali balowej i pobiegła za nimi, ale nie mogła ich nigdzie znaleźć. Po chwili nastąpił incydent z żyrandolem, co wprawiło lady Margaret w prawdziwą panikę. Katastrofa goniła katastrofę!

Kiedy zobaczyła, że Rane ma na sobie frak odwrócony na lewą stronę i że jest bez buta, była już pewna, że za chwilę musi nastąpić coś naprawdę okropnego. Pobiegła za nimi i natknęła się na lady Catherine.

- Co ich napadło? - zwróciła się do niej lady Catherine. - Oxley wpadł do salonu, jego ubranie było w katastrofalnym stanie i zaraz gdzieś zniknął...

- Mają kłopoty... - zaczęła lady Margaret.

. - To nie ulega wątpliwości! - warknęła lady Catherine. - Można mieć tylko nadzieję, że wszyscy już dużo wypili i nie będą pamiętać jego zachowania...

- Muszę szybko wrócić do domu, zanim coś się wydarzy. Potrzebuję powozu! - Lady Margaret obrzuciła zgromadzonych niespokojnym spojrzeniem, nagle twarz się jej rozjaśniła. - Teddy!

Lady Catherine była oburzona, widząc, jak lady Margaret

bezceremonialnie traktuje księcia. Ale po chwili jego powóz odwoził obie damy do Oxley House.

- Wszystko tak dobrze się zapowiadało, dopóki on nie zaczął się zachowywać jak szaleniec - rzuciła lady Catherine.

- On nie jest szaleńcem. Prawdopodobnie tak zachowałyby się każdy mężczyzna... którego żona byłaby obdarzona fatalną aurą.

- Co?!

- Moja Charity roztacza wokół siebie fatalną aurę - szepnęła lady Margaret. - Ona przynosi nieszczęście. To z jej winy spadł żyrandol.

- To urocze dziecko ma fatalną aurę? - prychnęła lady Catherine. - To absurd. Chyba odurzyły panią te śmierdzące kurze żołądki w amuletach.

- Wątroby! - ucięła lady Margaret.

- Wszystko jedno co!

Rozpętała się burza. Błyskawice bezustannie przecinały niebo, towarzyszył im głuchy odgłos grzmotów. Rane postanowił sam poszukać swojego powozu, przeciskali się teraz razem z Charity pomiędzy rżącymi ze strachu, niespokojnymi końmi.

- Widzisz? Ja zawsze płoszę konie!

- A ja przypuszczam, że błyskawice i grzmoty nie robią na nich najmniejszego wrażenia! - wściekł się Rane.

Wsadził ją do powozu i kazał stangretowi ruszać. Charity siedziała skulona, drżała o bezpieczeństwo Rane'a, a jednocześnie gniewał ją jego lekceważący stosunek do tak zasadniczej sprawy, jaką jest szczęście. W świetle błyskawic widziała zacięty wyraz jego twarzy i wiedziała, że jest na nią wściekły.

Kiedy wchodzili do domu, zaczął padać deszcz. Rane skierował się wprost do jadalni, chwycił z kredensu solniczkę, otworzył ją i wysypał całą zawartość na podłogę.

- Nie wolno ci tego robić! - Schyliła się, żeby podnieść parę grudek soli i przerzucić je przez ramię, ale zastąpił jej drogę.

- Jaką szkodę może wyrządzić garstka rozsypanej soli? - spytał. - Najwyżej ktoś mógłby się na niej poślizgnąć.

- Rane, nie możesz tak igrać ze szczęściem!

- Właśnie, że mogę. Nie mogę natomiast żyć, mając połowę żony, połowę jej serca i połowę jej miłości! Nie mam zamiaru spędzić reszty życia, widząc za każdym krzakiem złośliwego duszka i zapowiedź nieszczęścia w każdej solniczce. Nie mogę tak żyć, Charity, i nie wierzę, żebyś ty musiała tak żyć. Możesz wybrać rozsądek i wolność. - Zamilkł na chwilę i dodał cichym głosem: - I miłość. Możesz wybrać życie, mój aniele. Możesz wybrać mnie.

Powoli docierało do niej znaczenie tych słów. Czy to może być tak proste i zależeć tylko od jej wyboru? Czy mogłaby pozbyć się uczucia winy za te rozliczne katastrofy i nazwać je zwykłym zbiegiem okoliczności albo udawać, że w ogóle nie miały miejsca? Zadrzała, a w jej oczach malował się lęk i ból.

- Wymów te słowa, Charity - prosił, podchodząc do niej.

Odwrociła od niego wzrok, a był już prawie pewien zwycięstwa.

- W takim razie będę się sam musiał zmierzyć z twoim przeklętym „szczęściem”.

Wziął ją za rękę i zaciągnął do swojego gabinetu, gdzie stała drabinka przy półkach z książkami. Trzymając ją ponad głową, skierował się na schody. On szedł pod drabiną!

- Proszę cię, Rane, odstaw drabinę... nie wiesz, co cię może spotkać. - Charity pobiegła za nim i dogoniła go w połowie schodów. - Proszę cię, porozmawiajmy.

- Rozmawialiśmy już.

Wszedł na schody i skierował się do ich wspólnego apartamentu, nie wypuszczając drabiny z rąk. Zastanawiał się przez chwilę, po czym oparł ją o baldachim łóżka i stanął pod nią. Stał tak dłuższą chwilę, dopóki coś mu się nie przypomniało. Podeszedł do kominka, wyciągnął stamtąd schowane przez Charity stare buty i wyrzucił je przez okno. Zrobił to samo



z butami stojącymi na parapecie, potem przysłała kolej na naczynie z wygasłym węglem spod łóżka i przywiązaną do kolumnienek jemiołę. Zebrał sól z parapetu i z gzymsu kominka. Musi pozbyć się wszystkiego, co wiąże się z przesadami, cokolwiek by to było!

Charity przyglądała się temu dziełu zniszczenia, mając uczucie, jakby wydzierał te magiczne przedmioty z jej serca. Od wczesnego dzieciństwa jej życie poddane było setkom drobnych rytuałów, przypominała sobie nagle „szczęśliwe srebrne naparstki” i przestrozę „nie reperuj ubrania na osobie, bo przyszyjesz do niej smutek”. Przychodziły jej na myśl wszystkie porzekadła, które były wykładnią, a jednocześnie przepowiednią przyszłych wydarzeń- o dzieciach w czepku urodzonych, o szczęśliwym kolorze żagli, o wronach... Jedna wrona to smutek, dwie wrony to radość, trzy wrony to ślub, a cztery - chrzest. Wydawało się jej, że czuje zapach magicznych ziół, którym przesiąknięty był jej dom w Standwell.

Były też inne wspomnienia - kiedy nie mogła zasnąć w nocy w obawie przed złośliwymi duszkami, przypominając sobie słowa ojca, który mówił, że bez względu na to, jak długa jest noc, zawsze nadejdzie poranek. Pamiętała też, jak się wtedy modliła, żeby wreszcie zabłyśło światło dnia.

Burza szalała, deszcz walił o szyby, błyskawice rozświetlały niebo, wzmagając jej niepokój. Gzy sól, stare buty i suszone zioła mogą mieć jakakolwiek moc? - przypominała sobie słowa ojca. Jaki wpływ mogą mieć stare buty, nasiona kolendry, czosnek w kurzych wątróbkach czy łapy martwego królika na ludzkie życie? W jaki sposób mogłyby uchronić kogoś od choroby... lub śmierci? Przecież nie uchroniły jej ojca.

Rane widział, jak jej twarz pokrywa się śmiertelną bledością, a z oczu wyziera przerażenie- pograżyła się bez reszty w swoich lękach. Zdesperowany, zdjął but z nogi i podszedł do wielkiego lustra, w którym przeglądali się tego pamiętnego,

miłosnego popołudnia. Charity nie zdążyła krzyknąć - uderzył i lustro roztrzaskało się na kawałki.

- Och, nie — jęknęła, odciągając go od tego złowróbnego miejsca. - To oznacza siedem lat... Teraz przydarzy się coś straszego...

- *Nic mi się nie przydarzy! - Chwycił ją za ramiona. - Do* diabła, Charity, żadna magia nie ukrywa się w lustrach ani w końskich podkowach, ani w tych cholernych amuletach! Nie ma żadnej pozaziemskiej siły, dobrej ani złej, w słowach, rytuałach... ani na tym sakramenckim księżycu. Ty wniosłaś do mojego życia tylko dobro, którego przedtem nie znałem. Kocham cię...

- Ojciec też mnie kochał... i już nie żyje! Och, Boże, Rane, czy ty tego nie rozumiesz? Ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć! Stracił cały majątek i musiał zająć się kontrabandą. To moja fatalna aura spowodowała, że wypłynął w morze podczas sztormu, i to ja zgasiłam latarnie, dzięki którym mógłby bezpiecznie dobić do brzegu. - Wstrząsało nią łkanie. - Nie rozumiesz... ja go zabiłam.

Rane stał osłupiały. Teraz już wszystko pojmował. Ona naprawdę wierzyła, że ponosi odpowiedzialność za śmierć swojego ojca, a co gorsza, uważa że go zabiła! Teraz dopiero zrozumiał, że to straszne poczucie winy popchnęło ją do irracjonalnych zachowań. Pograżona w rozpacz, szukała wytłumaczenia tej tragedii i... znalazła pociechę w przesądach i gusłach.

- Charity, nie jesteś odpowiedzialna za śmierć swojego ojca. Był sztorm i łódź wpadła na skały.

- Nie! - krzyknęła, potrząsając gwałtownie głową. - Tej nocy zobaczyłam, że w oknach domu palą się dwie latarnie i ja je zgasiłam. A one miały wskazywać ojcu drogę do brzegu. Myślałam, że Melwin nich zapomniał, i zgasiłam je. Więc to ja spowodowałam katastrofę, ja i moja fatalna aura.

Huknął grzmot, zygzak błyskawicy oświetlił cały pokój. Charity drżała jak w febrze. Taka sama burza zabrała jej ojca! A Rane już dwukrotnie znalazł się dzisiaj w niebezpieczeństwie. Jeśli ona będzie blisko, to na pewno spotka go coś złego! Desperackim wysiłkiem wyrwała się z jego rąk.

- Odejdź! - krzyknęła. - Musisz ode mnie odejść! Ta burza... Piorun mógłby... - cofała się przed nim z obłędem w oczach.

Rane podjął decyzję. Chwycił ją za rękę, pociągnął do drzwi i włókł przez hol, aż dotarł do ciemnych, wąskich schodów, które prowadziły na samą górę.

- Co robisz?! Wracaj! - błagała.

Ale on zatrzymał się dopiero na strychu. Staął, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem.

- Kocham cię, Charity. Kiedy wrócę tu, nie chcę już nigdy słyszeć od ciebie o fatalnej aurze.

Zdjął frak i wyszedł na otoczony drewnianą balustradą gzyms, wprost w paszczę burzy.

- Kiedy wrócisz... Dobry Boże, nie! - Kolejne, bliskie wyładowanie elektryczne stłumiło jej żalospny jęk. - Rane, wracaj! Zrobię wszystko, co każesz...

Jego biała koszula jaśniała na tle ciemnego nieba, kiedy stał na szeroko rozstawionych nogach, prostując ramiona i opierając się siłom natury. Uderzały w niego fale deszczu i gwałtowne poddmuchy wiatru, udało mu się jednak odwrócić do niej.

Serce waliło jej jak oszalałe, kiedy stała w drzwiach strychu, wołając go i błagając, żeby wrócił. Za każdym razem, kiedy wymawiała jego imię, wtórował jej grzmot, jak uderzenie pogrzebowego dzwonu. Patrzyła, jak tam stał, rzucając wyzwanie szczęściu, siłom natury, a nawet śmierci... a w jego oczach dojrzała miłość.

Przez jej głowę zaczęły przelatywać gorączkowe myśli - piorun go zabije... on umrze... nie usłyszawszy, że ona go

kocha. Czekał na to wyznanie na tym niebezpiecznym drewnianym gzymsie, kochając ją, pragnąc ją wyswobodzić z pęt przesądów, nawet za cenę własnego życia.

Jeśli on umrze, to ona też nie chce dalej żyć. Musi więc być przy nim, podzielać jego nadzieję i razem z nim stawić czoło niebezpieczeństwu.

Wyszła na gzyms, krople deszczu biły ją po twarzy, mokra suknia oblepiała nogi, ale nawet tego nie czuła. Posuwała się z trudem, ale kiedy była już blisko niego, rzuciła mu się w ramiona.

- Kocham cię! - powiedziała.
- Głośniej! - zażądał.
- Kocham cię! - krzyknęła. - Zawsze cię kochałam!

Przygarnął ją do siebie, osłaniając własnym ciałem przed wiatrem i deszczem. Stali tam, rzucając wyzwanie szczęściu, siłom natury, a nawet śmierci...

Mijały minuty, może godziny, kiedy stali tak ponad dachami, zespoleni wzajemną miłością.

Burza ucichła, o dach uderzały już tylko pojedyncze krople deszczu.

- Charity?
- Tak?
- Jeszcze żyjemy.
- Jesteś tego pewny? Mnie się wydaje, że już jestem w niebie.
- Naprawdę, mój aniele? Na pewno dożyjemy stu lat!

Rane złożył gorący pocałunek na jej wargach, wziął ją na ręce i wniósł do domu.

Schody były wąskie, więc musieli schodzić jedno za drugim, ale on zatrzymywał się co kilka stopni i całował ją aż do utraty tchu. Kiedy znaleźli się w holu na piętrze, znów wziął ją na ręce, kierując się do ich sypialni.

Są tu! Na górze! - zawołała lady Margaret, przechylając się przez poręcz schodów. Podbiegła do nich i zatrzymała się jak wryta, widząc, że ociekają deszczem. Byli na dachu! - Dobry Boże - jęknęła.

Zdyszana lady Catherine wbiegła na górę.

- Gdzieście, u licha, byli? Myśmy się tu o was zamartwiały.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Rane. - To bardzo miłe z pani strony, lady Catherine, że się pani o nas martwiła.

- To wszystko przez tę starą Cygankę. - Wskazała niebdałym gestem lady Margaret. - Przez cały czas głądziła o fatalnych aurach i niebezpieczeństwach... i całkowicie wyprowadziła mnie tym z równowagi! - Rzuciła lady Margaret oskarżycielskie spojrzenie. - Ja, oczywiście, nie wierzę w takie bzdury. Ale ta burza... gdzieście tak przemokli?

- Nic wam się nie stało? - wtrąciła lady Margaret, obrzucając Charity zatroskanym spojrzeniem. Zaczęła kreślić w powietrzu cygański szczęściodajny znak, ale Charity chwyciła ją za rękę.

- To już nie jest konieczne, babciu. - Uścisnęła dłoń babki i przeniosła wzrok na Rane'a. - Nie potrzebujemy tego. Od teraz będziemy sami kształtować własne szczęście.

Lady Margaret, widząc ich rozradowane twarze, wiedziała, że doszli do całkowitego porozumienia. Charity przyjęła racjonalny punkt widzenia męża i ona nie miała już nic do powiedzenia.

- Chyba nie chcesz dostać zapalenia płuc - zwróciła się do Charity. - Powinnaś się zaraz przebrać.

- Też tak uważam - roześmiał się Rane.

Zaniósł Charity do ich sypialni, a lady Catherine zamknęła za nimi drzwi. Zobaczyła, że po twarzy lady Margaret spływają łzy.

- Jak myślisz, co ich czeka, paskudna sekutnico?

- Wszystko będzie dobrze, stara czarownico. - Lady Ca-

therine uściśnęła jej drżące dłonie. - Chodź. Powiem Eversby'emu, żeby znalazł dla nas trochę koniaku.

Rane rzucił Charity na łóżko i przygniótł ją własnym ciałem.

- Rane! - Roześmiała, usiłując go odepchnąć.
- Nie zwrócił na to uwagi, tylko mocniej przytulił ją do siebie.
- Co robisz?
- Nie wiesz? - Przesuwał teraz ustami po jej szyi.
- Przecież jesteśmy mokrzy.
- Lubię, jak jesteś mokra.
- Słyszałeś, co babcia mówiła. Musisz mnie rozebrać!
- Jak mogłem o tym zapomnieć!

Ześlizgnął się z niej i zaczął rozpinać guziczki mokrej jedwabnej sukni i zsuwać ją z jej ramion. Patrzył na jej piersi, które wyłaniały się z głębokiego dekoltu, widział jej różowe sutki wychylające się z wycięcia jedwabiu. Położył na nich dłonie.

Ogarnęła ją fala gorąca.

- Zdejmij ze mnie wszystko - szepnęła.

Rozbierał ją bardzo wolno, całując i pieszcząc każdy fragment obnażonego ciała. Charity prężyła się i przeciągała pod jego wyszukanyymi pieszczotami, pragnąc jak najszybciej poczuć go w sobie. Wreszcie była już całkowicie naga.

Usiadła na łóżku i zaczęła go rozbierać z pośpiechem, który zaparł mu dech w piersiach. Szybko zrzucił przemoczoną kołdrę z łóżka.

- Czy mogę to dalej nazywać magią nocy? - wyszeptwała, kiedy leżał na niej nagi.

- Tego się nie da inaczej nazwać.

Jego sztywny, twardy członek ocierał się o jej uda. Rozsunęła nogi, żeby je zaraz ścisnąć, a Rane poruszał biodrami, prze-

suwając swoją męskość po jej wilgotnym łonie. Po chwili rozrzuciła szeroko nogi, aby przyjąć go w siebie. Wszedł w nią gwałtownie. Ich ciała poruszały się w zgodnym rytmie namiętności. Kiedy jej ciałem zaczęły wstrząsać spazmatyczne dreszcze i kiedy usłyszał jej ciche okrzyki, sam doznał orgazmu.

Leżeli wyczerpani, z trudem łapiąc oddech, mając jednocześnie cudowne poczucie spełnienia. Nic ich już nie dzieliło, łączyła nieskażona strachem miłość. Słuchali cichego szumu deszczu za oknami.

To była cudowna noc rozkoszy, przerywana czułymi szeptami i krótkimi, sennymi odpoczynkami. Wspominali ze śmiechem wydarzenia z balu. Charity nie potrafił tylko rozbawić spadający żyrandol, bo ten wypadek zagrażał jej mężowi. Uśmiechnęła się jednak na wspomnienie, jak chodził po salonie w jednym bucie.

- Dobry Boże, Rane, co oni sobie o nas pomyślą? Ty, w przewróconym na lewą stronę fraku, w jednym bucie, ciagniesz mnie przez salon...

- Pewnie pomyślą, że jestem szaleńcem, który cię więzi... - Przesunął dłoń po jej piersi. - Który cię trzyma w niewoli, żeby cię gwałcić, zaspokajając swoje prymitywne instynkty.

- Mów poważnie. - Charity gwałtownie złapała oddech, kiedy dotknął ustami jej piersi.

- Mówię zupełnie poważnie.

- Czy... czy to znaczy, że nie będziemy już należeć do towarzystwa?

- Po tym incydencie nasze akcje na pewno nie poszły w górę - roześmiał się.

- Przykro mi, Rane. Wiem, jak bardzo ci na tym zależało. A teraz, z powodu mojej...- Szybko położył dłoń na jej ustach. - Mojego uporu, chciałam powiedzieć „uporu” - poprawiła się pośpiesznie - znowu będziesz tam niemile widziany. Czy nie można jakoś tego naprawić? Może gdyby babcia

porozmawiała z wujaszkiem Teddym... - Charity zadrżała, kiedy poczuła, że jego dłonie przesuwają się po jej pośladkach i udach. - Rane...

- Po prostu przestańmy się tym interesować.

- Jak to? Przecież ty... - Jęknęła, kiedy jego dłoń znalazła się pomiędzy jej nogami.

- Będziemy zajmować się innymi rzeczami. Podróżować. Wiem, że marzyłaś o podróżach. A ja chciałbym kupić kawałek ziemi.

- Przecież masz już ziemię.

- Jak to? - Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Standwell. Razem ze mną wzięłeś w posiadanie Standwell. - Rane ściągnął brwi. Przy całym swoim doświadczeniu w prowadzeniu interesów nawet nie pomyślał o tak prostej sprawie. - Ziemia jest bardzo urodzajna - ciągnęła. - Możemy też zdjąć wszystkie wiszące w domu podkowy.

Uśmiechnął się do niej, nie mógł się jednak pozbyć niejasnych, niepokojących myśli. To było coś ważnego, coś mającego związek ze Standwell. Zaczął sobie przypominać to wszystko, co mówiła Charity, zanim wyszli na dach.

- Jeśli ziemia jest urodzajna... to dlaczego twój ojciec nie miał pieniędzy? - Oczy jej pociemniały, zeszywniała w jego ramionach - Ja wiem dlaczego. Ten majątek był źle zarządzany. Jego upadek nie miał żadnego związku z tobą ani z twoją „fatalną aurą”. Twój ojciec był dobrym człowiekiem, Charity, wspaniałym człowiekiem, ale nie potrafił właściwie administrować majątkiem. To on podjął decyzję, że zajmie się kontrabandą; on postanowił wypłynąć na morze w czasie burzy. Nie możesz obwiniać się za decyzje, które podejmują inni, za ich lekkomyślność, nieudolność czy też głupotę...

Charity zagryzła wargę. Wspomnienia z dzieciństwa zmieniły barwę, kiedy patrzyła na nie oczami dorosłej kobiety - jej ojciec często porzucał swoje księgi rachunkowe, żeby



polować albo łowić ryby z Percym i Garem, dzierżawcy nigdy nie mogli zastać go w domu. Pamiętała, jak skarżył się babce, że jest za mało pieniędzy z dzierżawy i za każdym razem wzruszał tylko ramionami i zwalniał kolejnego służącego. Natomiast Rane codziennie chodził do biura i nadzorował wyładunek na nabrzeżu. Jej ukochany ojciec niewątpliwie był dobrym człowiekiem, nie był jednak dobrym administratorem. Rane miał rację - jej ojciec sam podjął decyzję, że zajmie się kontrabandą, i sam postanowił wypłynąć w tę burzliwą noc.

- Ale to ja zgasiłam latarnie, Rane. - Łzy spływały jej po policzkach, czuł jednak, że mu uwierzyła. Został tylko ten jeden punkt...

- Latarnie. Masz na myśli lampy, w których palą się świece łojowe? - Skinęła głową. Oparł się na łokciu i przyciągnął ją bliżej do siebie. - Charity, oni nie mogliby skorzystać z tych latarni przy naprowadzaniu łodzi do brzegu. Szalała wtedy burza, a Gar i Percy mówili, że wypłynęli wyjątkowo daleko, poza zatokę. Zwykłe latarnie z łojowymi świecami, w tych warunkach, mogły być widoczne najwyżej z odległości trzech metrów... a oni byli bardzo daleko.

- To były przecież latarnie, które miały wskazywać im drogę. Gdyby tak nie było, to po co by je zapalano? - Charity usiadła na łóżku, potrząsając z powątpiewaniem głową.

- Nie wiem. Może miały wskazać im drogę do domu, kiedy już byli na brzegu. Charity, staliśmy na dachu podczas burzy, a ty powiedziałaś, że to jest taka sama nawałnica, w jakiej zginął twój ojciec. - Usiadł na łóżku i wziął ją za ramiona. - Przypomnij sobie. Czy widziałaś wtedy jakieś światła? Staliśmy na dachu, otoczeni innymi domami, musiało się gdzieś palić światło. Widziałaś je?

- Nie - szepnęła.

Iskierka nadziei, którą w niej rozbudził, zamieniła się w pewność. Nie odczuwała już tego przerażającego ciężaru winy -

była wolna. Zaczęła obsypywać go pocałunkami, śmiejąc się i płacząc.

- Kocham cię - powiedziała. Położył się na plecach, chwycił jej biodra, posadził ją na sobie, a ona brała jego męskość we władanie powolnymi, drażniącymi ruchami, wciągając go w siebie coraz głębiej. Zatracili się w uczuciu pulsującej rozkoszy, świetlnej feerii tysiąca gwiazd, i wspólnie osiągnęli szczyt upojenia.

Rankiem zbudziło ich dyskretne chrząkanie Eversby'ego. Rane usiadł na łóżku, a Charity przecierała jeszcze zaspane oczy.

- Milady! - Kamerdyner skłonił się Rane'owi, ale zwracał się tylko do Charity. Na jego twarzy ukazał się pełen zadowolenia uśmiech. - Zgodnie z pani poleceniem, wysyłałem codziennie rano kogoś do portu i wreszcie znaleźliśmy poszukiwany przez nas towar! Przeszło trzy kilogramy! - Zaklaskał w dłonie i w drzwiach sypialni ukazał się służący z tacą...

- Banany! - wykrzyknął Rane, wyskakując z łóżka. - Prawdziwe banany!

Rzucił się na nie jak mały, łakomy chłopak, dopiero po chwili podał banana Charity, żeby spróbowała tego cudownego owocu. Przełknęła kawałek przejrzałego już banana, stwierdziła, że ma „interesujący” smak, i oddała mu resztę.

- Anioły i banany - powiedział, patrząc na nią z wdzięcznością. - Chyba jestem już w niebie.

Charity schodziła ze schodów z uśmiechem na twarzy. Wszystko sprawiało jej radość - nowa pomarańczowa suknia, dotyk mahoniowej poręczy, widok wyłożonego białym marmurem holu. Od balu u księcia Sutherland minęło już pięć cudownych dni, podczas których często znikali w swoich apartamentach, żeby zaspokoić nagłe porywy pożądania, również obecność domowników nie powstrzymywała ich przed okazywaniem sobie czułości. Lady Catherine była zaszokowana ich skandalicznym zachowaniem, lady Margaret zasmucona, a służba zażenowana. Chodzili na długie spacerzy, z czego najbardziej korzystał Wolfram.

Czwartego dnia Rane wstał wcześniej, żeby iść do portu, a potem do biura i wszystko powoli wróciło do normy. Hrabina Swinford złożyła Charity krótką, kurtuazyjną wizytę. Rozmowa obracała się wokół zakończenia towarzyskiego sezonu, planów letnich wyjazdów i innych banalnych spraw. Wizyta ta miała jednak szczególną wymowę, była oznaką, że wicehrabia i wicehrabina Oxley nie będą bojkotowani w towarzystwie z powodu ekscentrycznego zachowania na balu. Najwyraźniej goście, którzy byli na tyle trzeźwi, żeby zapamiętać ten incydent, uznali go za niewinny, romantyczny wybryk młodej pary.

Zatrzymała się na schodach na widok lokaja, który usiłował wciągnąć Wolframa do domu. Pies opierał się z całych sił, więc szybko zbiegła na dół, wzięła smycz od lokaja i zaprowadziła go do gabinetu Rane'a, prawiąc mu po drodze kazanie. Nagle Wolfram nastawił czujnie uszy – ktoś wchodził do Oxley House. Pies przez chwilę uważnie nasłuchiwał, a potem nieoczekiwanie wyrwał się jej i pognał na dół. Charity pobiegła za nim, bezskutecznie go przywołując. W wejściowym holu zatrzymała się jak wryta. Stał tam zjeżony Wolfie, patrząc wściekłością na... Sullivana Pinnowa.

- Baronie. - Charity zarumieniła się nagle i zeszywniała.

- Pani hrabino. - Pinnow wykonał teatralny ukłon.

Zrobił krok w jej stronę, ale zagroził mu drogę Wolfram, warcząc i szykując się do ataku. Lokaj chwycił smycz i z pomocą drugiego lokaja i Eversby'ego, którzy przybiegli mu na odsiecz, udało się opanować wielką bestię. Charity poleciała, żeby znowu wzięli psa na spacer, przeprosiła barona i zwróciła się do Eversby'ego z prośbą o herbatę i sprowadzenie lady Margaret i lady Catherine.

- Przykro mi, milady - powiedział Eversby. - Zapomniałem panią uprzedzić, że lady Margaret poszła dziś rano w odwiedziny do księcia, a lady Catherine... uparła się, żeby jej towarzyszyć.

Ta wiadomość przygnębiła Charity. Sama będzie musiała znieść towarzystwo wstrętnego barona. Prowadziła go do bawialni, ale on zatrzymał się w progu, taksując wzrokiem meble, dywany i obrazy, oceniając ich wartość. Ona też obserwowała go spod oka.

Był bardzo spięty, a jego zwykle nieposzlakowany ubiór był dziwnie nieświeży - plamy na rękawiczkach, pognieciony kołnierzyk, a surdut wyglądał tak, jakby w nim spał. Baron miał podkrażone oczy i pobrużdżoną twarz. Kiedy poczuła na sobie jego wzrok, szybko odwróciła oczy.

- Co sprowadza pana do Londynu, baronie? - spytała, wskazując mu krzesło i sama siadając. Nie skorzystał z zaproszenia, tylko stanął obok niej.

- Interesy - powiedział. - Wycofałem się już ze swoich obowiązków w okręgu. - Tuż przed aresztowaniem, dodał w myśli.

Uciekł z Devon zaledwie przed pięcioma dniami, zanim królewscy audytorzy zdążyli odkryć wszystkie jego malwersacje. Prawdopodobnie już wysłano za nim pogoń. Nie udało mu się zabrać ze sobą wystarczającej sumy, musiał więc uczynić jakiś desperacki krok. Pomyślał, że w Londynie może zdobyć trochę pieniędzy i jednocześnie dokonać małej zemsty.

- Bardzo przytulne mieszkanie, milady. - Pinnow uśmiechnął się złośliwie. - Oxley jest bogatszy, niż mogła pani przypuszczać. - Rzucił jej jadownicę spojrzenie. - A może dobrze pani o tym wiedziała. To było bardzo sprytne. A ja byłem naiwny, nie dostrzegając bezwzględnej, chytrej kobiety pod tą maską słodkiej naiwności.

Charity zaniemówiła. Po chwili ukazał się Eversby z tacą, ale odprawiła go, mówiąc, że baron zaraz wychodzi. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że została sama z człowiekiem, który niewątpliwie miał jakieś złe zamiary. Odprawiła Eversby'ego, a resztę

- Powinna pani wiedzieć, lady Charity - zwrócił się do niej ze złośliwym błyskiem w oku - że jako sędzia pokoju okręgu Mortehoe muszę pilnować, żeby przestrzegano prawa. Ostatnio znalazłem dowody na to, że pani ojciec zajmował się nielegalnym handlem. To znaczy kontrabandą, milady. Pani ojciec był szmuglerem. Mam zeznania Gara Davisa i Percy'ego Halla, które potwierdzają ten fakt. Złapałem ich na kłusownictwie i wszystko mi wyśpiewali, żeby ocalić własną skórę.

- Gar i Percy... - zaczęła Charity, pod którą uginały się już

kolana - nigdy by nie powiedzieli czegoś takiego o moim ojcu. Nie wierzę w to!

- Nie obchodzi mnie, czy w to wierzysz, laluniu. - Zirytywany jej oporem Pinnow zrzucił maskę. - Sąd w to uwierzy, a także twój wspaniały mąż, ambitny wicehrabia Oxley. Pomyśl, co się stanie, kiedy się dowie, że jego urocza żoneczka jest pomiotem pospolitego złoczyńcy.

Krew uderzyła jej do głowy, zacisnęła pięści. Jak on śmie, ten łajdak!

- Wyjeżdżam z kraju i wiedza na ten drażliwy temat mogłaby wraz ze mną opuścić Anglię... za odpowiednią cenę.

Więc o to mu chodzi, pomyślała. Chce, żeby mu zapłacić za milczenie. Ale wybrał sobie nieodpowiednią tajemnicę i nieodpowiednią ofiarę.

- Jego lordowska mość jest poinformowany o działalności mojego ojca. Dowiedział się o niej jeszcze przed naszym ślubem i pogodził się z tym faktem. Niczego przed nim nie ukrywałam.

Popatrzyła z zadowoleniem na ściągniętą ze złości twarz barona, ale jej radość nie trwała długo.

- Jeśli moja propozycja pani nie interesuje, to na pewno tymi informacjami zainteresują się władze. - Pinnow starał się znowu zachować pozory dżentelmena, przynajmniej w sposobie mówienia. - Nazwisko pani męża znajdzie się w gazetach, a pewnie również i w sądzie, kiedy zostanie orzeczony przepadek mienia, czyli posiadłości Standwell.

Charity zacisnęła dłonie. Była przekonana, że on to zrobi. Złoży władzom doniesienie, pójdzie do gazet i całkowicie zrujnuje im reputację. Przez moment zastanawiała się, czy mu nie zapłacić, ale szybko odrzuciła tę myśl. A jeśli on blefuje?

- Proszę tak zrobić, baronie - powiedziała pewnym głosem. - Musi pan spełnić swój obywatelski obowiązek. Niech pan idzie do władz ze swoimi małymi kłamstwami. Zobaczymy

wtedy, komu uwierzą. - Obrzuciła wzrokiem jego zniszczone ubranie. - Może dadzą wiarę wicehrabiemu Oxley, a nie byłemu sędziemu pokoju?

Pinnow kipiał wściekłością. Tego się nie spodziewał.

- Ty mała diablico! Myślisz, że tego nie zrobię?

- Nie obchodzi mnie, czy pan to robi, baronie. A teraz proszę wyjść, zanim zawołam służących, żeby pana wyprowadzili.

Pokonała go. Widać to było wyraźnie w jego twarzy. Nie mogła jednak przewidzieć, że w ten sposób doprowadziła go do ostateczności. Chwycił ją za ramiona.

- Ty suko! Już raz dałaś mi się we znaki, ale na więcej ci nie pozwolę! - Trzymał ją tak mocno, że nie mogła się wyrwać. - Poprzysiągłem sobie, że zapłacisz mi za to, że mnie zdradziłaś... pieniędzmi... i własnym ciałem. Idziesz ze mną!

- Proszę mnie puścić. Nie może pan... - Otworzyła usta, żeby zawołać pomoc, a wtedy on wyjął z kieszeni nóż i przyłożył jej do szyi.

- Zamknij się, ślicznotko. - Krzyk zamarł jej w gardle, kiedy zobaczyła wyraz jego oczu. - Idziesz ze mną. Może potem cię wypuszczę, jeśli twój ukochany wicehrabia odpowiednio zareaguje. Na ile on ocenia cię w łóżku? Na tysiąc funtów? - Na jego ustach ukazał się obleśny uśmiech. - Chyba na więcej. Przecież specjalnie przyjechał do Devon, żeby nie dopuścić do naszego ślubu. Pięć tysięcy? Jeszcze więcej? - Przesuwał nożem po jej szyi i dekolcie.

- To się nie uda. Znajdą pana!

- Ale mogą nie znaleźć ciebie. - Wziął ją pod rękę, przystawiając jej jednocześnie nóż do żeber. - Idziemy.

Kiedy poczuła, że nóż coraz mocniej wpija się w jej żebra, przestała się opierać. W holu nie było nikogo, chociaż rozglądała się rozpaczliwie dokoła. Wyszli na zewnątrz - nigdzie nie było powozów ani nawet przechodniów. Charity była

przeżazona i znowu usiłowała się opierać, ale zrezygnowała, czując mocniejszy ucisk noża.

- Ruszaj się albo załatwię cię od razu!

Nie miała wyboru. Prawie biegła, żeby utrzymać narzucone przez niego tempo. Dzięki temu nie musiała myśleć o tym, co ją jeszcze czeka.

Przechodnie nie zwracali na nich uwagi, ale ten widok zastanowił Brockwaya, lokaja, który był w parku z Wolframem. Miał zamiar powiedzieć o tym służącemu, który mu pomagał przy wyprowadzaniu psa, kiedy Wolfram zaczął głośno szczekać i wrywać się do przodu.

Zdołaliby go utrzymać, gdyby Charity nie poluzowała zapięcia przy obroży. Jedno potężne szarpnięcie i Wolfram pognał za swoją panią i wkrótce zniknął za rogiem, nie przestając szczekać. Brockway pobiegł za nim, ale kiedy pies zamilkł, nie wiedział, gdzie go szukać. Wracił zdyszany do Oxley House, zastanawiając się, jak się ma tłumaczyć przed Eversbym i przed jego lordowską mością.

Wolfram zatrzymał się nagle i podniósł łeb, rozglądając się dokoła. Otaczało go zbyt wiele zapachów, a jego pani była już zbyt daleko. Przyłożył nos do ziemi, biegając tam i z powrotem. Poczuł nagle lekki różany zapach. To był zapach jego pani! Przeszkadzały mu inne, silne zapachy, ale ten różany udało mu się wychwycić jeszcze kilka razy. Ta woń zaprowadziła go aż do portu. Przemykał się pomiędzy tragarzami, wśród nowych, mylących zapachów, ale żaden z nich nie był różany. Z opuszczonym łbem ruszył w stronę domu.

Pinnow ciągnął Charity pustymi, brudnymi ulicami. Potem, kiedy zaczęły się pojawiać ogromne magazyny, wiedziała już, że zbliżają się do portu.

Wepchnął ją do jakiegoś starego magazynu, prowadząc pomiędzy rzędami beczek i drewnianych skrzynek. Na środku siedziało trzech mężczyzn; grali w karty.



- Idź do kapitana - zawołał Pinnow do jednego z nich. - Powiedz mu, że mam dla niego nową propozycję.

Poprowadził Charity chwiejnymi, drewnianymi schodami na górę. Wepchnął ją do jakiegoś zagraconego pomieszczenia, a sam stanął w drzwiach, nie wypuszczając noża z ręki.

- Nie ujdzie to panu na sucho! - krzyknęła.

- Już mi to uszło, ślicznotko. Jesteś w moich rękach. Teraz twój nieoceniony wicehrabia musi tylko poznać moje warunki. A ty, ladacznico, upokorzyłaś mnie, rozkładając dla niego nogi. Teraz mi za to zapłacisz.

Kiedy zaczął się zbliżać, Charity cofała się, dopóki nie natrafiła na ścianę. Sullivan Pinnow był już przy niej, przykładając jej nóż do gardła.

- Pamiętam smak twoich warg... i dotyk twojego ciała. - Przyciskał się do niej, a jego dłoń sięgała już do jej piersi.

- Pana dotyk mnie brzydzi - krzyknęła, odpychając go z całej siły. Zachwiał się, cofając się niepewnie. Na jego twarzy ukazał się wyraz wściekłości. Podniósł pięść.

W oczach jej pociemniało. Osunęła się bezwładnie na podłogę.

Lady Margaret i lady Catherine wróciły do domu dopiero późnym popołudniem, sprzecząc się zajadle.

- Musiałaś wyciągać na wierzch te swoje śmierdzące amulety? - irytowała się lady Catherine, rozwiązując tasiemki kapelusza. - Myślałam, że lady Melbourne zemdleje na ten widok.

- Głupi stary babus... udawała, że nigdy jeszcze nie widziała łapy łasicy - mruknęła lady Margaret, podając szal pokojówce.

- Nie ośmielę się spojrzeć im w oczy! - Lady Catherine z bolesną miną przyłożyła palce do skroni. - Wystarczył tydzień, żebyś pozbawiła mnie połowy znajomych!

W tym momencie wpadł do holu zaaferowany Eversby. Na widok starszych dam na jego twarzy ukazał się wyraz rozczarowania.

- Myślałem, że wrócił Wolfram.  
- Wolfram? Uciekł?- zdenerwowała się lady Margaret.  
- Wyrwał się Brockwayowi i Jordanowi, kiedy byli z nim na spacerze. Nie ma go już od kilku godzin.

- Nie ma się czym martwić - mruknęła lady Catherine.  
- Pobiegł za lady Charity i tym dżentelmenem... - Zażenowany Eversby zerknął na Brockwaya. - Nie chciałbym wywoływać niepotrzebnego zamieszania, może nie powinienem się tym interesować... ale ona też nie wróciła.

- Dżentelmen? - wykrzyknęła lady Margaret. - Jaki dżentelmen?

- Jej lordowska mość miała dziś gościa - zaczął Eversby. - Kazała podać herbatę, ale kiedy przyniosłem tacę, powiedziała, że... on już wychodzi. Potem Brockway zobaczył ich, jak wychodzili z domu, i wydało mu się to dziwne... - Dał znak lokajowi, żeby mówił dalej.

- Początkowo nie mogłem tego zrozumieć, ale coś było nie tak. Wolfram zaczął się szarpać i szczeakać, w końcu wyrwał się nam i pobiegł za nimi. Dopiero potem zrozumiałem, co mi się wydało dziwne. Jej lordowska mość nie miała rękawiczek ani kapelusza. Szła bardzo blisko tego człowieka... i bardzo szybko.

- Piekło i szatani! - Lady Margaret zwróciła się do Eversby'ego. - Kim by

- Wysoki i chudy... jej lordowska mość nazywała go baronem. - Eversby zaczerwienił się, szukając wzrokiem pomocy u Brockwaya.

- Baron Minnow... albo Penny? - Lokaj wzruszył ramionami.

- Pinnow? - wykrztusiła lady Margaret. - Baron Pinnow?

- Tak - odpowiedzieli zgodnym chórem.
- Dobry Boże.- Pobladła lady Margaret zacisnęła dłoń na swoich amuletach. - Więc przyjechał do Londynu!
- Kto? - spytała lady Catherine.
- Pinnow. To właśnie z nim Charity stała przed ołtarzem, kiedy wicehrabia pojawił się w kościele, żeby nie dopuścić do ich ślubu. - Lady Margaret zadrżała. - Trzeba zaraz posłać kogoś po jego lordowską mość - zwróciła się do Eversby'ego. - Charity jest w niebezpieczeństwie.

Brockway pobiegł do biura Rane'a, ale już go tam nie zastał. Nie było go również w klubie. Powiedziano mu tam, że Oxley ma jakieś ważne spotkanie. Lokaj zostawił dla niego wiadomość i wrócił do domu, żeby przekazać tę fatalną nowinę.

Minęło trzy godziny i było już zupełnie ciemno, kiedy Rane wreszcie wrócił do domu. Wszedł do bawialni i zastał tam lady Margaret, lady Catherine, a nawet Eversby'ego. Wszyscy troje byli okropnie wzburzeni. Dowiedział się od nich o zaginięciu Charity, a kiedy usłyszał nazwisko Pinnow, przeraził się nie na żarty.

Co prawda, baron przysięgał, że się na nim zemści, jednak Rane nie potrafił sobie wyobrazić sędziego pokoju, który porywa młodą arystokratkę z jej własnego domu, i to w biały dzień.

Postanowił rozpocząć poszukiwania na własną rękę, nie zawiadamiając tymczasem straży miejskiej. Z holu wejściowego doszły ich nagle jakieś głosy. Szybko zbiegł na dół.

Brockway trzymał w stalowym uścisku jakieś dwie postacie... Gar Davis i Percy Hall wyglądali jeszcze bardziej żałośnie niż zwykle.

- Wasza lordowska mość - zawołał Percy - będą kłopoty!
- Co wy tu, u diabła, robicie? - Rane dał znak lokajowi, żeby ich puścił.
- Ach, milordzie - wykrztusił Gar. - Przyszliśmy, żeby

pana ostrzec. Baron już wie o naszym dziedzicu i o kontrabandzie.

- Złapał nas na kłusownictwie i nieźle nam dołożył. A Gar nie jest zbyt wytrzymały - tłumaczył przyjaciela Percy. - Baron wypytywał nas o pana.

- Zamknął nas do mamra, wypuścili nas dopiero przed trzema dniami, mówiąc, że mamy już nowego sędziego pokoju - ciągnął Gar.

- Więc zaraz tu przyjechaliśmy - wtrącił Percy - żeby pana ostrzec.

- Konno - uzupełnił Gar, wzdrygając się na wspomnienie.

- Pinnow nie jest już sędzią pokoju? - Rane chwycił Percy'ego za ramię.

Kiedy ten potrząsnął głową, pod Ranem ugięły się nogi. Pinnow nie piastuje już stanowiska... jest w Londynie... szuka okazji, żeby się zemścić... a Charity jest w jego mocy.

- Jeśli przez tego łajdaka spadnie jej choć jeden włos z głowy, to on pożegna się z życiem! - krzyknął.

Nie słuchając udzielanych mu rad, Rane kazał Brockwayowi sprowadzić strażników miejskich. Kiedy ten otwierał drzwi, żeby wyjść, do domu wpadł Wolfram, który zaczął skakać na Rane'a i głośno szczekać.

- Charity! - wykrzyknęła lady Margaret. - On biegł za nimi, pewnie wie, w jakim kierunku poszli. Charity? - zwróciła się do psa, wskazując na drzwi. - Idź, znajdź Charity!

Wolfram podbiegł do drzwi, ale zaraz wrócił do Rane'a, nie przestając szczekać.

- Idź po straż miejską. - Rane powtórzył lokajowi rozkaz, chwycił Gara i Percy'ego za rękawy kurtek i polecił im iść ze sobą.

Lady Margaret pożegnała ich zapewniającym szczęście cygańskim gestem i zwróciła się do lady Catherine.

- Wiedziałam, że stanie się coś strasznego... ale nigdy nie

przyszłoby mi na myśl, że to może spotkać Charity. Wszystkie te katastrofy zawsze dotykały innych. - Przypomniała sobie nagle księżniczkę Janow i jej przerażającą przepowiednię: „Życie za życie. Życie oddane z miłości. Ofiara serca”. - Los się odwrócił...

Lady Catherine już otwierała usta, żeby odpowiedzieć jej cierpko, ale na widok łez w oczach lady Margaret szybko z tego zrezygnowała.

- Nie martw się, stara czarownico - powiedziała. - Mój wnuk ją odnajdzie. Nie na darmo nazywają go „Buldog” Austen.

Wolfram poprowadził ich ciemnymi uliczkami w kierunku nabrzeża, do miejsca, gdzie stracił trop.

- Przynajmniej wiemy, że poszli w kierunku portu - stwierdził Rane. - Czy on chce się dostać na statek, czy tylko szuka kryjówki? Nie mógł sobie wybrać gorszego miejsca. Dobrze znam całe nabrzeże i wszystkie zacumowane tu statki. - Ściągnął brwi, nad czymś się zastanawiając. - Tutaj jest wielu ludzi, którzy chętnie oddaliby mi przysługę. Ktoś przecież musiał ich widzieć!

Rozdzielili się, żeby dokładnie przeszukać ulice i wypytywać przechodniów. Gar i Percy poszli w jedną stronę, a Rane z Wolframem w drugą. Rane zatrzymywał się w każdym szynku, prosząc o pomoc w poszukiwaniach. Wkrótce całe tłumy robotników portowych zaczęły przemierzać ulice, zostawiając wiadomość w każdym szynku, portowej speluncie i jaskini hazardu. Porwano żonę „Buldoga” Austena. A on chce ją odnaleźć!

## 24

Charity leżała na stosie zakurzonych żagli, niedaleko miejsca, do którego Wolfram doprowadził Rane'a i gdzie zgubił jej ślad. Cios, który wymierzył jej Pinnow, pozbawił ją początkowo przytomności, a potem zapadła w ciężki sen, W tym czasie baron, przeklinając siebie za ten nagły wybuch złości, co w żadnym wypadku nie pomogło jego sprawie, *poszedł na poszukiwania kapitana statku, którym miał odpłynąć do Indii.*

Charity zbudziła się w ciemności, w głowie jej huczało, cała była obolała. Nagle ukazało się jakieś światło. Skuliła się i zamknęła oczy.

- Niezły towar, Pinnow - roześmiał się jakiś mężczyzna. - Jasna blondynka, cera prawie przezroczysta, żaden facet się jej nie oprze. - Słyszac ten głos, Charity mocno zacisnęła powieki. - Mówisz, że jej mąż jest bogatym arystokratą?

- Ma pełną szkatułę i dobrze ustawionych przyjaciół - usłyszała głos barona. - Chcę, żeby go to dużo kosztowało.

- Z okupem różnie bywa... rzadko komu się udaje - rozległ się ochrypły głos obcego mężczyzny. - On na pewno będzie chciał odzyskać tę lalunię. Ale jeśli zależy ci na tym, żeby go to dużo kosztowało, to po co masz ją oddawać? Dlaczego nie

mielibyśmy wziąć jej ze sobą? Znam starego grubego radzę, który uwielbia blondynki. On jeszcze lepiej nam za nią zapłaci.

- Hmm... o tym nie pomyślałem - zawahał się Pinnow.

- Czeka nas długa podróż do Indii, Pinnow - kusił ochryply głos. - Ona nam ją umili...

- Tak. Weźmiemy ją ze sobą - zdecydował po namyśle Pinnow.

- W takim razie musimy szybko wyruszyć w drogę. Mogę postawić żagle już jutro rano.

Charity usłyszała skrzypnięcie zamykanych drzwi i odgłos oddalających się kroków. Nie będą chcieli okupu. Chcą ją sprzedać jakiemuś staremu... Z trudem podniosła się na nogi. Za wszelką cenę musi się stąd wydostać. Ale komórka, w której ją uwięziono, nie miała okna, a jedyne drzwi były zamknięte.

Tym razem ona sama popadła w tarapaty. Została porwana, pobita i uwięziona. A czekały ją jeszcze gorsze rzeczy. Czy to złe fatum miało być sumą wszystkich katastrof i klęsk, które omijały ją przez całe lata? Miała zostać wywieziona z Anglii, zgwałcona, sprzedana jakiemuś staremu radzy...

Zamkniętej w ciemnej komórce, pogrążonej w rozpacz Charity zabłysła nagle iskierka nadziei - Rane. Przypomniała sobie jego zdecydowanie, upór i niezachwianą niczym pewnością, że ich miłość zdolna jest pokonać wszystkie przeszkody. Nigdy nie uwierzył w jej fatalną aurę, walczył z determinacją o jej miłość, gotów był nawet umrzeć dla niej. Poczwała w sobie nową, nieznaną jej przedtem siłę. Ona też będzie walczyć o swoją wolność! Będzie walczyć aż do końca.

Rane, Gar i Percy przeszukiwali nabrzeże do późnej nocy. Robotnicy portowi, którzy pracowali dla "Buldoga" Austena,

oraz ci, którzy dla niego nie pracowali, również robili, co mogli. Przyłączyła się do nich grupka żeglarzy, a nawet kilku oficerów. Rane uległ wreszcie namowom swojego przyjaciela, kapitana jednego ze stojących w porcie statków, żeby zatrzymał się w gospodzie, gdzie każdy będzie mógł go łatwo znaleźć w razie potrzeby. Wybrał położoną w dogodnym punkcie gospodę „Pod Szarą Mewą”, chociaż trudno mu było usiedzieć w jednym miejscu. Charity była w rękach barona. Mógł tylko mieć nadzieję, że zakrojone na tak dużą skalę poszukiwania zostaną szybko uwieńczone sukcesem.

Przyszli po nią o brzasku. Charity pokonała już strach i wiedziała, co powinna zrobić. Kiedy wyprowadzą ją z magazynu i znajdą się na ulicy, zacznie się opierać i wołać o pomoc. To będzie jej jedyna szansa, żeby odzyskać wolność.

Położyła się z powrotem na starych żaglach, żeby Pinnow pomyślał, że jeszcze nie odzyskała przytomności. Baron potrząsał nią, klepał po twarzy, ale ona się nie poruszała. Słyszała śmiech i wulgarne uwagi mężczyzn, którzy z nim przyszli, ale Charity przywoływała na myśl twarz Rane'a i ten obraz dodawał jej otuchy.

Pinnow wziął ją na ręce, odrzucając oferty pomocy ze strony towarzyszących mu mężczyzn. Kiedy znaleźli się na ulicy, Charity zebrała całą swoją odwagę i sprężyła się, usiłując wyrwać z ramion barona, krzycząc jednocześnie na całe gardło. Zaskoczony Pinnow upuścił ją, a ona pobiegła przed siebie, głośno wzywając pomocy. Już po chwili jednak złapał ją jeden z jego towarzyszy i chociaż próbowała się bronić, wiedziała, że nie ma szans. Udało się jej tylko jeszcze raz przenikliwie krzyknąć, zanim wepchnęli jej jakąś brudną chustkę do ust i związali ręce.

Nieśli ją wzdłuż nabrzeża, ale ona się nie poddawała, cały



czas usiłując walczyć. Zobaczyła z przerażeniem, że wnoszą ją na statek, na którym już stawiają żagle. To niemożliwe, pomyślała, ale właśnie wtedy rzucono ją na kaję w jakiejś pustej kajucie.

Po chwili pojawił się tam kapitan i to uratowało Charity przed kolejnym atakiem furii barona. Kapitan był wściekły na Sullivana Pinnowa - jak on mógł pozwolić ofierze na głośne krzyki, dlaczego jej nie związał... Mężczyźni zaczęli się kłócić i wreszcie wyszli z kajuty. Charity łatwo oswobodziła rękę z niedbale zawiązanego sznura i wyciągnęła chustkę z ust. Była zamknięta w kajucie, ale było tam małe okno. Otworzyła je. Do nabrzeża było tylko około dwóch i pół metra, ale równie dobrze mogłoby być dwa kilometry. Pomiędzy nią a nabrzeżem była tylko woda... czarna, zimna woda. A ona panicznie bała się wody.

Elegancki powóz zatrzymał się wczesnym rankiem przed gospodą „Pod Szarą Mewą”. To lady Catherine i lady Margaret postanowiły przyłączyć się do Rane'a, nie mogąc znieść wyczekiwania na wiadomości o losie Charity. Rane'a, który odchodził od zmysłów z rozpaczy, nie ucieszyło towarzystwo dwóch zdenerwowanych starszych dam, czemu natychmiast dał wyraz. Awantura została zażegnana, kiedy pojawił się zdyszany robotnik, który pracował w jednym z magazynów Rane'a.

Słyszał krzyki kobiety na końcu wschodniego nabrzeża... widział też, jak wnoszono jakąś kobietę na pokład statku, na którym czyniono pospieszne przygotowania do opuszczenia portu. Rane chwycił go za ramię i potrząsnął, pytając o nazwę statku. Była to „Szczęśliwa Narzeczona”.

Wybiegł z gospody, a za nim Gar, Percy, robotnicy portowi i kilku miejskich strażników. Zaczepiał wszystkich napotkanych

na wschodnim nabrzeżu żeglarzy, pytając, gdzie jest przycumowana „Szczęśliwa Narzeczona”.

Zbывali te pytania wzruszeniem ramion, wreszcie jeden z nich wskazał mu statek, który, jak było widać, już za chwilę miał wypłynąć w morze. Pracujący na pokładzie żeglarze zauważyli biegnących i dwóch z nich zagroziło Rane'owi wejście na trap. Odepchnął ich i ruszył w kierunku Sullivana Pinnowa, którego zobaczył na pokładzie. Gar, Percy i kilku robotników starali się również wdrzeć na pokład, spotkali się jednak z silnym oporem załogi.

Pojawił się kapitan i kazał podnieść trap, odcinając Rane'a od towarzyszy. Gar i Percy mogli tylko bezradnie obserwować z nabrzeża, jak Rane uderzeniami pięści usiłuje powalić Pinnowa. Kiedy ten wyciągnął nóż, Rane jednym ruchem obrócił tę broń przeciwko niemu. Trzymał teraz barona za kark, przykładając mu ostrze do gardła.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Charity? - krzyczał do kapitana. - Jeśli natychmiast nie zaprowadzisz mnie do mojej żony, poderżnę temu nędznikowi gardło.

- Jest na dole - powiedział kapitan, dając znak swoim ludziom, żeby zostawili Rane'a w spokoju.

- Zaprowadź mnie tam! - Kapitan prowadził Rane'a, a ten z kolei barona, trzymając mu cały czas nóż na gardle. Doszli do drzwi kajuty Charity. - Otwórz!

Kapitan zerknął na swoich ludzi, którzy blokowali korytarz, i otworzył drzwi. Pośrodku kajuty stała Charity.

- Nic ci się nie stało? - spytał Rane.

Potrząsnęła tylko głową i podbiegła do niego. Ta chwila nieuwagi wystarczyła, żeby kapitan mógł dać znak swoim ludziom, którzy rzucili się na Rane'a. Pod ich ciosami osunął się na podłogę.

Charity ruszyła mu na ratunek, ale wepchnięto ją z powrotem do kajuty i zaryglowano drzwi. Kapitan wydał rozkaz swoim

marynarzom, żeby wyrzucili Rane'a za burtę, takim tonem jakby mówił o stawianiu żagli. Popatrzył na zakrwawioną, opuchniętą od ciosów, twarz Pinnowa.

- Szkoda, że nie pozwoliłem mu cię zarznąć - powiedział.

Charity waliła w drzwi, błagając, żeby darowali Rane'owi życie. Podbiegła do okienka. Statek odpływał już od nadbrzeża, pasmo wody było już szerokie na kilkadziesiąt metrów i ta odległość stale się zwiększała. Nagle zobaczyła wpadające do wody ciało. To był Rane!

Uderzono go silnie w głowę - jest nieprzytomny - utopi się!

Przez chwilę stała jak sparaliżowana. Jeżeli on przez nią umrze, to ona też nie chce żyć. Jeżeli... Charity spojrzała na czarną wodę i serce w niej zamarło. Musi ratować Rane'a! Nie wolno się jej teraz bać!

Z trudem przecisnęła się przez okienko kajuty - i rzuciła głową w dół, w tę przerażającą, czarną wodę, która się nad nią zamknęła.

Lady Margaret i lady Catherine nadbiegły w momencie, kiedy marynarze ze „Szczęśliwej Narzeczonej” wyrzucali Rane'a za burtę. Zgromadzeni na nabrzeżu wydali okrzyk przerażenia, a Wolfram szczekał jak oszalały.

- Dobry Boże, to jego lordowska mość! - Lady Margaret chwyciła Percy'ego za rękaw kurtki. - Zróbcie coś! Przecież on się topi!

- Nie mogę - jęknął Percy. — Nie umiem pływać. Ale Gar umie. Gar...

- Ja... ja nie mogę... ja - jękał poblady z przerażenia Gar.

- To Charity! Jest tam, w wodzie! - zawołała lady Catherine.

Odwrócili się i zobaczyli Charity, która się wynurzyła, żeby po chwili zniknąć. Gar zadrzał - ich kochana, mała Charity, która ma tak fatalną aurę... Wziął głęboki Oddech i rzucił się do wody.

Zanurzając się ponownie, Charity dotknęła nogą czegoś miękkiego. To musiał być materiał. Otworzyła oczy - w brudnej wodzie majaczył jakiś kształt. Rane! Chwyciła go za kurtkę, ze zdwojoną energią usiłując wydostać się na powierzchnię. Wypłynęła razem z nim i zobaczyła Gara Davisa.

- Pomóż mu, ratuj go - krzyknęła.

- Nie puszczaj go - odkrzyknął Gar, ciągnąc Rane'a do kamiennych stopni nabrzeża. Wszyscy pobiegli w tamtym kierunku, a Gar ostatnim wysiłkiem płynął do brzegu, ciągnąc ich oboje. Nie starczyło mu już siły na ostatnie kilkanaście metrów. Puścił ich i zniknął pod wodą.

Charity sama przyholowała Rane'a do brzegu. Szybko wyciągnięto ich z wody. Robotnicy zanieśli Rane'a dalej na nabrzeże, a ona wpadła w ramiona lady Margaret i Percy'ego.

- Nic mu się nie stało? Dobry Boże... - Charity wyrwała się z objęć babki.

- Oddycha! Żyje! - krzyknął ktoś.

Podbiegła do męża, uklękła i wzięła go w ramiona.

- Rane! Ty żyjesz! - Pomieszane z wodą łzy spływały jej po twarzy. Był taki zimny i taki blady pod opalenizną, że znów ogarnęło ją przerażenie. - Popatrz na mnie! Rane! - wołała.

Zakaśtał gwałtownie, otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Charity? - Dotknął jej mokrego policzka i przygarnął ją do siebie.

Oboje byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie i ocaleli!

Lady Margaret i lady Catherine z płaczem rzuciły się sobie w objęcia, robotnicy klepali się po plecach, a Wolfram czekał radośnie.

Gar? - Percy rozglądał się za przyjacielem, żeby mu pogratulować odwagi. - Gdzie jest Gar? Gar! On został w wodzie! - Zbiegł szybko schodami w dół, a lady Margaret i lady

Catherine pobiegły za nim. Wpatrywali się w czarną, brudną wodę, rozpaczliwie go nawołując.

Nagle pomiędzy nich wpadł Wolfram, omal nie strącając lady Margaret do wody. Oni szukali człowieka, który był w wodzie, zrozumiął.

Wskoczył do brudnego kanału i zanurkował. Jest! To na pewno on! Zaciśnął zęby na ubraniu i zawrócił do brzegu, ciągnąc go za sobą. Mężczyźni szybko wyciągnęli z wody psa i uratowanego człowieka.

Położyli Gara na nabrzeżu, bezskutecznie usiłując przywrócić go do życia. Percy klęczał przy nim, grzejąc mu dłonie i klepiąc po zimnych policzkach.

- Obudź się, Gar. Musisz się obudzić!

Podeszła do nich Charity i również uklękła obok Gara. Dotknęła jego dłoni, była martwa i zimna, jak dłoń jej ojca.

- Och, Gar - jęknęła, a łzy spływały jej po policzkach. Popatrzyła na Percy'ego, rozumiejąc doskonale jego uczucia. Coś niezwykle ważnego zostało wyrwane z jego życia, została mu tylko głucha rozpacz.

- Umarł... ratując nasze życie - szepnęła.

- Kochał panią, panno Charity, jak własną córkę.

Lady Margaret usłyszała słowa Percy'ego i popatrzyła przez łzy na spokojną twarz Gara Davisa, na której nie widać było już śladu żadnych trosk.

Życie za życie, przypomniała się jej słowa starej Cyganki. Ofiara kochającego serca. Fatalna aura Charity zniknęła wraz ze śmiercią Gara Davisa.

Pojawił się Wolfram i zaczął obwąchiwać leżącego mężczyznę. Znał ten zapach. Znał tego człowieka. Zaszczekał, pociągnął go zębami za nogawki, popychał głową. Dwóch robotników portowych chwyciło go za obrozę, żeby odciągnąć od zmarłego. Pies usiłował się wyrwać, a kiedy mu się to udało, skoczył wprost na klatkę piersiową Gara.

Charity krzyknęła, wszyscy rzucili się na psa, żeby go odciągnąć od ciała, które było teraz jakoś dziwnie skrzycone. Dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że Gar się krztusi.

Rane ukląkł przy nim, przewrócił go na bok i zaczął bić po plecach. Gar kaszlał coraz silniej, wypływając brudną wodę z płuc.

- Gar! - krzyknęła Charity. Razem z Percym rzucili się na niego, chwytając go w ramiona.

Zapanowała ogólna radość. Lady Catherine serdecznie uściskała wnuka, wszyscy chwalili i głaskali Wolframa. Percy nie odstępował Gara.

- Nieżle nas wszystkich wystraszyłeś, kiedy zapomniałeś, jak się oddycha - powiedział surowo, ocierając łzy.

Gar szeroko otworzył oczy, patrząc ze zdumieniem na zgromadzonych dokoła niego ludzi. Płuca go bolały, w głowie huczało, ale zaczął już sobie wszystko przypominać. Chwycił Percy'ego za rękaw.

- Ja umarłem, Perc. Przysięgam! - wychrypiał. - Byłem już całkiem umarły.

- Nie umarłeś - zachnął się Percy. - Nie mógłbym z tobą teraz rozmawiać, gdybyś umarł, tępaku.

- Ale to prawda, Perc. Widziałem światło... i anioła z jasnymi włosami.

- Widziałeś pannę Charity, tumanie. - Percy wskazał mu gestem stojącą w pobliżu Charity.

Gar musiał przyznać, że była bardzo podobna do anioła, którego niedawno widział. Ale on i Percy zawsze wiedzieli, że jej uroda i dobre serce zostały skradzione aniołom.

Po chwili Gar, bohater dnia, został umieszczony w powozie, a kiedy już wszyscy wsiedli, wskoczył do niego drugi bohater, Wolfram, otrząsając się z wody w środku pojazdu. Tym razem nikt nie protestował, nawet lady Catherine.

Kiedy dotarli do Oxley House, lady Margaret nie mogła się powstrzymać, żeby nie oświadczyć wszem i wobec, nie wyłączając zdumionej służby, że „śmierć” Gara Davisa przerwała pasmo fatalnej aury Charity.

- Naprawdę? - Na twarzy Gara ukazał się radosny uśmiech. - Słyszałeś, Perc? Wpadłem do grobu, potem do wody, umarłem i przerwałem fatalną aurę panny Charity!

- Ty wcale nie umarłeś. - Percy spojrział surowo na przyjaciela, a potem na lady Margaret. - On nie umarł!

- Oczywiście, że nie - wtrąciła lady Catherine. - Nie mógł też przerwać jej fatalnej aury, bo nic takiego nie istniało. - Starsza dama obrzuciła lady Margaret lodowatym spojrzeniem. - To było tylko w twojej głupiej głowie. Popatrz, jakiego zamieszania narobiłaś! Opanuj się wreszcie, Margaret Villiers, i pozbań się swoich pogańskich przesądów! Te twoje czary wcale nie są skuteczne!

Rane chciał się włączyć do dyskusji, ale Charity odciągnęła go na bok.

- Niech się kłóca, jeśli im to sprawia przyjemność - szepnęła. - Myśmy już rozwiązali tę sprawę. Teraz mamy ważniejsze rzeczy na głowie - uśmiechnęła się do niego. - Musimy zdjąć mokre ubrania.

Ujawszy się za ręce, poszli na górę.

Tymczasem wściekła lady Margaret podniosła wskazujące palce na wysokość swoich oczu i zaczęła nimi kiwać w kierunku lady Catherine.

- Och, Boże, milady - jęknął Gar, patrząc na lady Catherine. - Złe oko lady Margaret może sprowadzić na panią nieszczęście.

Lady Catherine spojrzała na niego z niesmakiem, potem skierowała wzrok na lady Margaret, przedrzeźniając ruchy jej palców.

- Nie ma żadnego „złego oka” - stwierdziła, kiedy do holu wchodził jej ukochany Caesar.

- Caesar! Moje biedne dzieciątko! - Szybko podeszła do kota, chcąc go wziąć na ręce.

Caesar obrzucił swoją panią nieufnym spojrzeniem i sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Parsknął i wybiegł z domu tak szybko, na ile pozwalały na to jego krótkie nóżki.

Charity stanęła w miedzianej wannie, a Rane, który się już zdażył wykapać, opierał się o framugę drzwi. Widok jej nagiego, rozgrzanego kąpielą ciała spowodował, że krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach. Kiedy Charity sięgnęła po ręcznik, wyjął go z jej rąk.

- Będzie mi zimno - zaprotestowała.

- Nie będzie ci zimno, mój aniele - powiedział, podchodząc do wanny.

Zsunął z bioder okrywający go ręcznik, wyjął ją z wody i przytulił do swojego nagiego ciała. Potem obrócił ją plecami do siebie, żeby najpierw pieścić jej piersi, a później przesunąć rękę w dół i zatrzymać ją pomiędzy jej nogami.

Charity ocierała się o jego stwardniały członek, wydając ciche jęki rozkoszy. Odwróciła się wreszcie do niego twarzą, prosząc, żeby zaniósł ją do łóżka.

Całował jej piersi, zaciskając usta na stwardniałych sutkach tak długo, aż zaczęła krzyczeć z rozkoszy, pragnąc jak najszybciej poczuć go w sobie. Charity wiedziała, jakie pieczyoty doprowadzają Rane'a do granic wytrzymałości. Uwielbiał jej dotyk i pocałunki, którymi pokrywała jego ciało. Napawali się sobą, a kiedy poczuł, że drży pod jego ciężarem, wszedł w nią jeszcze głębiej, dopóki oboje nie ztratili się w rozkoszy.



Kocham cię, Rane Austen - szepnęła.

- Wiem - odparł.

- A czy wiesz, że powinieneś kupić mi lustro?

- Podobało ci się, kiedy razem przeglądaliśmy się w lustrze? - roześmiał się. - To już nie przynosi nieszczęścia?

- Nie. - Charity spojrzała na męża z przekornym błyskiem w oku. - Nie słyszałeś, co babcia mówiła? Już nie roztaczam fatalnej aury.

- Nigdy jej nie roztaczałaś. Mówiłem ci przecież...

- Nie wiem, jak to było naprawdę - przerwała mu Charity - ale wiem jedno. Nie czuję już strachu. Nie boję się plotek ani burzy i błyskawic. Jestem gotowa walczyć z najgroźniejszymi porwaczami, wskoczyć do czarnej wody... byle być przy tobie, Rane Austen.

Serce biło mu radośnie. Charity mówiła prawdę. Przecież już to wszystko zrobiła, a nawet więcej... z miłości do niego. Pogładził ją po policzku.

- Naprawdę nie boisz się niczego, mój aniele?

- Twoja miłość i twoja magia nocy wyzwoliły mnie od strachu, Rane Austen - uśmiechnęła się do niego Charity.

## Postówie

„Jednym tyłkiem nie usiądziesz na dwóch koniach”, mawiają Romowie. Oznacza to, że każdy musi dokonać w życiu wyboru. Musi wybrać rozum albo szczęście. Większość ludzi wybiera rozum... budują maszyny, miasta i mosty. Ale Cyganie zawsze wybierają szczęście... marzenia i poezję.

Mądrzy ludzie wiedzą, że ścieżki szczęścia i rozumu gdzieś się muszą kończyć, ponieważ rozum i szczęście mają swoje nieprzekraczalne granice... może je przekroczyć tylko miłość.